

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/573

1995



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

L. UNGER: **PARADOKSY ROSJI – CENA
STRACHU I KOSZTA NADZIEI**

A. K. WR BLEWSKI:

NA RUROCI GU JAK NA SMYCZY

S. DUBAWIEC: **WARSZAWSKI DZIENNIK**

B. BAKU A:

ROZMOWA Z IHOREM KA LYNCIEM

SPIS RZECZY

Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli. Paradoxy Rosji: cena strachu i koszt nadziei</i>	3
Mariusz Wilk:	<i>List z Wysp Sotowieckich do Paryża</i>	24
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	29
Mieczysław Jackiewicz:	<i>Impresje litewskie (3)</i>	44
Antoni Libera:	<i>„Komu bije dzwon?” (Opowieść pana Konstantego)</i>	55

WIERSZE

Jarosław Klejnocki:	<i>Kraków, mgła</i>	72
Joanna Kurowska-Młynarczyk:	<i>Upadłam...</i>	72

ARCHIWUM POLITYCZNE

Andrzej Krzysztof Wróblewski:	<i>Na rurociągu jak na smyczy</i>	73
Krzysztof Wolicki:	<i>Po wyborze prezydenta... Francji</i>	80

KRAJ

SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	87
--------	----------------	----

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Antoni Pospieszalski:	<i>Kilka uwag o nowej encyklice</i>	99
-----------------------	-------------------------------------	----

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	107
Siarhiej Dubawiec:	<i>Warszawski dziennik</i>	114
Bohdan Osadczyk:	<i>Święto nie swojego zwycięstwa</i>	120

NOTATKI REDAKTORA	123
-------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Bogusław Bakula:	<i>„Jestem wciąż dysydemtem...” Rozmowa z poetą Ithorem Kałynciem</i>	125
Paweł Rodak:	<i>Symposium Redaktorów Pism Literackich</i>	136
Zbigniew Baran:	<i>Akademia Mozartowska</i>	140

KSIAŻKI

Leszek Szaruga:	<i>Dotykać Nicości (Notatki z lektury „Kamienia granicznego”)</i>	143
Robert Kaczmarek:	<i>Eksploracja ignorancji</i>	149
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	151
—	<i>Wydarzenia miesiąca i kronika londyńska</i>	153
K. Brodziński:	<i>List do Redakcji</i>	158
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	159

Varsove W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Czerwiec/Juin

1995

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

A. T. (USA) przekazuje na:

- szkoły polskie za naszą wschodnią granicą Dol. 153,50 F. 737,00
- na Fundusz Kultury po raz 13-ty Dol. 153,50 F. 737,00

Danuta J. i Andrzej M. Cisek, Yorktown Heights, NY po raz 16-ty Dol. 50 F. 210,00

Dla uczczenia pamięci Mirosława Charenzy - siostra Stanisława Charenza-Opolska, Toronto ON F. 100,00

Ania Jokiel, Genewa - zamiast kwiatów na grób śp. Andrzeja Sobańskiego, zmarłego w Warszawie w kwietniu 1995 - Frs. 200,00 F. 840,00

Zofia Koper, Arlington, VA (USA) - w 5-tą rocznicę śmierci Męża, Stefana Kopera - Dol. 100,00 F. 420,00

T. Ł., Francja F. 100,00

Zbigniew Okołowicz, Millerton, NY (USA), po raz 8-my Dol. 76,00 F. 365,00

W czternastą rocznicę śmierci Przyjaciela Stefana Strelcyna - Kamila Halpern-Chylińska (Kolonja, Niemcy) F. 400,00

Tadeusz Wyrwa, Paryż - w 25-tą rocznicę śmierci śp. Ojca Józefa Wyrwy - pseudonimy: „Furgalski”, „Stary” - jednego z najbliższych współpracowników Hubala, później dowódcy samodzielnego oddziału partyzanckiego i następnie dowódcy 2-go Batalionu 25-go pp. AK F. 400,00

DZIĘKUJEMY

Widziane z Brukseli

PARADOKSY ROSJI: CENA STRACHU I KOSZTA NADZIEI

Co to jest paradoks? Paradoks, według Kopalińskiego, to podane w błyskotliwej formie rozumowanie sprzeczne z tym, co jest ogólnie uznawane za prawdę; lub, według WEP, pogląd odwracający to co wydaje się oczywiste. Gdzie znaleźć przykład? Wszędzie. U Kierkegaarda, Nietzschego, Shawa. A także u Oscara Wilde. Doszedł on mianowicie do wniosku, że „gdy się ludzie ze mną zgadzają, czuję, że muszę być w błędzie”. Odwracając to stwierdzenie, można sformułować paradoks (na dzisiejszy użytek jak znalazł), że jeśli ludzie się ze mną nie zgadzają, to mam rację.

Po co nam paradoks? Aby podjąć próbę wykazania, że pejzaż po wojnie czeczeńskiej, inaczej mówiąc sytuacja w Rosji Borysa Jelcyna nie jest taka jak się ludzie zgadzają, że jest, a jest taka, co do której wszyscy sądzą, że jest inna. Inaczej mówiąc, jest - jak mawiał pewien działacz partyjny - dobrze, ale nie beznadziejnie.

PARADOKS NR 1: DEMOKRACJA ŻYJE

Za wcześniej, po pierwsze, na pogrzeb demokracji rosyjskiej. Jelcyn myślał, że może się z nią nie liczyć. Świat myślał, że nie może już na nią liczyć. Okazuje się, że może. I powinien.

Zanim w ogóle ktoś się w sprawie Czeczenii na świecie odezwał, stowarzyszenie „Memorial” już uprzedziło, że „ta wojna nie toczy się przeciw separatyzmowi czeczeńskiemu ani żadnemu innemu, a przeciw wolności i demokracji w Rosji”. Kiedy świat zachodni, wolny, wypoczęty, prosperujący i demokratyczny, zapalał przed Jelcynem zielone światło („sprawa wewnętrzna Rosji”) dla masakry w Groznym, demokraci rosyjscy starali się zapalić też światło, ale czernione. Nie udało im się. Zapaliło się czarne. Doszło do tragedii. Ale, lekcja – i opinia publiczna – pozostały. I dadzą o sobie znać. Paradoks, znowu sprawił, że właśnie przy okazji tej ich porażki, demokraci rosyjscy mogli się policzyć. Rachunek nie jest prosty.

a) Borys w poślizgu

Z jednej strony jest Borys Jelcyn. W próżnię polityczną wpadł od faktycznej porażki demokratów w wyborach do Dumy z grudnia 1993 roku. To wtedy właśnie Jelcyn wszedł w nie kontrolowany (przez niego) poślizg nacjonalistyczny a potem także imperialny. I od wtedy, tej fali daje się nieść. Dobór doradców takich jak Korżakow („Rządzą nami dranie, powiedzial Kowaliow, dziś bombardują Grozny, jutro będzie Grodno lub Warszawa”), tolerowanie przekupstwa na najwyższych szczeblach państwa, nagłe uderzenie na Czeczeńców po trzech latach zdumiewającej passywności, decyzja złamania ich oporu za wszelką cenę i wszelkimi środkami, interwencje w Gruzji czy Mołdawii, szantaż wobec Ukraińców czy, w innym rejestrze, Azerów, „paranoiczny”, jak powiada Brzeziński, nacisk na kraje kandydujące do NATO, łamanie układu o redukcji arsenałów konwencjonalnych i utworzenie nowej, 58-ej armii na Kaukazie, groźby użycia siły „w obronie prześladowanych rusofonów” w diasporze, sprzedaż reaktorów atomowych do Iranu, pomoc dla Serbów i Iraku, utrzymanie za drogą cenę baz na Kubie i w Wietnamie... to wszystko są konkretne przykłady stosowania w praktyce teorii „zimnego pokoju” proklamowanego przez Jelcyna w Budapeszcie w grudniu 94. Jelcyn myślał o zagranicy, ale najpierw zrobiło się zimno wewnątrz. Gdyby nie stały cień wódki, powiedzieć

by można, bez ironii, że Jelcyn to postać tragiczna. Prezydent wie, że w najlepszym razie osiąga dziś 7 procent w wyborczych sondażach i że (co najmniej) 70 procent jego rodaków nie ma do niego zaufania. Dlatego Jelcyn choć wołał, że idzie na Grozny, w istocie szedł na Moskwę. Triumf w Czeczenii miał, w perspektywie wyborów prezydenckich w połowie 96 roku, uratować spadającą popularność Jelcyna. Ale choć wojsko wojnę w Czeczenii wygra, to Jelcyn ją wygrał jak Pyrrus. Iwan był naprawdę Groźny. Borys Groźny jest Żaloszny.

Pytanie czy Czeczenia to już początek końca Jelcyna, czy Grozny to jego Waterloo? Niektórzy sięgają po argumenty „bio-polityczne”: powiadają, że przeciętna wieku mężczyzn w Rosji jest 59 lat. Jelcyn ma 64. I nie jest zdrowy. Głupawy komunikat jego rzecznika o „nadcisnieniu” szefa mózgu tylko potwierdzić najgorsze pogłoski.

Ale nawet jeżeli – co nie jest wykluczone – Jelcyn do wyborów dotrwa, to czy je wygra? Próba utworzenia dwóch wielkich bloków partyjnych: „lewicy” i „prawicy”, rzekomo proreformatorskiego i naprawdę konserwatywnego, z Czernomyrdinem i Rybkinem na czele, operacja zmierzająca do „ciąćcia po skrzydłach”, ale także do marginalizacji demokratów i wyparcia ich właściwie poza scenę polityczną, nie może ukryć faktu, że jedyną zorganizowaną siłą polityczną udzielającą Jelcynowi „bezwartunkowego poparcia” jest dziś (koniec kwietnia) partia Żyrynowskiego. To nie jest dobre towarzystwo dla prezydenta. Z Żyrynowskim można maszkrować Czeczenów. Demokracji z nim zbudować się nie da. Pytanie tylko czy budowanie demokracji leży w ogóle jeszcze w planach, zamiarach i ambicjach Jelcyna? „Władza go zniszczyła”, powiadają politolodzy rosyjscy. Jelcyn, dodają, rozumie co to jest wolność słowa czy prasy, wie na czym polega gospodarka rynkowa, ale nie rozumie co to jest demokracja i nie potrafi jej realizować inaczej niż posługując się metodami komunistycznymi i bolszewickimi. Ktoś w końcu wystawi rachunek, który ktoś będzie musiał zapłacić. Graczowi niedługo wyleci. Prawdziwym kozłem ofiarnym okaże się być może właśnie sam Jelcyn.

b) „Zdrajca” Kowaliow

Z drugiej strony, są demokraci. Szkoda, że brakuje Andrieja Sacharowa, dopiero teraz widać jaką jeszcze rolę mógł odegrać. Szkoda także – trzeba to tak powiedzieć – że nie ma Sołżenicyna. Naturalnie, laureat Nobla jest w Rosji, ale inaczej niż świat przypuszczał i miał nadzieję. Akcja i – należy się obawiać – wpływ Sołżenicyna, wydają się ograniczać właściwie do dwutygodniowego *show-talk'u* w telewizji. *New York Times* zbadał popularność pisarza i jego programu. „Dla pokolenia post-pierestrojkowego, Sołżenicyn niewiele, albo i nic nie znaczy. Kogo jeszcze obchodzi „Archipelag Gułag”? – powiedzieli, w streszczeniu, rozmówcy amerykańskiej gazety. Należy się obawiać, że Sołżenicyn to odległa, bardzo odległa przeszłość. Jeszcze raz się okazuje, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.

Tak więc, dwa razy „szkoda”, ale na tym, na szczęście, bilans się nie zamyka. Nie jest tak źle jak się wydawać może. Jest Siergiej Kowaliow, nowe „sumienie Rosji”. „Woltera aresztować nie można”, powiedział de Gaulle kiedy w ogniu wydarzeń 1968 roku policja chciała pośłać za kratki Jean-Paul Sartre'a. Rosja nie Francja i Jelcyn tak nie powiedział. I Kreml i jego koledzy, posłowie do Dumy, Kowaliowa chętnie by zamknęli. Jego samego, albo choćby jego usta. Najpierw ogromną większością głosów, na wniosek między innymi Żyrynowskiego, pozbawili go funkcji parlamentarnego delegata do spraw praw człowieka. Potem, oskarżyli go o „zdradę”, albowiem spod rosyjskich bomb w Groznm, wołał o hańbie jego kraju. Kowaliow sam wniósł o pozbawienie go nietykalności poselskiej. „Będzie proces, powiedział, będzie można głosić prawdę”.

To w tym kontekście właśnie, takie (w końcu tylko) epizody jak ewentualny proces Kowaliowa nabierają prawdziwego wymiaru. Stawką bowiem nie jest los jednego człowieka, nawet tak szlachetnego jak Kowaliow. Stawką nie jest też prawda, nawet tak tragiczna jak ta o Czeczenii. Stawką w tym zdarzeniu jest los demokracji rosyjskiej.

Większość tych, którzy przyczynili się do wyboru Jelcyna w 1991 roku, już, na rozmaitych przystankach, z jego tramwaju wysiadła. „Demokracja rosyjska, powiedział Gajdar,

osiągnęła próg zerwania z Jelcynem”. Kontynuowanie obecnej polityki – ostrzega były premier i autor reformy – „grozi zawałem ciągle bardzo jeszcze nietrwałych struktur gospodarki rynkowej, ograniczeniem praw i wolności obywatelskich”. Jurij Afanasjew, kiedyś ideolog jalcynowskiej fazy pierestrojki nie ma złudzeń. „Po kilku latach sprawowania władzy, powiada Afanasjew, Jelcyn dokonał wyboru, wziął zakręt i wrócił do nomenklatury i biurokratycznego aparatu, czyli do środowiska, z którego wyszedł”.

c) Rosja ma wybór

To prawda, że z tej fazy próby sił, demokraci rosyjscy wychodzą osłabieni, podzieleni, tym bardziej, że rozbici „wojnami na ich własnej górze”, secesją bankiera Olega Bojki czy byłego ministra finansów Borysa Fiodorowa. Ale prawdą także jest, że „Wybor Rosji” ciągle stanowi potencjalnie wpływową parlamentarną grupę demokratyczną i liberalną, wokół której możliwe ciągle jest podjęcie szerokiej akcji politycznej. Że są demokratyczni politycy o sporym wymiarze: Gajdar, Jawliński czy Juszenkow. Że są generałowie, którzy odmówili wydania rozkazu strzelania do bezbronných, są artyści jak Okudźawa, do niedawna bezwarunkowy zwolennik Jelcyna a dziś jego bezwzględny krytyk...

I że jest część prasy, która uparła się i nie dała ani przekupić ani wymanipulować. Tu chodzi o zjawisko niezwykle, niesłychanie ważne w chwili ostatecznego wyboru, do którego dojść musi, albowiem obecny autorytarny zakręt Rosji nie może trwać zbyt długo. Prasa to przecież był sektor najbardziej zatruty, najgłębiej zindoktrynowany, najściślej kontrolowany i zwasalizowany przez reżym komunistyczny. A przecież to część prasy właśnie nie pozwala w Rosji pokryć Czeczenii ciszą cmentarza. Mimo faktu, iż kilku dziennikarzy już na tym cmentarzu leży...

Kryzys czeczeński jest, w pewnym sensie, skutkiem słabości rosyjskiej demokracji, jej niewystarczającej roli w budowaniu nowego państwa rosyjskiego. Jest także skutkiem tradycyjnego w Rosji stawiania na „osoby” zamiast na instytucje. Ale ten kryzys stanie się być może – tu znowu

paradoks – źródłem przyszłego odrodzenia i siły demokracji w Rosji. Rosjanie marzą o małej choćby stabilizacji i, często, o silnym przywódcy, ale niewielu dopuszcza myśl o powrocie do knuta, niewielu gotowych jest do rezygnacji z wolności prasy czy podróży. I chociaż nie udało się prasie, ani nikomu, powstrzymać kolonialnego szaleństwa w Czeczenii, to oni, ta mała grupka deputowanych, intelektualistów, dziennikarzy, uratowali honor Rosji i – jak przyjdzie właściwa chwila – uratują dorobek młodej rosyjskiej demokracji. I chociaż to wszystko naturalnie nie odmieni już losu martwych Czeczeńców, to pozwala wierzyć, że odmiennie do prognozy Starowojtowej, która powiedziała, że „w Czeczenii Rosja przegrała swą historyczną bitwę o demokrację”, demokracja rosyjska nie poległa w gruzach Groznego. Ani w żadnych innych. I już nie zniknie.

PARADOKS NR 2: ROSJA NIE CHCE ZBANKRUTOWAĆ

Także wiadomości o bankructwie Rosji są przedwczesne. Rachunek za wojnę czeczeńską będzie, to już jasne, znacznie wyższy niż w najbardziej pesymistycznym scenariuszu. Najpierw wojna miała w ogóle nic nie kosztować. „Budżetu się nie ruszy. Wystarczą rezerwy”, powiedział minister finansów. Minister gospodarki był większym realistą. „Odbudowa Groznego, 400.000 mieszkańców, będzie kosztowna, trzeba liczyć jakiś miliard dolarów”, powiedział. Eksperti spoza rządu mniej się krępują: 12 stycznia 1995 (kiedy do końca wojny – i wydatków, było daleko) rachunek już opiewał na 5 miliardów, z czego jedna trzecia na odbudowę, a reszta na koszty wojowania (poza ofiarami w ludziach nie nadającymi się do buchalteryjnego obliczenia).

To wszystko bujda. Wszystkie obliczenia opierają się na sowieckich kalkulacjach, według których np. bombowiec kosztuje 2,5 miliona dolarów, helikopter: 300-400.000, czołg – 700.000, paliwo, energia itd. w tym stylu. Kiedy dolar wart był oficjalnie 80 kopiejek, a dziś (początek maja) przeskoczył już 5.000 rubli. W istocie, trzeba te dane pomnożyć przez 50 albo i 100 aby otrzymać mniej więcej realny obraz.

a) Potrójna wojna

Rachunek tym bardziej potrzebny, że choć Grozny i właściwie cała Czeczenia już padły, to wojna i jej koszty się nie skończyły. Jak Szamil przed ponad 100 laty, Czeczeńcy znowu odprawiają misterium i, potrząsając kałasznikowami, odtańczą „Zikr”, ten powolny, (w telewizji wypada śmiesznie) taniec w rondzie, po czym pójdą w góry Kaukazu. I zacznie się – już się zaczęła – nie carska, ani stalinowska, a po prostu „demokratyczna” rosyjska okupacja. Jej koszty są trudne do przecenienia.

Zacznie się bowiem potrójna wojna. Przeciw okupantowi. Przeciw kolaborantom, których okupant instaluje w ruinach zamku prezydenckiego. I przeciw „zdolności oporu” okupantów i kolaborantów na pokusy korupcji. To przecież, jak twierdzi Jelcyn, czeczeńska specjalność. To także trzeba doliczyć do kosztów wojny. Po stronie „winien”...

A przecież i przedtem nie działo się na Rusi dobrze. No i proszę, tu znowu paradoks. Choć, naturalnie, kryzys czeczeński ostro wpłynie na postępowanie w gospodarce rosyjskiej, to, na średnią i dłuższą metę, Rosja nie ma wyboru i jest na... dobrej drodze. Sprawy zaszły już za daleko, aby można było się z rynku wycofać. Zagraniczny kapitał to najlepszy termometr. Inwestycje zachodnie w Rosji ciągle są niższe niż w Azji czy Ameryce Łacińskiej, ale idą ostro w górę. W 1994 osiągnęły ok. miliarda dolarów. Od stycznia nieustannie rosną a ceny rosyjskich akcji uznane są za coraz bardziej atrakcyjne.

b) Rosjanie na książeczkach

Anders Aslund, znany ekonomista amerykański, były doradca rządu rosyjskiego do spraw reformy gospodarczej, obecnie członek *Carnegie Endowment*, poważnego *think-tanku* w Waszyngtonie, ogłosił zdumiewający (dla laików) artykuł w *Washington Post*. Według Aslunda, reformy w Rosji nie tylko nie zostały zastopowane, ale się rozwijają. Po trzech latach „tranzytu” z socjalizmu do rynku, ogromne problemy społeczne ciągle jeszcze ciąży na Rosji, ale gos-

podarka rosyjska odbija się od dna. W latach 1991 i 92 poziom życia spadł o 20%, ale w ciągu ostatnich dwóch lat realne dochody ludności wzrosły o ponad 10%. Rosja – pisze Aslund – notuje zaskakujące i pozytywne zjawisko, a mianowicie wysoką stopę oszczędzania: ok. 25% dochodów rodzinnych idzie na książeczkę. Prywatyzacja objęła już 62% gospodarki rosyjskiej i tylko 20 zakładów przemysłowych „strategicznym” figuruje jeszcze na liście ochronnej. 40 milionów Rosjan jest w posiadaniu akcji sprywatyzowanych przedsiębiorstw. Fachowcy twierdzą, że jest to początek powstawania średniej klasy w Rosji. Rząd prowadzi ostrą politykę monetarną, inflacja która wynosiła 18% w styczniu, w marcu spadła już do 9% i – jak sądzą wielkie banki międzynarodowe – może spaść do 2-3% z końcem tego roku. Stopa procentowa spadła z 300% w ubiegłym roku do 120% obecnie. Deficyt budżetowy będzie oscylować poniżej 6%. Wszystko to oznacza, że – jak mówi Aslund – budżet rosyjski na ten rok można traktować poważnie, i że, jak mówią bankierzy, można się spodziewać, iż ukryte wewnętrzne rezerwy finansowe oceniane na ok. 170 miliardów dolarów zaczną się inwestować w gospodarkę krajową. W końcu, mówią fachowcy, Międzynarodowy Fundusz Monetarny, który udzielił niedawno Rosji ok. 7 miliardów dolarów kredytu i zapowiedział więcej na bliską przyszłość, nie jest administrowany przez idiotów. Rosja jest u początków budowy gospodarki rynkowej. Wszystko się może jeszcze zatrzymać a nawet cofnąć. Idą niewątpliwie – zwłaszcza w populistycznej atmosferze zbliżających się wyborów – ostre konflikty społeczne. Rozczarowanie wynikami reform jest w Rosji większe niż w Polsce czy na Węgrzech, a wiadomo do czego ono w tych dwóch krajach doprowadziło. A jednak... Po interwencji w Czeczenii mogło się wydawać, że wybór jest tylko między wojną a reformami i że pytanie było: czy można jeszcze wybierać, czy też jest już za późno? Zdaniem fachowców, nie jest.

PARADOKS NR 3: BONAPARTEGO NIE WIDĄĆ

„Jeden pułk spadochroniarzy załatwi sprawę w dwie godziny...”. Co załatwi? Czeczenię. Kto tak twierdzi? Generał

Graczow, minister obrony Rosji. Kiedy tak uważał? W grudniu 1994, tuż przed interwencją w Czeczenii. Kogo o tym przekonał? Prezydenta Jelcyna, który wydał rozkaz, aby skończyć z Czeczenią „jak najszybciej się da”.

Na pozór, generał, weteran z Afganistanu, zwycięzca w bitwie o Biały Dom, to znaczy wykonawca „wariantu Jelcyna”, powinien znać się na rzeczy. Teoretycznie, rosyjski korpus ekspedycyjny powinien był rzeczywiście załatwić sprawę w dwie godziny. 11 grudnia 1994, kiedy ruszyła ofensywa, korpus rosyjski liczył ok. 25.000 żołnierzy, w tym kilka jednostek elitarnych, paraszutystów z Pskowa, Tuły i Stawropola, grupę „Vitiaz”, opromienioną sławą z ataku na telewizję Ostankino w październiku 1993, pograniczników z Kaliningradu i *marines* z Murmańska. Wspierały ofensywę (jak się potem okazało, prowadziły ją nawet) setki czołgów i pojazdów pancernych, no i lotnictwo, bombowce i helikoptery, z baz wokół Czeczenii, w Stawropolu, Rostowie, Osetii itd. Kogo tam nie było? Były wojska podległe trzem ministerstwom: Obrony, Spraw Wewnętrznych i FSK (kontrwywiad, spadkobierca KGB), ale nie było dowództwa z prawdziwego zdarzenia.

Pięć miesięcy później, rozkaz prezydenta jest ciągle aktualny. Rzeczywistość nie potwierdziła więc obietnicy generała Graczowa. Ogromnej (jak na Czeczenię) armii rosyjskiej nie udało się pokonać wroga. Jakiego wroga? Kilku tysięcy żołnierzy, w tym tylko 800 jako tako zorganizowanych z czasu kiedy, niedawno, pomagali Abchazom w zabijaniu Gruzinów. No i resztę, to znaczy właściwie cały, żeby tak to ująć, naród (choć jest to raczej zbiór często zwaśnionych klanów czy rodzin), krótko mówiąc wszystkich Czeczeńców zdolnych do noszenia broni. Graczowowi udało się bowiem przekonać Czeczeńców, że wspólna nienawiść do Rosji powinna być silniejsza niż klanowe interesy, które ich dzielą. Nawet Dudajew, którego większość Czeczeńców nie cierpiała, stał się uznanym dowódcą ruchu oporu przeciwko najeźdźcy.

Mniejsza jednak o przebieg interwencji. Znana jest z gazet i telewizji. Dziś warto zastanowić się nad wnioskami, jakie można z pejzażu po bitwie zacząć wysnuwać.

a) Ślepe czołgi

Z jednej strony chodzi o zjawiska widoczne – że tak powiem – gołym okiem. Np. błędy sztabowe. Takiej kompromitacji wojsko rosyjskie nie zaznało od czasu wojny – najazdu na Finlandię w latach 1939-40. Trzy lata Dudajew robił co chciał. Graczow miał dosyć czasu na przygotowanie interwencji. Amerykanie, o większych możliwościach, spędzili 6 miesięcy na przygotowaniu ataku na Saddama Husseina. Rosjanie wyprawili się na Czeczenię jakby szli na wycieczkę.

Albo błędy psychologiczne. Np. niedocenywanie przeciwnika. Rosja nie poradziła sobie z Czeczeńcami ani w XVIII i XIX wieku, ani w latach 1918-1920, ani nawet po stalinowskiej deportacji w 1944 roku. Były też ewidentne błędy operacyjne: czołgi w mieście są – jak to powiedział pewien polski generał – po prostu ślepe. W ciągu kilku tygodni bitwy o Grozny, Czeczeńcy zniszczyli – „wynik” bez precedensu – ok. 200 czołgów, czyli równowartość dywizji pancernej. Na krótko przed inwazją, pewien generał rosyjski powiedział, że „tylko idiota może posłać czołgi do miasta. Byłby to szczyt amatorszczyzny”. Generał miał nazwisko Graczow i to on sam wydał potem rozkaz pancernego najazdu na Grozny. Do tego trzeba dopisać bardzo złe przygotowanie żołnierzy, wysoki procent świeżych poborowych, bez żadnej świadomości celu i sensu wyprawy, bez żadnego doświadczenia, wysyłanych właściwie na śmierć, bo absolutnie nie przygotowanych na starcie z oddziałami nieregularnymi, a często partyzantami, strzelającymi lub rzucającymi butelki z benzyną pod czołgi zza każdego węgła.

Niewystarczająco wyszkoleni piloci (25 godzin lotu rocznie w Rosji zamiast 180 w USA) spowodowali ogromną liczbę ofiar cywilnych: kobiet, dzieci i starców, a także (błąd w precyzji) w szeregach rosyjskich. Fatalna logistyka, brak koordynacji, niedostateczne dostawy żywności, mundurów itp. Zanim, w pewnym stopniu, jakoś się to wszystko dotarło, straty były ogromne.

Ale, wiedza sztabowa, odpowiedzi na pytanie „co wojsko ma?” lub „na czym wojsko stoi?”, to sprawa specjalistów. Bardziej interesująca wydaje się polityka. Czeczenia to także z tego punktu widzenia ogromne pole do refleksji. Armia ro-

syjska jest w konwulsjach. Nie wytrzymała ani rozpadu ZSSR, ani gwałtownego przejścia od systemu komunistycznego do początków demokracji. Cała koncepcja Armii Czerwonej – np. system poboru, wychowania (indoktrynacji) lub zaopatrzenia, to znaczy przemysłu zbrojeniowego – była oparta o skalę ZSSR, o jego status superpotęgi i o funkcjonowanie monopolistycznej partii. Kompleks wojskowo-przemysłowy, stanowiący żelazny szkielet ZSSR, był w równym stopniu nastawiony na sprostanie ewentualnej wojnie, co i na zapewnienie jednoci państwa i nienaruszalności imperium, co zresztą, w przypadku Rosji, wychodzi na jedno. Kiedy okazało się, że to co wydawało się niemożliwe, jednak się stało, kiedy zniknęły imperium i partia, kiedy trzeba było się wycofać – na zasadzie klęski – z Afganistanu, a według niektórych – na zasadzie ponizenia – z Europy, wojsko się zatrzęsło. I jeszcze się trzęsie. Państwo (budżet) i, co za tym idzie, kompleks wojskowo-przemysłowy nie jest już w stanie pokryć wszystkich potrzeb armii. Wojsko – jak powiedział Graczow – „jest w ruinie”.

I w tym wypadku, naprawdę w kryzysie. Nastąpiła pauperyzacja wojska. Kiedyś elita społeczeństwa, dziś średni i młodszy korpus oficerski, zwłaszcza repatriowany z zagranicy, wegetuje, bez godziwych mieszkań i z niszczoymi inflacją poborami, na granicy ubóstwa. Częsty jest widok młodego oficera, który, po zajęciach w wojsku, pomaga pracować na roli, w budownictwie, a nawet w pokątnym handlu, oscylując na granicy przestępstwa. Pozbawieni prestiżu, młodzi oficerowie, nie mówiąc już o poborowych, nabierają przekonania, że są (np. w Czeczenii, ale także w Tadżykistanie) zwyczajnie mięsem armatnim, instrumentem realizacji polityki, której nie rozumieją i która, wyraźnie, nie działa w ich interesie. Są więc podatni na wszelkiego rodzaju pokusy. I często („z czegoś trzeba żyć”) im ulegają. Ulegają tym łatwiej, że kiedy powstanie rynku rozwaliło sowiecki system zaopatrywania armii, pojawiła się korupcja na najwyższych szczeblach.

b) Nikt się nawet nie odwróci

Otóż, nowy paradoks, mimo całej nazwijmy ją patologii związanej z konfliktem czeczeńskim, mimo ujawnienia

wszystkich błędów czy nawet zbrodni z nim związanych, wykazał on również, że wojsko nie chce się mieszać do polityki. To prawda, że armia przestała już być „wielką niemową”, że są oficerowie a nawet generałowie, którzy nie ukrywają tego co myślą. „Jeżeli politycy chcą wziąć miasto Grozny, to niech się za to sami wezmą”, powiedział np. generał Podkowzin na pogrzebie poległego w Czeczenii jednego ze swych żołnierzy. „Jestem gotów prowadzić atak na Grozny pod warunkiem, że szturmowy oddział składać się będzie z dzieci polityków moskiewskich”, powiedział generał Lebied'. „Wojna czeczeńska jest nie do wygrania”, powiedział generał Gromow. To nie wszystko. Kilku generałów odmówiło wykonania rozkazu. Generał Babiczew odmówił strzelania do cywilów blokujących drogę jego czołgom. Trzech wiceministrów obrony zostało zwolnionych za krytykę dowództwa itd. itp.

Ale prawdą jest także, że nie było nawet próby buntu. Że choć armia dawała się użyć w polityce lub też nawet, jak w puczu z sierpnia 1991 lub w wojnie z parlamentem w 1993, odegrała w niej rolę decydującą, to nigdy właściwie po władzę nie sięgnęła. Po śmierci Stalina wojsko zapewniło aresztowanie Berii. W 1957 roku, wojskowe lotnictwo zwiozło na czas członków KC i uratowało Chruszczowa od „grupy Kaganowicza i tych co się do niej przyłączyli”. W 1964 roku, wojsko pomogło Breżniewowi, bo politycy uznali, że fanaberie Chruszczowa zaczęły być niebezpieczne. W 1985 roku opowiedziało się za Gorbaczowem, bo generałowie, lepiej od innych znający prawdę o dramatycznej sytuacji gospodarczej, rozumieli, że bez reform się nie obejdzie. Ale, i tu nowy paradoks, mimo dramatycznych wstrząsów ostatnich kilku lat armia rosyjska „Bonapartego” nie wyłoniła. Choć teoretycznie mogła...

W czasie wojny w Zatoce Perskiej, francuski minister obrony, Chevenement, uznał, że członek rządu, który się nie zgadza z prowadzoną polityką „albo trzyma głowę na kłódce, albo podaje się do dymisji”. I podał się. Otóż, jak się okazuje, nie tylko ministrowie i nie tylko we Francji. Generałowie także, i także w Rosji. Generał Aleksander Lebied', młody, 44 lata, weteran z Afganistanu i dowódca 14 armii okupującej rusofońską część Mołdawii, był właściwie faworytem prasy

światowej na rosyjskiego „Bonapartego”. Usta mu się nie zamykały, przyjmował każdego zagranicznego dziennikarza jaki się tylko w tym zakątku pojawił. Generał Lebied' o panu Chevenement nie słyszał za co drogo już płaci. Lebied' popełnił trzy niewybaczalne błędy. Krytykował Jelcyna i Graczowa właściwie za wszystko, a w tym za wojnę w Czeczenii, którą nazwał „idiotyzmem”, dziełem dyletantów albo wariatów, i proponował obu przełożonym dymisję. Zdobył sobie (dzięki temu) wielką popularność nie tylko za granicą, ale i w kraju i w wojsku. No i sam sobie przepowiadał wielką karierę polityczną, sugerując, że w razie gdyby ojczyzna znalazła się w niebezpieczeństwie... „Rosja zawsze prosperowała pod rządami autokratów”, powiedział Lebied', nie kryjąc swego podziwu dla carów i generała... Pinocheta.

W innym rejestrze, podobnie zachował się „najślynniejszy Afganiec”, generał Borys Gromow, ostatni oficer, który przeszedł most na Amu-Darii w przeciwnym kierunku. Też bardzo krytyczny wobec operacji czeczeńskiej („to będzie drugi Afganistan”, przepowiadał) i też bardzo popularny generał.

Mniejsza o detale. Uważani powszechnie za „nietykalnych”, obaj generałowie zostali „dotknięci” przez władzę, skazani jeszcze (początek maja) nie na „niebyt” wojskowy, ale już na inny byt, gorszy, mniej wpływowy, i nikt się w ich obronie nawet nie odwrócił. Inaczej mówiąc, można założyć, że kiedy trzeba będzie zapłacić rachunek za Czeczenię, za straty wojskowe, za szkody moralne, za zepsucie, za przerażającą liczbę samobójstw w armii, za tylko 27% rekrutów zgłaszających się do komisji poborowych – no bo taki dzień naturalnie kiedyś przyjdzie – to Jelcyn wyrzuci Graczowa i też nikt się nie odwróci. I można też założyć, że sam Graczow, choć jest świadomy nieuniknionej perspektywy, nie będzie próbował się jej siłą przeciwstawiać.

Jeszcze inaczej mówiąc, sięgamy znowu ważnego paradoksu. Poniżone, osłabione, skompromitowane wojsko jest w pewnym sensie czynnikiem politycznej stabilizacji w Rosji. Naturalnie, żaden generał nie był zadowolony z upadku imperium, z utraty statusu supermocarstwa, z obecnej supremacji USA, z powrotu Rosji do granic sprzed trzech wieków („bez oddania jednego strzału”, powiadają), z pojawienia się

NATO we wschodnich Niemczech i z perspektywy ekspansji sojuszu aż po wschodnie granice Polski. Ale, równocześnie, wojsko jest zdania, że powołane jest do obrony Rosji przeciw zewnętrznemu zagrożeniu (nawet kiedy szło z „bratnią pomocą” na Budapeszt, Pragę czy, nie do końca, Warszawę), natomiast wojowanie z własnymi obywatelami powinno być zlecone i pozostawione policji. W czasie zimnej wojny, wojsko sowieckie, kontrolujące 30.000 głowic atomowych, było instytucją zasobną, rozważną i przewidywalną. Wiele znaków wskazuje, że wojsko rosyjskie, kontrolujące podobną liczbę głowic atomowych, chciałoby taką instytucją pozostać.

Wojsko miało dwa sposoby – powiedział pewien inteligentny polityk rosyjski – na przekazanie tego poglądu władzy. Pierwszy to niewykonywanie rozkazów. Drugi, to ich pełne wykonanie. Obie te metody zostały w Czeczenii w pełni zastosowane.

PARADOKS NR 4: GDZIE SIĘ KOŃCZY EUROPA?

Z końcem kwietnia przyjechał do Brukseli Vaclav Havel. Prezydent czeski wygłosił przemówienie na forum *Shapex*’u, to znaczy dorocznej konferencji szefów sztabu państw członkowskich NATO. Przemówienie było bardzo ładne, realistyczno-uczuciowo-ironiczne, ale nie dopasowane do audytorium. Havel posłużył się paradoksem i myślał, że zaskoczy generałów. Wątpię, czy mu się to udało. Havel mianowicie nie tylko nie zaproponował szybkiego objęcia Czech gwarancjami NATO, ale, odwrotnie, powiedział żeby się panowie nie spieszyli. Historia, zauważył Havel, nie skończyła się na rozbiciu muru berlińskiego i sytuacja NATO także się zmieniła. Do rozszerzenia NATO, powiedział Havel, powinno więc dojść dopiero po ustaleniu na nowo racji istnienia, misji i sensu Sojuszu, jego zasięgu oraz gatunku i skali stosunków z Rosją. Rozszerzone NATO będzie naturalnie różnić się od obecnego. Ale fizyczna ekspansja NATO, bez ekspansji mentalności i koncepcji Sojuszu, nie wystarczy aby zapewnić właściwe jego funkcjonowanie.

Havel przypominał, że był tym prezydentem, który na zebraniu w Pradze ogłosił rozwiązanie Paktu Warszawskiego

i dodał, że jest pierwszym politykiem z państw poza-natowskich zaproszonym do wystąpienia na *Shapex*’ie. Rozwiązanie Paktu Warszawskiego bardzo się Havlowi udało. Nie jestem pewny czy uda mu się równie skutecznie namówić *Shapex* do szybkiego samookreślenia się i do jasnego ustalenia polityki wobec Rosji.

Tak więc, paradoks Havla nikogo w Brukseli nie zaskoczył. To nie jego wina. Tutaj nikogo już od dawna zaskoczyć się nie da. NATO pracuje obecnie nad roboczym raportem na temat „dlaczego” sojusz atlantycki ma się rozciągnąć na wschód i „jak” miałby to przeprowadzić nie ryzykując zdenerwowania Rosji. Raport ma być ukończony do września tego roku, po czym o wynikach zostaną poinformowane państwa kandydackie.

Jak z tego wynika, poszukiwanie odpowiedzi na naprawdę ważne pytania: „kto” miałby wejść do NATO i „kiedy”, zacznie się znacznie później i szybko spodziewać się jej nie należy. Inaczej mówiąc, nikt nie powinien liczyć na to, że w atlantyckiej Brukseli jest ktoś taki, kto mógłby dziś określić z jaką taką dozą powagi przybliżoną choćby datę podjęcia pierwszej decyzji w procesie rozszerzania NATO.

Dlaczego? Sam Havel na to właściwie odpowiedział. Wśród rozmaitych elementów jego refleksji, czeski prezydent mianowicie nie zapomniał o Rosji. Sojusz atlantycki, powiada Havel, powinien z Rosją współpracować „na równych prawach”, traktując Rosję nie jak przeciwnika, a jak kraj, z którym skłonny jest nawiązać strategiczne partnerstwo. Równocześnie jednak Havel zwrócił uwagę na fakt, iż ekspansja NATO musi się gdzieś w jakimś punkcie zatrzymać. Tak, ale gdzie, pyta czeski prezydent, gdzie kończy się Europa? Jakakolwiek byłaby geograficzna odpowiedź na to pytanie, Havel wyklucza dwie rzeczy: nie może powstać nowa żelazna kurtyna i Rosja nie może być członkiem NATO. Rosja, powiada Havel, jest wielkim, jednym z największych na świecie, mocarstwem eurazjatyckim, i w żaden rozumny sposób nie można sobie wyobrazić aby mogła być zintegrowana w jakąś strukturę bezpieczeństwa, wyrosłą z innych tradycji historycznych i z innych korzeni duchowych.

Zgoda, ale co dalej? Co zrobić z Rosją? Jak ją przekonać, że nie leży w Europie? Czy można traktować poważnie groźby

Rosji powstrzymania procesu reform demokratycznych i demilitaryzacyjnych w ripocie na ewentualne rozszerzenie NATO na kraje Europy środkowej? Moim zdaniem, nie powinno się za bardzo tej groźbie ulegać, ale rozumiem, że Zachód nie może łatwo zrezygnować ze swej wizji demokratycznej, liberalnej, zdemilitaryzowanej Rosji. Zachód jest przekonany, że, z braku wyobraźni, zmarnował swe „rendez-vous avec l'Histoire” kiedy dał się zaskoczyć, nie poszedł za ciosem i pozostał bezradny po upadku muru berlińskiego. NATO nie chce więc zmarnować nowej szansy, jaką stanowi możliwość przesunięcia gwarantowanej demokracji aż po wschodnią granicę Polski. Tylko, nikt nie wie jak do tego doprowadzić tak jednak aby nie storpedować podstawowego celu, to znaczy pokojowego rozbrojenia Rosji. Na te pytania Havel odpowiedzi nie udzielił. NATO jednak szukać jej musi. Jak? Na różne sposoby.

a) Samouczek czekania

Po pierwsze: unikać zgrzytów, odczekać, grać na zwłokę. Samouczek „czekania” znalazłem niedawno w amerykańskim czasopiśmie *Foreign Affairs*, w artykule pana Richarda Holbrooke’a, zastępcy sekretarza stanu USA do spraw Europy i Kanady. Jeżeli, powiada m.in. Holbrooke, Zachód ma stworzyć trwałe ramy bezpieczeństwa dla Europy, musi włączyć Rosję w stabilny system europejskiego bezpieczeństwa. Słusznie. Tylko jak?

Holbrooke np. twierdzi, że decyzje o rozszerzeniu NATO (czy, jak, kto i kiedy) podjęte będą wyłącznie przez Sojusz. To jasne. Ale, jasne także, że Zachód nie może się nie liczyć z – bo tak je trzeba nazwać – rosyjskim *veto*. Nie można wszak proponować Rosji „strategicznego partnerstwa” i nie konsultować, jak mówi i Havel i Holbrooke, „strategicznego partnera” w tak ważnej sprawie.

Żeby to uzasadnić, Holbrooke maluje nierzeczywistość. Mówi, że np. Rosja „aktywnie działa w OBWE (byłe Hel-sinki) i współpracuje ściśle z USA w nadawaniu tej organizacji większej rangi”, podczas kiedy w istocie Rosja złamała w Czeczenii wszystkie absolutnie podpisane przez siebie

dokumenty OBWE, w tym niedawno uchwalony w Budapeszcie „kodeks właściwego postępowania” w sprawie niestosowania siły w rozwiązywaniu konfliktów etnicznych. Albo, inny przykład. Rosja, podkreśla amerykański dyplomata, uczestniczy w grupie kontaktowej w sprawie Bośni, która „prezentuje jednolite stanowisko w trudnej kwestii bezpieczeństwa”. Nieprawda. Rosja jest w grupie kontaktowej, ale stanowisko ma odmienne i regularnie działa na rzecz Belgradu i Serbów. Przecież właśnie doszło do premiery: po raz pierwszy został karnie usunięty od dowodzenia generał kierujący oddziałami „niebieskich hełmów” w byłej Jugosławii. Jest to rosyjski generał Aleksander Pierielakin, winny wykorzystywania swego stanowiska dla dozbrajania Serbów w Krainie. Bez zgody i wiedzy Graczowa?!

Po co Holbrookowi takie łamańce? Po to aby powiedzieć, że nie tylko Rosja nie ma prawa *veta*, ale że Polska także go nie ma. Po to aby wyjaśnić dlaczego proces rozszerzania NATO na kraje Europy środkowej jest, jak pisze Holbrooke, „ciągle w fazie początkowej”, dlaczego będzie „stopniowy i umiarkowany”, i dlaczego spełniać musi bardzo trudne i ambitne warunki, ujęte w siedmiu, a w innym późniejszym tekście tego samego autora, aż w 10 punktach. Oraz aby przypomnieć, że „wymaga on porozumienia wszystkich 16 członków NATO” i, co mocno podkreśla Holbrooke, że „każdy nowy członek NATO powoduje podjęcie przez USA najbardziej solennego ze wszystkich zobowiązań: traktatu dwustronnego, który rozszerza amerykański parasol bezpieczeństwa na nowy kraj. To zaś wymaga ratyfikacji większością dwóch trzecich głosów przez amerykański Senat, rzecz której adwokaci natychmiastowej ekspansji często nie dostrzegają...”.

W świetle tej argumentacji zrozumiałe staje się niewielkie znaczenie, jakie Holbrooke przypisuje tragedii Czeczenii. Naturalnie, „operacja rządu rosyjskiego przeciwko Groznemu, powiada Holbrooke, była rzeczą tragiczną i niepotrzebną”. Ale, podkreśla on, „konflikt czeczeński, choć sam w sobie straszny, nie zmienił natury interesów amerykańskich”. Holbrooke przypomina więc, że Prezydent Clinton oświadczył w styczniu, iż „ponieważ Rosja przechodzi historyczną transformację, strasznym błędem byłoby reagowanie na każdy jej

sukces i każdą porażkę...". Rosja, powiada autor, „została uznana za przyjaciela i partnera USA...” i jeżeli zwolennicy reform w Rosji „są zagrożeni (to) USA muszą wzmocnić, a nie wycofać, swoje poparcie dla nich”. A co z kandydatami do NATO? „*Il est urgent d'attendre*”, jak mówią Francuzi...

b) Sezon Piłatów

Po drugie, umyć ręce. Uznać, znaczy się, że Czeczenia to „wewnętrzna sprawa” Rosji. Zapomnieć, że przed prawie 20 laty, 1 sierpnia roku 1975, podpisany został długi dokument nazwany „Aktom końcowym z Helsinek”, w którym uroczystie i jednogłośnie uznano, że rozmaite Czeczenie stanowią „wewnętrzną sprawę” nie tylko jednego państwa (w tym wypadku Rosji), ale i 34 (a dziś ponad 50) innych państw i rządów. Zapomnieć także, że wszystkie szczyty szeroko pojętej „Europy”, od Stanów Zjednoczonych i Kanady po Związek Sowiecki (a dziś Rosję), proklamowały, iż sposób w jaki jakieś państwo traktuje swoich obywateli (nie mówiąc już o obcych) NIE stanowi, i nigdy już stanowić nie powinien, wewnętrznej sprawy tego państwa.

Począwszy od tej chwili, od „aktu” z Helsinek 1975, potwierdzonego przez Kartę z Paryża 1990 i przypieczętowanego przez komunikat końcowy z Budapesztu 1994, z nadania więc trzech kolejnych szczytów, z udziałem trzech kolejnych zespołów odnowionych kompletów prezydenckich, prawa człowieka NIE stanowią już „sprawy wewnętrznej”. Każde państwo, którego podpis figuruje pod tymi dokumentami, ma nie tylko obowiązek przestrzegania praw człowieka u siebie, ale ma także prawo, a nawet obowiązek przypomnienia każdemu innemu z państw-sygnatariuszy, że nie wolno mu stosować siły wobec jakiejkolwiek mniejszości w rozwiązywaniu konfliktów politycznych czy etnicznych.

Co za – witamy znowu – paradoks! Uznając w 1995 roku, że Czeczenia stanowi wewnętrzną sprawę Rosji, rządy demokratyczne zaakceptowały, 5 lat po upadku komunizmu i 3 lata po rozpadzie ZSSR, to, co ich poprzednicy odrzucili przed 20 laty w Helsinkach, kiedy Związek Sowiecki i komunizm wydawały się być u szczytu potęgi.

Powszechne uznanie, że prawa człowieka NIE stanowią wewnętrznej sprawy żadnego państwa, było od początku, od późnych lat 70-tych, choć tylko nieliczni zdawali sobie wtedy z tego sprawę, jednym z podstawowych czynników ostatecznego triumfu demokracji. Ogłoszenie prymatu demokracji i państwa prawa, potępienie imperializmu i nacjonalizmu, proklamowanie „prawa do interwencji”, obowiązku niesienia pomocy ludziom i narodom w niebezpieczeństwie, sygnalizowało, choć i to tylko nieliczni rozumieli, początek końca zimnej wojny. Czy świat demokratyczny powinien z tego wszystkiego zrezygnować tylko dlatego, że tę zimną wojnę wygrał?

Umyć ręce w tej sprawie nie będzie łatwo. Konflikt bałkański był, praktycznie biorąc, uznany za wewnętrzną sprawę Jugosławii. Czy to ma być wzór porządku w pozimnowojennym świecie? Grigorij Jawliński, ekonomista, rosyjski Balcerowicz, przywódca „Jablłka”, opozycyjnej partii demokratycznej, powiedział: „Demokraci rosyjscy są za jednością Rosji, ale nie za wszelką cenę”. Rządy zachodnie są więc bardziej rosyjskie niż Jawliński.

c) Ostatni szaniec?

Po trzecie, postanawiając, że w Rosji nie ma nikogo poza Borysem Jelcynem, że to on właśnie stanowi jedyny i ostatni szaniec demokracji w Rosji. Pytanie, czy jest to sposób skuteczny?

Przywódcy zachodni starali się zachować bardzo dyskretnie, kiedy bojówki sowieckiego OMON-u z początkiem 1991 roku zaatakowały wieżę telewizyjną w Wilnie, budynki rządowe w Rydze, manifestantów w Tyflisie. Zachód nałożył na siebie kaganiec autocenzury, właściwie nie zajął stanowiska wobec tych „spraw wewnętrznych” ZSSR, wszystko po to, aby nie skomplikować życia jedyne go wówczas gwaranta rosyjskiej demokracji, za którego uznano Michaiła Gorbaczowa. Reszta jest znana. Sześć miesięcy później był pucz i początek końca ZSSR i prezydenta Gorbaczowa.

W październiku 1993 roku nikt na Zachodzie nie powiedział złego słowa, kiedy „specnaz” rozwalał, na rozkaz

prezydenta, legalnie wybraną Radę Najwyższą w Moskwie. Jelcyń ratował wtedy demokrację, nie należało mu w tym przeskadzać. Półtora miesiąca później połowa Rosjan głosowała na Żyrynowskiego i prawdziwych komunistów.

d) *Dyplomacja: hipokryzja czy tchórzostwo?*

Po czwarte, przypominać ciągle że strategia Waszyngtonu wychodzi z założenia, iż Rosja to jedyny kraj na świecie, który jest w stanie zarówno atomowo zniszczyć USA co i, poprzez chaos, zdestabilizować połowę świata i przerzucić kryzys na „dobrą” stronę świata. Że, inaczej mówiąc, Amerykanie obawiają się zarówno siły co i słabości Rosji. Że, jeszcze inaczej mówiąc, nie należy się dziwić, że prezydent Clinton nie był obecny 8 maja w Londynie, a obecny był 9 maja na święcie zwycięstwa w Moskwie. I na formalnym „szczycie”, chociaż jeszcze kurz nie opadł na ruinach Groznego.

Albowiem, dyplomacja, która była zawsze synonimem hipokryzji, dziś jest coraz częściej współczesną formą tchórzostwa. 50 rocznica zwycięstwa była pod tym względem wyjątkowo urodzajna w wątpliwości. Paradoks, znowu on, sprawił bowiem, że choć niewiele jest zwycięstw tak bezwarunkowo oczywistych jak położenie kresu hitlerowskiemu barbarzyństwu, to mało było okazji bardziej dwuznacznych niż jego 50 rocznica.

Pomijam polską debatę i skandaliczny spór między prezydentem a premierem godzący w polską rację stanu. Jerzy Giedroyc określił stanowisko *Kultury* w artykule na łamach *Tygodnika Powszechnego*. Ale jak miał świat zareagować? Jechać czy nie jechać? Co miał do wyboru?

Czy miał, jak molierowski (strawestowany) Tartuffe zawołać, „ukryjcie te (w oryginale, przypominam, „piersi”) Omony w Czeczenii, których nie powinienem oglądać” i, jak gdyby nigdy nic, wziąć udział w moskiewskim *happening*’u? Czy też, zawołać jak André Glucksman i kilkuset innych intelektualistów głównie francuskich, że „nie będziemy świętować rocznicy zwycięstwa w cieniu czeczeńskich trumien” i wobec tego zbojkotować jalcynowski festyn? Czy też pamiętając, jak przestrzegał Malraux, że „polityki nie robi się przy

pomocy moralności, ale że nie robi się jej także bez moralności”, pojechać do Moskwy aby oddać hołd poległym żołnierzom sowieckim lub też aby, z całym cynizmem, ratować prestiż Jelcyna, ale także po to aby z całą mocą, głośno, publicznie, tak aby to wszędzie w Rosji słyszano, zaprotestować przeciw czeczeńskiej „sprawie wewnętrznej”?

Te ostatnie słowa dopisują już po ceremoniach w Moskwie. Potwierdził się ostatni na dziś paradoks, ten mianowicie, że 50 rocznica zwycięstwa nad Hitlerem, skojarzona z rocznicami wyzwolenia obozów śmierci, ujęta w kłamrę między Jałtą a Poczdamem, nie mogła być rocznicą ani banalną ani niewinną, a na pewno nie taką gdzie historia wszystko tłumaczy i wszystko usprawiedliwia. Jest wprost przeciwnie.

50 lat po wyzwoleniu obozu w Bergen-Belsen, spotkali się na apelowym placu dwaj panowie o tym samym nazwisku: Herzog Chaim, były prezydent Izraela i Herzog Roman, obecny prezydent Niemiec. Izraelczyk sięgnął do Historii. „Martwi mają prawo wybaczyć, powiedział, żywi nie mają prawa zapomnieć”. Niemiec także sięgnął do Historii, ale po to, aby wysnuć wniosek na dziś. „Jesteśmy odpowiedzialni, powiedział, nie tylko za to co czynimy, ale także za to na co pozwalamy”.

Te dwa zdania powinny być znaleźć się w słowach wygłoszonych przez wszystkich podróżników do Moskwy. Być z nimi w chwili, kiedy wstępowali na rocznicową trybunę wzniesioną dla nich w miejscu o nazwie „Wzgórze Męczenników”. To już nie jest paradoks. To jest *memento*.

Pisane 9 maja 1995

Leopold Unger

List z Wysp Sołowieckich do Paryża

Sołowki, 18 kwietnia

Poczta na Sołówkach jest kapryśna, jak pogoda na Północy, która bywa podobna do dziewcząt na tutejszej poczcie: to się gniewa, to duje, to mgłą kryje, to matem. Czasami samolot tygodniami nie lata, poczta leży gdzieś po drodze, ktoś ją czyta. Potem przychodzi rozdarta, powtórnie zaklejona, często w drugiej kopercie, na nowo zaadresowana, inną ręką. Nie pamiętam przesyłki z zagranicy, by nie „*postupila iz-za granicy w powreżdżionom widie*”, co za każdym razem potwierdza pieczęć, cytowanej treści. Dlatego proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy list z Maisons-Laffitte przyszedł po ośmiu dniach. Nie uszkodzony.

Język rosyjski rozróżnia: kielę monacha i kamerę w turmie. Polski obejmuje rzecz jednym słowem: cela. Na Wyspach Sołowieckich ruskie znaczenia zlały się w tych samych ścianach, w jednych kamieniach – w symbolu Wyspy, która jeszcze do niedawna, bo zaledwie do wynalezienia aeroplanu, była odcięta od świata osiem miesięcy w roku. Podróżnik ubiegłego wieku, Siergiej Maksimow, w *Roku na Północy* pisze, że sztormy jesienne, a potem lód, „zamykają dostęp na Wyspę na całą jesień, na całą zimę, na całą wiosnę, i żadnych kontaktów ze światem nie ma. Wtedy wypuszczają aresztantów z kazamatów – jedni spacerują po monastyrze, inni do cerkwi zachodzą. W maju, kiedy ziemia zaczyna tajać,

a ze wzgórz płyną srebrne potoki, wtedy mewy przylatują, najpierw jedna, jakby na zwiady, a potem reszta, po trzech dniach...”, otóż w maju aresztantów z powrotem zamykali w kazamaty...

Dzieje Sołówek to historia ruskiej celi, w obu jej znaczeniach, które tu plotą się w jeden wątek, tej wielowymiarowej fabuły. Rzecz jasna, opowiadanie o Sołówkach wychodzi poza ruską celę, tak, jak historia Rosji jest zaledwie epizodem w dziejach Sołówek, choć niewątpliwie epizodem najlepiej napisanym. Dzięki latopisarzom. Można bowiem powiedzieć, że historia Rosji bierze swój początek ze starych latopisów, które monach Nestor zebrał w *Powieść minionych lat*. Akademik Lichaczow, były zeka sołowieckiego łagru, dziś wybitny znawca staroruskiej literatury twierdzi, że to cela dawała latopisarzowi ów niezwykle punkt widzenia, „panoramiczne spojrzenie”, dzięki któremu widział on ruską ziemię z ogromnej wysokości. Na Sołówkach pierwszą celę zbudował inok Sawwati. W 1429 roku.

Wcześniej Wyspy były bezludne. Tylko duchy Saamów na nich żyły, i czasami Samojedzi koczowali. Saamowie to przodkowie Samojedów, autochtonów wybrzeży Białego morza – rybaków, myśliwych, szamanów – podobnych nieco do Indian Ameryki Północnej, i wyglądem, i obyczajami. Saamowie wierzyli, że Wyspy na zachód od stałego lądu leżą w połowie drogi na Tamten świat. Szamani Saamów raz w roku odprowadzali się na Wyspy, by tu pogrzebać ciała zmarłych wodzów, starszyzny plemiennej i swoje, gdy któryś z nich umierał. Na mogiłach budowali kamienne labirynty, by dusze zmarłych błędziły między kamieniami i nigdy nie wróciły na ziemię. Labirynty Saamów to inny wariant celi, znacznie starszy niż początki Rosji. Rozkwit cywilizacji Saamów nad Białym morzem przypada na przełom trzeciego i drugiego tysiąclecia przed naszą erą. Z tamtej epoki przetrwały najstarsze ślady człowieka na Północy: kamienne labirynty Saamów. Geolog Paweł Wasilewicz, wnuk Floreńskiego, mówi, że możemy się w nich przejrzeć, jak w lustrze...

Kiedy na Wyspy przyszli prawosławni, część labiryntów zniszczyli, inne ułożyli po swojemu, a przy niektórych krzyże wyłożyli, też z kamieni. Labirynty Saamów nazwali „babilonami”; jakoby dusze w nich grzęzną, jak w grzechu.

Kuzowa, święte skały Saamów, mnisi ochrztili mianem „świętyni biesa”...

Niewiele zostało po kulturze Saamów, klimat tu nie służy kulturze – tylko śnieg, lód i wieczna zmarzlina. A z drugiej strony prawosławni misjonarze, którzy skrzętnie obracali wniwecz każdy ślad pogaństwa: totemy, święte gaje, drzewa przodków. Tylko kamieniom nie dali rady i przejęli zwyczaj budowania z kamieni. Ściany sołowieckiego monasteru są wyłożone wałunami (to kamienie po kilka ton), co go odróżnia od wszystkich pozostałych monasterów w Rosji, jak zauważa Maksimow.

W *Żywocie świętego Sawwatia* można znaleźć cudowne zjawisko, od którego wzięła nazwę Siekirna góra, sztrafny izolator za łagru. Pewnego razu, podczas modlitwy, w lekkim śnie, błogosławiony zobaczył na tej górze anioła, który siekł różgami młodą Samoiedkę, za to, że nie dawała świętemu spokoju. Bracia później po swoim tołkowali zdarzenie: jako zakaz wpuszczania kobiet na Wyspę. Wyznaczyli pielgrzymom płci pięknej małą łudę (pozbawioną roślinności, kamienna wysepka), z tamtych czasów zwaną: Babia. Mam ją co dzień przed oczyma, bo wystaje z Białego morza naprzeciw mojego okna.

Dzisiaj historycy się upierają, że legenda o aniele, co siekł babę samoiedzką, jest odległym echem konfliktów między autochtonami i pierwszymi misjonarzami prawosławnymi – forpocztą ruskiej kolonizacji Północy. Inni specjaliści, od późniejszych czasów, przekonują dziś, że spuszczenie więźniów, przywiązanych do oblodzonej belki, z Siekirnej po schodach, też jest swojego rodzaju legendą...

Z przyjściem na Sołowki inoka Sawwatia kończy się niema historia kamieni i zaczyna latopis. Do dziejów wchodzi ludzie, ich legendy, ich słowa. Często epizody zależą od przypadku: od talentu latopisarza, od pożaru w bibliotece, a nawet od rodzaju czerniła. Bo czerniło w tamtych czasach grało wielką rolę w manuskryptach. Mistrzowie przepisywania ksiąg ostrzegali uczniów, młodych posłuszników, by nie zbliżali się do papieru, póki sami nie przyrządzą czerniła. Myślę, że czytelników *Kultury* zaciekawi miejscowy przepis. Podaję za receptariuszem z XVI wieku.

Używano wtedy czernił wędzonych, gotowanych, lub żelazistych. Te ostatnie były w największym rozpowszechnieniu. Weź żelazo w formie podłużnych blaszek z dziurkami, żeby je można było, na sznurek nanizawszy, zanurzać i wyciągać wygodnie. Jeśli nie masz blaszek pod ręką, weź stare zamki, klucze, łańcuchy. Możesz użyć czystego żelaza, bez rdzy, choć niektórzy wolą na odwrót, zardzewiały złom, a nawet zgorzelinę spod kuźniczego młota. Żelazo i grubo zmielone orzeszki czernilne połóż w naczyniu, gdzie się wykształci tak zwane „czernilne gniazdo”, które będziesz mógł używać osiem-dziesięć lat. Czernilne orzeszki to narośla na dębach, spowodowane owadami. Wybieraj pieczołowicie, bo bywają mocne, zielone, i dziurawe, blade. Potłucz je, zalej wodą z dodatkiem kwasu chlebowego (może być kapuśniak z kwaszonej kapusty) i postaw w ciemnym miejscu, lub zaraz opuść w roztwór żelazo. Potem dodaj do gniazda wywaru z kory dębowej, olchowej, lub jesionowej. Korę zdejmuj wiosną, gdy tylko sokiem podejdzie, wysusz – sucha więcej czerni daje. Gotuj w naczyniu z miedzi do wyparowania pierwszej wody. Znow zalej i trzymaj na małym ogniu aż zgęstnieje. Przecedź przez rzeszoto i wyźmij. Zatem przecedź przez sito i wyźmij. Zatem przecedź przez płótno i znow wyźmij. Wreszcie zlej do gniazda. Dla uzyskania soli żelazistych dodaj miód, piwo jęczmienne, lub wino czerwone, najlepiej wytrawne. Naczynie z czerniłem postaw w ciepłym miejscu i mieszaj kilka razy dziennie. Proces postępuje powoli: od dwunastu do czterdziestu dni. Uspokajaj brodenie wywarem z chmielu, tym samym nie pozwolisz rozwijać się pleśni. Jeśli czerniło będzie przenikało przez papier, dodaj wiśniowego kleju dla utwardzenia, by zaś lżej schodziło z pióra połóż w nie goździki i imbir...

Z poważaniem

Mariusz WILK

P.S. Dzisiaj przyleciały czajki. Wbrew temu co pisze Maksimow – przyleciały trzy! Maksimow na Sołowkach był raz, jesienią. O czajkach wiosennych opowiadali mu kiemscy wioślarze, z którymi płynął do monasteru. Lecz im o czaj-

czym zwiadzie też ktoś opowiedział, wszak widzieć go nie mogli, żyjąc wiosną w Kiemi. Może pielgrzym, który usłyszał o czajce w monastyrze; może posłusznik, który ją widział, kątem oka, w kawałku nieba wyrzniętym krawędzią muru z przestworzy, może w ten kadr wpadła tylko jedna, przysiadła na chwilę na kupole, skwirnęła, i odleciała do towarzyszek krążących nad zatoką Pomyślności – poza murami.

Zobaczyłem je z Filipowej Pustelni, która stoi na niewielkim wzgórzu, półtora wiorsty od sołowieckiego Kremla. Kiedyś było to ulubione miejsce igumena Filipa (Kołyczewa), którego Maluta Skuratow udusił na polecenie Iwana Groźnego, ale to inny epizod. Ze wzgórza widać Święte jezioro, Kreml, zatokę Pomyślności, Babią łudę, morze Białe, a na horyzoncie Kuzowa, święte skały Saamów... Raptem usłyszałem skwir, przenikliwy i radosny, a potem zobaczyłem radość samą: czajki przewracały się w powietrzu jak pijane, nurkowały, kołowały, zataczały kręgi. Byłem jedynym świadkiem trajektorii ich płasów nad Filipową Pustelnią...

M.W.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja

Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 28 marca 1995

KLAUZURA CZYLI ŚWIAT ODEPCHNIĘTY
(WCZORAJSZY DIALOG)

AUTOR. Pomyśl, tak długo mieszkam we Włoszech, tyle mam za sobą wojażowania po waszym kraju, że mógłbym napisać grubą i wyczerpującą *Italianische Reise*, a dopiero w zeszłym roku odwiedziłem twoje miasto rodzinne. Lucca! Nawet zaraz po wojnie, kiedy żołnierze jeździli wszędzie ogarnięci gorączką podróżywania, Lucca nie pojawiła się w żadnej z moich tras. Nie umiem powiedzieć dlaczego. W czerwcu zeszłego roku, wracając z Viareggio do Neapolu, postanowiliśmy (moja żona Lidia, nasza przyjaciółka Teresa i ja) zboczyć na drogę ze strzałką *Lucca*. Była niedziela, bardzo wcześnie rano, sam dojazd między świeżymi mimo lata polami, w przezroczystym i lekkim powietrzu, wróżył dobrze. Dasz wiarę? Byłem zachwycony, zakochany od pierwszego wejrzenia w twoim rodzinnym mieście zaraz po zaparkowaniu samochodu na pustym placu za murami. Trzeba ci wiedzieć, że osiedlwszy się w Neapolu, zawsze marzyłem o przeniesieniu się kiedyś do miasta średniej wielkości, takiego jak Parma, Siena, Werona, Ferrara, gdzie ocalały jeszcze resztki życia na miarę ludzką, gdzie człowiek nie czuje się wiecznie zdławiony, przytłoczony, wtopiony w masę. I oto Lucca, po trzygodzinnym zaledwie postoju (na więcej nie mieliśmy czasu), odbiła mnie swoim siostrą. Odtąd ona stała się przedmiotem moich marzeń.

LUCA. Dla mnie Lucca to młodość aż do matury, potem częste przyjazdy z Bolonii, mojego miasta uniwersyteckiego. Skończyłem tam architekturę, studiując równocześnie po amatorsku filozofię, ożeniłem się, założyłem rodzinę. Coraz rzadziej i rzadziej wpadałem na krótko do rodziców, którzy umarli przed trzema laty w tym samym dniu: rano matka po przewlekłej chorobie, po południu zrozpaczony jej śmiercią ojciec na atak serca; byłem wtedy z żoną i synem na wakacyjnej włości. Mieli dwoje dzieci, mnie i moją siostrę, dużo ode mnie starszą, zakonnicę w klasztorze Sakramentanek w Pizie. Nie przyjeżdżała nigdy do rodziców, żyjąc w bardzo surowej klauzurze; a dla nich stały się męką wizyty w Pizie, rozmawianie z córką przez tak gęstą kratę, że nie mogli nawet zobaczyć jej twarzy. Moja matka wyznała mi kiedyś: „Głos mówi mało, z każdym rokiem mniej, jak gdyby cichnie i zanika stopniowo, starzeje, traci odcienie. Tylko na twarzy można coś zawsze zobaczyć, miłość robi z nas malarzy-portrecistów”.

AUTOR. Lucca otoczona murami, dokoła miasta *Passeggiata delle Mura*. W środku połączenie czterech elementów: kościoły i klasztory (na ogół obrośnięte ogrodami); place i ulice które razem robią wrażenie wielkiego salonu, cisza atomicznego miejskiego ustronia (trudno o większy paradoks), zachowane i pielęgnowane resztki i odruchy staroświeckości. To wszystko na tle tokańskiego krajobrazu, łagodnego na pozór, niekiedy jednak udratyzowanego jak u renesansowych mistrzów.

Każde miasto odciska się w oku, umyśle i wyobraźni podróżnika czymś niezniszczalnym do końca życia. Dla mnie był to marmurowy kościół Świętego Michała, pizańsko-luccański, zaczęty w XII stuleciu, potem przez wieki uzupełniany, przebogaty w ornamentacjach, pełen kamiennych potworów i zwierzaków, ze statua *Świętego Michała Archaniola zabijającego Smoka*, z mniejszymi aniołami po obu bokach. Czy Lucca w nim posiada swój najgłębszy wyraz? Myślałem o tym wyjeżdżając, wspominając *Orazione ai nobili di Lucca*, którą napisał na początku XVI wieku jurysta i duchowny Giovanni Guidiccioni, późniejszy zaufany sekretarz i przyboczny dyplomata papieża Pawła III. Chłuba waszego miasta, to on w swojej oracji wezwał szlachtę do większego

umiaru i do wyrozumiałości w obliczu rewolty miejscowych, plebejskich producentów jedwabiu.

LUCA. Trafnie połączyłeś. Lucca uważała orację za swój drugi sławny monument, oprócz Świętego Michała. Przerażaliśmy to dziełko w ostatniej klasie liceum. Do dziś pamiętam koniec: „Przyjmijcie do waszego łona dwie siostrzyce wstawione cnotami, Sprawiedliwość i Umiarkowanie, które dla starożytnych były bliźniaczym spletem Harmonii”.

Mieszkaliśmy blisko Świętego Michała, za szkolnych czasów marmurowy pogromca Smoka był dla nas (może pod wpływem katechetów) idealnym wcieleniem zwycięstwa nad Złem...

AUTOR. Po przeciwnej stronie placu Świętego Michała przyciągnął nasz wzrok bujny ogród na wzniesieniu, ukrywający w zielonym gąszczu budynek z krzyżem na szczycie frontonu. Pociągnęliśmy za drut dzwonka koło furtki, po paru minutach w okrągłym otworze odchyliła się zastawka i ukazało się czyjeś oko. Furtian powiedział *convento di clausura* i natychmiast zasłonił okienko. Jestem ciekaw, czy to w tym właśnie klasztorze rozegrało się wydarzenie, które w zeszłym miesiącu wdarło się na łamy wszystkich prawie gazet włoskich.

LUCA. Nie, nie w tym klasztorze. W klasztorze kartuzjańskim *Certosa di Farneta*, od roku 1358 w ryzach żelaznej klauzury.

AUTOR. Porównując różne artykuły i korespondencje w gazetach, można wycisnąć istotę wydarzenia. Jest bardzo późna noc, około drugiej. Zakonnik w *Certosa di Farneta*, od dość dawna skarżący się na sporadyczne bóle serca, alarmuje towarzysza celi. Tym razem atak bólu jest gwałtowny, twarz chorego powleka się warstwą potu, z jego otwartych ust wydobywa się cichy jęk. Przypuszczalnie stan przedzawałowy. Przeor dzwoni do nocnego Pogotowia, szybko przyjeżdża ambulans z lekarzem dyżurnym. Jest nim kobieta. Przeor nie wpuszcza jej za próg klasztoru. Klauzura pozwala, w zupełnie wyjątkowych wypadkach, na wejście mężczyzny do klasztoru. Ale w żadnym wypadku nie dopuszcza obecności kobiety za mury. Lekarka próbuje perswazji, opór przeora i paru rozbudzonych zakonników jest nie do przełamania, lepiej nie tracić drogiego czasu, lekarka pędzi do ambulansu, po

drodze podaje szoferowi adres znajomego lekarza, zrywa go z łóżka, wyciąga go w szlafroku z domu i wraca z nim do klasztoru. Upłynęło w sumie około pół godziny. Lekarz zdążył tylko po to, by stwierdzić zgon. Przeor wyprasza go grzecznie z klasztoru. Wybiła godzina modlitw za duszę umarłego. Rzecz jasna, w przywróconej klauzurze.

LUCA. Byłem w moim mieście rodzinnym wkrótce potem, miałem do załatwienia formalności spadkowe. Lucca szumiała jeszcze dyskusjami, rozmowami w mieszkaniach, w barach, na ulicach. Szczerze mówiąc, zaskoczyło mnie to podniecenie. W rozmowach i dyskusjach przewijały się dwa wątki: klauzura i modlitwa za duszę zmarłego. Czy wolno do tego stopnia odpychać świat? Czy nie ma fałszu w modlitwie za duszę umarłego, którego można było uratować, naruszając sztywne reguły klauzury? Zapewne, gdyby przysłuchiwał się temu któryś z mnichów kartuzjańskich, wzruszyłby ramionami. Odepchnięcie świata jest naszym prawem. Śmierć nie jest dla nas tak ważna, jak dla was; pokrywa ją żałobnym całunem modlitwa; spotkamy się niebawem z naszym bratem zakonnym w zaświatach.

AUTOR. Nie byłyby to odpowiedzi zadowalające. Kto mówi że klauzura jest gromadnym pustelnictwem, błądzi. Gest pustelnika jest odmową życia, wyjściem ze świata i przyjęciem samotności, przy jednoczesnym odrzuceniu myśli o samobójstwie. Określono samobójstwo jako akt miłości negatywnej, lęgnie się ono i dojrzewa w sercu człowieka zamiast miłości, lecz wcale nie musi być popełnione, bywa że trwa latami jak stan zakochania w nicości. Czymś innym jest klasztorna klauzura, gromadne odepchnięcie świata. Choć o tym nie wie, zapuszcza korzenie w nienawiści. W nienawiści do odepchniętego świata. Syci się także pychą odrzucenia czegoś z natury gorszego. Modlitwa w klauzurze zawiera domieszkę zakłamania.

LUCA. Na pytania „Jak możecie tak żyć?” zakonnicy i zakonnice w klauzurze odpowiadają niezmiennie „Zadajemy sobie dokładnie te same pytania: jak możecie tak żyć? Co do nas, jesteśmy szczęśliwi poza światem”.

Ale zgadzam się z tobą. Jest w tym wszystkim wiele różnych składników: i nienawiść do świata (może raczej pogarda zabarwiona lękiem); i pycha albo poczucie wyższości wobec

naszej nędzy; i bezgraniczne, często zakłamanie zaufanie do modlitwy, która z biegiem czasu wysycha, staje się martwym drzewem o nagich konarach.

Kiedy po śmierci rodziców zdołano mnie odnaleźć i przywieźć na pogrzeb, zawiadomiłem natychmiast siostrę. Była już wówczas przeoryszą, sama dała sobie zwolnienie z klauzury na pół dnia. Mam wciąż żywą przed oczami tę scenę. Nie uroniła ani jednej łzy. Ucałowała matkę i ojca w czoła, obwiała ich splecione dłonie różańcami, powiedziała „będę się modlić za ich dusze” i wróciła do pizańskiego klasztoru. Wsiadła do samochodu *pospieszona*, jakby uciekała. Widziałem ją (jeśli wolno użyć tego słowa) rok temu. Przeżywałem ciężki kryzys rodzinny, z niechęcią myślałem o wciągnięciu w te bardzo osobiste sprawy moich przyjaciół, więc kto mi pozostał? Pozwolono mi – mężczyźnie! – wejść do żeńskiego klasztoru z klauzurą na polecenie przeoryszy. Przyznałem rację mojej matce: najbliższa nawet osoba za gęstą kratą jest co najwyżej żywym cieniem. Zwierzałem się długo – była to w gruncie rzeczy spowiedź – słuchała nie przerywając. Sam urwałem w końcu i przylgnąłem niemal uchem do kraty. „Proś Boga o pomoc, ja będę się za ciebie modlić”. Cień wydłużył się, czyli wstała. Wszystko co było mi potrzebne jako znak siostrzanej czułości skupiło się w dwóch słowach *Caro Luca*.

AUTOR. Zastanówmy się czym właściwie jest modlitwa. Kiedyś wspomniałem, że dla pisarza pisanie jest (czy może być) formą modlitwy. Najczystsza modlitwą jaką słyszałem (na kartach książki) była modlitwa trędowatego z Aosty, skazanego na wieczną samotność. Sam na sam z czymś wyższym od człowieka, w agonii lub twórczym wysiłku. Modlitwa, prawdziwa modlitwa jest ekspresją sytuacji krańcowych. W kościele bez trudu odróżniam modlących się naprawdę od poruszających machinalnie wargami. Z czego zdaje się wynikać, że warunkiem autentycznej modlitwy jest stan *indywidualnego* odłączenia, który zresztą możliwy jest także (choć trudniejszy) w gromadzie. Lecz nie w gromadzie tak zestrojonej we wspólnej modlitwie, jak zestrojony jest zespół ludzki wykonujący – bezmyślnie na ogół, z nabytego przyzwyczajenia – te same czynności. A modlitwy zbiorowe w klauzurze mają, jak słyszę, taki właśnie charakter.

LUCA. Nie to nawet jest najistotniejsze. Ostatecznie w klasztorach otwartych odbywa się coś podobnego. Istotne jest nasycenie modlącego się i modlitwy wiedzą o świecie. Gorszą czy lepszą, głębszą czy płytszą, lecz wiedzą o świecie, którą klauzura odpycha z zasady. Nie chce jej posiadać, uważa ją za zbędną w życiu duchowym człowieka wierzącego, gdy to ona nadaje życiu – gdziekolwiek ono się toczy – treść egzystencjalną. A wiara oderwana od egzystencji czym jest? Zewłokiem, pustą skorupą. Wracam do epizodu w moim rodzinnym mieście. Nieodpartym impulsem winno być dopomożenie cierpiącemu, przy tym impulsie reguły klauzury przestrzegane od stuleci są po prostu śmieszne, więcej – bezreligijne.

AUTOR. Jesteśmy obaj przeciw odepchnięciu świata, uważamy je za zdradę ludzkiej wspólnoty, którą w słowach chwalili również twórcy klasztornej klauzury. Dziś klauzura ma jedną tylko zaletę, a mianowicie bywa schronieniem dla szukających anonimatu. Kto chce zniknąć ze świata, a nie potrafi podnieść ręki przeciw sobie, może bez imienia resztę życia spędzić w klasztornej klauzurze. Istnieją na ten temat liczne legendy. Na przykład, nie brak święcie przekonanych, że genialny włoski fizyk atomowy Ettore Majorana, który tuż przed wojną ulotnił się bez śladu po przejeździe statkiem z Neapolu do Palermo, nie popełnił samobójstwa jako człowiek trapiący co prawdą wątpliwościami lecz równocześnie wierzący, wybrał natomiast wstąpienie do sycylijskiego klasztoru z klauzurą. Posiadają one na ogół własne cmentarze w obrębie murów, gdzie groby są oznaczone jedynie przybranymi imionami zakonników. Ten przypadek odepchnięcia świata budzi sympatię i zrozumienie.

3 kwietnia

Z zasady nie reaguję na agresywne zaczepki w prasie polskiej i włoskiej (zresztą rzadkie), chyba że posiadają ziarno chociaż dobrej wiary, albo przebiegają miarę zwykłej niestety w polemikach domieszki głupoty.

Nie czytuję *Gazety Wyborczej*, więc moja wierna znajoma z Warszawy musiała mnie telefonicznie zapoznać z

agresywną zaczepką Michnika pod moim adresem. Czy przeczytała przez telefon całą zaczepkę? Nie jestem pewien. W jej głosie pojawiło się w pewnej chwili wahanie, urwała nagle w pół zdania. Ale wystarczy to, co przeczytała.

O co poszło? Zbigniew Florczak (Pelikan) postanowił w tomie zebrać swoje grypsy wysyłane z Warszawy do *Kultury* i poprosił mnie o parę słów wstępu. Zaproponowałem mu przedruk z mojego dziennika zapisu o jego pisarstwie. W tym zapisie mowa między innymi o zachowaniu się pisarzy „krajowych” po decyzji współpracy z *Kulturą* w maskach pseudonimów. Wspomniałem, że Aleksander Wat, poprzedziwszy długim esejem (pod pseudonimem) zbiór opowiadań Terca-Siniawskiego, „umierał ze strachu”. Michnik to określenie nazywa (oczywiście głęboko oburzony) „napluciem na Wata”.

Rzecz jest ciekawa psychologicznie, wskazuje bowiem że nasz narodowy bohater (autentyczny) uważa za ciężką obrazę wskazanie w kimkolwiek uczucia strachu. To już nawet nie głupota, ale oznaka przedwczesnych procesów sklerotycznych. Pomijam fakt, że z „oplutym” przeze mnie Watem byłem w przyjaźni, kiedy Adaś i Jacuś biegali w krótkich porteczkach na zbiórki Czerwonego Harcerstwa. Istotniejsze jest to, że zaraz po bitwie pod Monte Cassino opisałem *własny* strach, spowodowany według mnie działaniem wyobraźni (zjawisko typowe dla wszystkich „inteligentów” w akcji wojennej, ludzie prości i pozbawieni wyobraźni szli do ataku jak żeńcy na wykos zboża), za akt odwagi poczytując przewyżczenie imaginacyjnych lęków, emocji i hamulców. Naplułem na samego siebie w tym opisie? Innego zdania byli moi dowódcy.

Bohumil Hrabal nie jest na pewno słabszym człowiekiem i pisarzem od Wata, a właśnie w listopadzie 1990 w tekście *Totalne strachy* przekazał potomnym poczucie wszechobecności strachu w ustroju totalitarnym. Wat „umierał ze strachu” nie tylko po napisaniu przedmowy do książki Terca. „Umierał ze strachu” po powrocie z ZSSR do PRL (dzięki apelom i staraniom Ważyka). Widziałem fotografię ze „zjazdu zjednoczeniowego” PPR i PPS: na trybunie stoją Bierut, Minc i Dzierżyńska, oklaskując gorąco wejście na salę pięcioosobowej delegacji ZLP. Wśród pięciu uśmiechnięty radośnie Wat, jakby przyszedł rzeczywiście na „zaślubiny dwóch robotniczych partii”, a nie na pogrzeb PPS (po jej uduszeniu w

ślubnym uścisku). Nikt mi nie wytłumaczy, że musiał (już wtedy chory) przyłączyć się do delegacji. Chciał po prostu. Bo „umierał ze strachu”.

Dodam wreszcie, że określenie „umierał ze strachu” nie jest mojego autorstwa. Zapytany przeze mnie w Rzymie, podczas wielogodzinnej rozmowy w winiarni koło Placu Hiszpańskiego, co robił we Lwowie pod okupacją sowiecką, Wat odparł bez chwili wahania i z tą typową dla niego otwartością: „umierałem ze strachu”. Musiał to być strach o bardzo wielkich oczach, skoro dowiedziałem się później (ale już nie od niego), że w jakimś moskiewskim piśmie zadeklarował się jako „pisarz sowiecki”. Trzeba raz na zawsze skończyć z głupstwem Miłosza, że „komunizm dał literaturze polskiej niebywałą szansę”, nagle bowiem „znalazła się wobec uniwersalnego tematu”. „Tylko że niewielu piszących wyciągnęło z tego wnioski”, dorzucił Miłosz. Wat, gdyśmy rozmawiali i bałamuctwie Miłosza, uśmiechnął się gorzko i powiedział: „Ja wyciągnąłem, ale za późno. Najpierw niebywałą szansę zmarnowałem, chwycony za gardło przez uniwersalny temat”. Usiłował później w *Moim wieku* wyrównać zaległe rachunki.

Przy sposobności słówko o jego *opus magnum*. Miłosz jest chyba najbardziej koleżeńskim i uczynnym pisarzem polskim, toteż należy mu się niski pokłon za wydobycie Wata z ciężkiej zapaści psychicznej serią nagrywanych w Kalifornii rozmów. Ale posuwa się trochę za daleko, zalecając jako dzieło epokowe książkę nierówną, przegadaną, kontrowersyjną, pełną nieścisłości, i z jednej strony wnikliwych refleksji, z drugiej zaś dziwacznych teorii i pomysłów interpretacyjnych Eksa (co dla czytelników z „lewicy” jest najważniejsze), któremu nad głową stuka w więzienny dach kopytkami Przemądry i Szczwany Diabeł (czy tylko *mielkij bies*). Odbyna się w Polsce bez przerwy obrzędowy Taniec Świętego Wata; rolę surowego i wymagającego wodzireja odgrywa w nim Miłosz.

6 kwietnia

Co w zapisie z 14 listopada 1991 było tylko marzeniem – podróż do Pragi – staje się „zaklepanym” już projektem:

pierwszy tydzień maja, z żoną i z dziećmi, jako goście Instytutu Polskiego. Tydzień, zaledwie tydzień, to za mało, ale więcej nie można. Dobrze i to, żeby w oku i w pamięci utrwalić obraz nigdy nie widzianego i tak ciągle śnionego miasta. „Cieszysz się jak chłopczyk, któremu podarowano w końcu długo obiecywany rower”, powiedział B. Dokładnie tak.

Mój zapis z 14 listopada 1991 poświęcony jest książce zmarłego w młodym wieku bohemy, rusycysty i polonisty Angelo Maria Ripellino *Praga magica*. I osobie jej autora, wielkiego erudyty, znakomitego tłumacza i poety. *Pragę magiczną* mógł napisać tylko erudyta i poeta, skrzyżowani w twórczej imprezie. Każdy rozdział napęczniały jest informacjami, „profesorskimi odsyłaczami i przypisami”, a równocześnie wzrusza i zachwyca prozą lekką, przejrzystą, nabita metaforami jak złotymi gwoździami. Jak on tę swoją „magiczną” Pragę kochał! Czasem opis maleńkiej uliczki, raczej zaułku, zamienia się w wiersz, zroszony łzami szczęścia, pełny wyczelowanych po mistrzowsku szczegółów. Potrafię i ja spojrzeć tak na Pragę, choćby na krótką chwilę?

Określenie „magiczna” nie jest tylko pomysłem André Bretona. Od przełomu XVI i XVII wieku, czyli od panowania przewrażliwionego, zamkniętego w sobie, podejrzliwego, melancholijnego Rudolfa II, stała się Praga grodem czarów, chiromancji, przystanią wróżbitów i alchemików, tygłem mistyki, czarnoksięstwa, domeną posiadaczy zaklęć i formuł zmieniających substancje. Przyjeżdżali ze wszystkich stron świata (był wśród nich także polski czarownik Michał Sędziwój-Sendigovius), głównie z Anglii, znajdowali posłuch i sute nagrody na królewskim dworze, zrozumienie i cechową więź ezoteryczną wśród komilitonów rodem z Bohemii (rzecz jasna, nie bez rywalizacyjnych podstępów). Ripellino cytuje dwóch poetów współczesnych, Nezvala i noblistę Seiferta. Pierwszy: „Na złotej uliczce hradczańskiej / czas stoi w miejscu / jeśli chcesz żyć pięćset lat / rzuć wszystko i poświęć się alchemii”. Drugi: „Alchemicy, zagotujcie wasze trucizny / wymruczcie ciemną formułę / wypiszcie znaki tajemnego alfabetu, / aby uzyskać i ukorzyć diabelską służbę”. Osobną dziedzinę, za murami getta praskiego, stanowiła magia czarodziejska uczonych rabinów. Rabin Löw stworzył Golema,

którego po wiekach wskrzesił w powieści praski pisarz Gustaw Meyrink. Golem, jak zobaczymy, żyje w różnych postaciach po dzień dzisiejszy.

Przychodzi mi do głowy, że atmosfera współczesnej literatury, wykarmionej sokami Bohemii, wiele zawdzięcza Pradze „magicznej”. No choćby Kafka. Czy tajemnicze zaklęcie nie wisi nad *Procesem*, *Zamkiem*, wieloma opowiadaniem? Czy *Metamorfoza* mogłaby powstać poza „magiczną” Pragę? Kafka zdawał sobie widocznie z tego sprawę, był niewolnikiem praskiej magii, lecz niewolnikiem pragnącym wyzwolenia. Myślał przecież o podpaleniu Pragi, „szponiastej mateczki, która nie popuszcza”.

Z gazet dowiaduję się, że najbogatsi kapitaliści prasy założyli ostatnio ekskluzywne stowarzyszenie pod nazwą „Golem”. Za panowania „socjalizmu realnego” podobne stowarzyszenie mogliby byli założyć członkowie Biura Politycznego. W ten sposób każdy antysemita miałby prawo zasadnie twierdzić, że i kapitalizm i komunizm są dziełem praskiego rabina Löwa, żydowskim wynalazkiem...

9 kwietnia

La lenteur jest pierwszą powieścią Kundery napisaną po francusku. Okropną powieścią, niezdarną, niewiarygodnie banalną, śmietniczką wątków czy epizodów, które łączy banalność narracji i duża szczypta świntuszenia (bez smaku i wdzięku); świntuszenie uważa Kundera, i zdaje się że zawsze uważał, za ingrediencję niezbędną z punktu widzenia „wydawniczej kasowości”.

Można naturalnie uznać, że pisarz czeski albo przeżywał złą passę swojej twórczości, albo w ogóle zanadto zaufał przekonaniu (wielokrotnie powtarzanemu) o nieograniczonych możliwościach sztuki narracyjnej, nietkniętych przez rzekomy „kryzys powieści”. Ale to niezbyt ciekawe i kazałoby tylko odłożyć *Powolność* na półkę ze wzruszeniem ramion. Kusi inna interpretacja: kłapa książki spowodowana jest przejściem na obcy język w tak późnym wieku.

Poliglota Kot Jeleński był podobnego zdania o ryzyku przejścia z języka ojczystego na obcy, kiedy osobowość

pisarska jest już uformowana. Sam swobodnie pisał po francusku, angielsku, włosku artykuły i szkice, ale do polszczyzny uciekał w rzeczach bardziej angażujących, osobistych. Jedyne wyjątek stanowi jego autobiograficzne wyznanie po włosku (nigdzie nie drukowane, nie przeznaczone do druku, mam je w rękopisie), napisane co prawda po włosku znakomicie (a musiał je po włosku napisać, bo drugim prócz mnie adresatem był Włoch), lecz z rozmachem trochę spętany, który prawdopodobnie rozwinąłby lepiej skrzydła do lotu po polsku. W ankiecie Hostowca–Stempowskiego Kot przyznaje się do przyjemności pisania po polsku dla paru przyjaciół i do obojętności towarzyszącej pisaniu w obcych językach dla tysięcy anonimowych czytelników. Język opanowany, po mistrzowsku nawet, w późniejszym wieku, jakkolwiek na ogół z korzeniami tkwiącymi w „kinderstubbie”, jest językiem *innego wymiaru*, komunikatywnym lub opartym na sztuce konwersacji. I ma mało wspólnego z prozą powieściową czy nowelistyczną. Widać to bardzo wyraźnie w *Powolności*. Są w niej fragmenty, które nie powstałyby nigdy pod czeskim piórem Kundery. A z których jest pewnie dumny, brylując w salonikach paryskich.

13 kwietnia

Od pewnego czasu płaczą we Włoszech krwawymi łzami statuetki Madonny. To tu, to tam, jest w tym krwawym płaczu coś z wyścigu albo turnieju. Watykan milczy (ale prywatnie Jan Paweł II „wyraził zainteresowanie”), *Osservatore Romano* też wziął wodę w usta. Medyczne ekspertyzy ośmielają rzeczników cudu: po pierwsze, substancją łez jest rzeczywiście krew (choć męska), po drugie, głowy statuetek nie posiadają żadnych wydrzeń, które zastrzykami mogłyby prowadzić do oczu. Słodkie twarzyczki Bożych Matek są zeszczone czerwonymi, zastygłymi kropkami. Skandal wybuchł w Civitavecchia, porcie łączącym półwysep z Sycylią, położonym w niewielkiej odległości od Rzymu (na północ). Zapłakała krwawymi łzami statuetka Madonny w posiadaniu biskupa. Szczęśliwy posiadacz pokazywał swój skarb tłumom wiernych, lecz miejscowa władza sądowa obłożyła statuetkę

sekwestrem aż do ogłoszenia wyników badań. Rzecznikom cudu, w przytłaczającej większości, przeciwstawiają się nieliczni sceptycy. Robią to ostrożnie, żeby nie ryzykować lynchu. Ten odważny sędzia może już pakować walizki, w najlepszym razie zostanie przeniesiony, w najgorszym czeka go przedwczesna emerytura. Biskup miota gromy, grozi odwołaniem do centralnego organu sędziowskiego w Rzymie. Kto natomiast ostrzy sobie zęby i zaciera ręce, to biura turystyczne, które specjalizują się w pielgrzymkach religijnych.

Francuski teolog i badacz taumatologii przypomniał, że posąg Madonny w Medziugorje zaczął płakać przed wybuchem wojny domowej w Jugosławii. Nazwał ten cud, zgodnie ze swoją klasyfikacją, „zapowiadającym”. Istnieją też cudy „karzące”. Madonna może albo zapowiadać jutrzejsze nieszczęścia, albo karać za wczorajsze i dawniejsze jeszcze grzechy, płaczem kwitując i jedno i drugie. Do jakiej kategorii zaliczyć Madonnę płaczącą krwawo w Civitavecchia? Znaczący przedmiot wszczęli już dyskusję. Jeśli jakaś zapowiedź, to dotycząca linii morskich na Sardynii: zderzenie statków? zatonięcie? pożar? Jeśli kara za grzechy, to zesłoroczna hańba, mianowicie wykrycie, że trzy dziewczęta z miejscowego gimnazjum, w wieku od 12 do 13 lat, kuszowały miesiącami ze swoimi kolegami w wieku od 16 do 18 lat. Miasto portowe zatrzęsło się wówczas, ojciec jednej z dziewcząt poddał za miastem torturom (obrzydliwym) jednego z winnych chłopców. Rodziny poszkodowanych dziewcząt zamierzają wynieść się z Civitavecchia, bo są w praktyce otoczone bojkotem całego miasta. Nie dotyczy to krewkich młodzieńców, przeciwnie na ulicach witają ich przyjazne, życzliwe uśmiechy.

W każdym prowincjonalnym mieście wychodzi w takich wypadkach z nory lokalny (i przeważnie wolnomyślny) mól książkowy, by sięgnąć dalej w przeszłość. A może Madonna roni krwawe łzy nad zesłowiecznym konsulem francuskim w Civitavecchia, panem Henri Beyle, który tutaj właśnie, jako Stendhal, pisał swoje bezbożne powieści i na prywatnych przyjęciach obnosił się bezwstydnie ze swoim antyklerykalizmem? Może, może... Oczekuję nowych włoskich edycji Stendhala z płaczącą Madonną na okładkach.

W każdym razie, zmieniając żartobliwy lekko ton na poważny, dostrzega się ogromną wagę Cudu w mieście błahej i dwuznacznej historii z płaczącą krwawo statuetką. Wysłannicy telewizji i gazet przepytują mieszkańców na ulicach, w sklepach. Jednobrzmiąca reakcja: władza nie ma prawa mieszać się do naszych spraw religijnych, szykowaliśmy na Wielki Piątek procesję ze statuetką, teraz musimy się zadowolić jej fotografią; wolno ateuszom nie wierzyć w Cuda, przeprowadzać analizy i badania, ale wara od tych, którzy takich głupstw nie potrzebują, gdyż wierzą; wierzą jeszcze mocniej, słysząc o krwi męskiej, skoro może to być jedynie krew Jezusa Chrystusa; nie obchodzi nas milczący Watykan, wystarczy nam nasz biskup. Cud, Cud, Cud. Ugina kolana do ukłęknięcia, układa wargi do modlitwy, pozwala z ulgą oddychać, odmienia nasze życie.

„Istnieją trzy siły, tylko trzy siły na ziemi, które mogą zjednać sumienia ludzi dla ich szczęścia. Te trzy siły – to Cud, Tajemnica i Autorytet”. Cud na czele, Wielki Inkwizytor z „Braci Karamazow” znał hierarchię wartości chrześcijańskich. Dla mnie nie pierwszozna. Mieszkam w mieście, które żyje corocznym cudownym upłynięciem krwi Świętego Januarego. Cud krwi zdawałoby się umarłej, wyschniętej i nagle przebudzonej, krwi, która ożyła, zakładu Nadziei.

18 kwietnia

A dwie pozostałe, obok Cudu kolumny chrześcijaństwa i Kościoła? Tajemnica i Autorytet?

Sergio Quinzio zjawił się, nie zapowiedziany, w redakcji *Tempo Presente* na Sistina (naprzeciw kamienicy w której Gogol napisał *Martwe dusze*) pod koniec lat pięćdziesiątych. Wszyscy podnieśliśmy ze zdumieniem głowy znad biurka. Za progiem stanął, z wyrazem onieśmienia na twarzy, mężczyzna w mundurze kapitana Straży Celnej. Nie widywało się u nas gości mundurowych. Ale niebawem, po dwóch kwadransach rozmowy, okazało się, że mundur okrywał (jak to się we Włoszech mówi) „studnię wiedzy”. Zapierała dech w piersiach uczoność kapitana, zwłaszcza w dziedzinie amator-

skich studiów religioznawczych z zakresu chrystianizmu i judaizmu. Nicola Chiaromonte wytrzeszczył oczy, ja chyba też. Ujmujące było to, że Quinzio nie popisywał się swoją wiedzą, mówił nawet z pewnym zawstydzieniem i rumieńcami na policzkach. W końcu zapytał, czy mógłby co jakiś czas przynosić do pisma swoje noty na tematy religijne, a niekiedy także – jeśli temat będzie tego wart – krótsze lub dłuższe artykuły. Nicola bez wahania skinął głową. Odtąd, do połowy lat sześćdziesiątych, widywaliśmy regularnie kapitana z rulonikiem w dłoni. Pismo pozyskało nowych czytelników, dementując opinię trybuny ateistycznej albo co najmniej agnostycznej. Przyciągnęła ich problematyka poruszana, i z jasnością omawiana, przez nowego współpracownika, o którym mało kto wiedział, że służy w formacji paramilitarnej.

O ile pamiętam, współpraca skończyła się na parę lat przed zamknięciem miesięcznika w roku 1968. Sergio Quinzio wystąpił ze służby, przywdział cywilny garnitur i dał się szybko poznać jako badacz o wielkim prestiżu, słuchany i czytany z respektem przez oficjalnych luminary duchownych. Przestał przychodzić na Sistina, widywałem za to często jego fotografie w prasie i jego rozprawy w periodykach specjalnych. Zapušcił długą brodę, miał w oczach coś ni to z eremity, ni z kaznodziei. Nazywano go najlepszym we Włoszech teologiem świeckim. Robiono z nim wywiady, czy zapraszano go do udziału w debatach publicznych, ilekroć w życiu Kościoła zdarzały się rzeczy ważne. Widywałem na półkach księgarskich jego trudne dzieła.

Był oczywiście tzw. „wiernym synem Kościoła”, ale bardzo niezależnym, twardym w obronie swoich niekonwencjonalnych punktów widzenia. W znajomości judaistyki nie miał sobie równych we własnej ojczyźnie, a może także w Europie. Uderzyło mnie, że w jednym ze szkiców z aprobatą cytował słynne fragmenty listu Dostojewskiego do Fonwizyny z roku 1854: „Powieм Pani, że jestem synem mojego wieku, synem niedowiarstwa i zwątpień, i nie tylko dotrwałem w tym stanie do dzisiaj, lecz takim pozostanę (wiem na pewno) aż do grobu”. „Ileż strasznych cierpień kosztowało mnie – i wciąż kosztuje – pragnienie wiary, które tym silniej opłakuje moją duszę, im większa jest moc argumentów przeciwnych”.

W tych dniach Quinzio wydał nową, niewielką objętościowo książkę, i nazwał ją „opowieścią apokaliptyczną”. Oto jej krótkie i dość niestety pobieżne streszczenie. Na opróżnionym tronie papieskim zasiada w roku 1999 kardynał pochodzenia żydowskiego. Jakie wybierze imię? Według proroctwa mnicha średniowiecznego Malachiasza ostatni papież wybierze imię Piotr, jak pierwszy papież i budowniczy Kościoła, i w jego osobie zakończy się apokaliptyczną katastrofą historia Kościoła i świata. Nowy więc papież, Piotr II, przeniósłszy się z Watykanu do Lateranu, na Wielkanoc 1999 wydaje encyklikę *Resurrectio Mortuorum*, którą chce wypróbować wrażliwość współczesnych chrześcijan. Czy wierzą jeszcze w cielesne zmartwychwstanie umarłych, czy żywa jest nadal wśród chrystusowych wyznawców Tajemnica? Encyklika trafia w absolutną pustkę, mija nie zauważona i nie czytana. W roku 2000 Piotr II wydaje drugą encyklikę *Mysterium Iniquitatis*, w której subtelnie wywodzi, że Kościół miał być zaporą przeciw Złu, a dopuścił do przeniknięcia Zła za własne mury. Przestał tedy być Autorytetem. Encyklika kończy się uroczystym ogłoszeniem „dogmatu o klęsce chrześcijaństwa w historii świata”. Piotr II nie czeka na przyjęcie drugiej encykliki, nie zależy mu już na przekonaniu się, czy podzieliła los pierwszej. Wspina się na wewnętrzny szczyt Bazyliki Świętego Piotra i stamtąd spada (nie wiadomo czy świadomie szukając śmierci, czy potknąwszy się przez nieuwagę) na złącze pionu i ramion Krzyża, na miejsce „fałszywych triumfów, tam gdzie pochowany jest również rybak galilejski”.

Naturalnie nie czuję się ani powołany ani zdolny do prób wnikięcia w tragiczną, desperacką wizję włoskiego teologa świeckiego. Jeśli mój dziennik ma być (jak kiedyś wspomniałem) „portretem epoki”, to wystarczy tutaj jej odnotowanie na styku Drugiego i Trzeciego Millenium.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Impresje litewskie (3)

W Wilnie działają dwie polskie organizacje literackie. Jedną z nich jest Sekcja Polska przy Związku Pisarzy Litewskich. Przewodniczącym jest poeta Aleksander Sokołowski. Prócz niego do Sekcji należą Aleksander Śnieżko, Matylda Stempkowska, Maria Łotocka. Działają też grupa poetów niezależnych, którzy swoją działalność rozpoczynali przy *Czerwonym Sztandarze*. Są to Alicja Rybałko, Henryk Mażul, Józef Szostakowski, Romuald Mieczkowski, Wojciech Piotrowicz, Zbigniew Maciejewski, Alina Lassota. W 1994 roku Romuald Mieczkowski przy współudziale kolegów zorganizował imprezę poetycką „Wiosna nad Wilią”, w której uczestniczyli poeci z Polski oraz pisarze litewscy. Uczestniczą oni w „Środach Literackich” organizowanych w Celi Konrada w murach pobazyliańskich. Poeci wileńscy mają po kilka lub kilkanaście zbiorów poetyckich.

Spośród organizacji młodzieżowych należy wymienić Związek Harcerstwa Polskiego na Litwie (komendant Mariusz Gasztoł, obywatel RP, kapelan ks. Dariusz Stańczyk, obywatel RP). ZHP działa w wielu szkołach w Wilnie i w rejonach. Niektóre drużyny współpracują z litewskimi skautami. W 1993 r. powstało Polskie Forum Młodzieżowe, które skupia ponad 20 różnych organizacji polskich, działających przy parafiach, w wyższych szkołach Litwy oraz w szkołach średnich.

Stowarzyszenie Plastyków Polaków na Litwie zrzesza zawodowych artystów oraz uzdolnionych amatorów malarzy, rzeźbiarzy i innych.

Bardzo owocnie działa Klub Sportowy „Polonia”, który

powstał w 1990 r. Organizuje on igrzyska sportowe wśród Polaków. Przy Klubie istnieje drużyna piłkarska „Polonia KP Janusz”, która w rozgrywkach 1994 r. uzyskała III miejsce w kraju i prawo do rozgrywek o mistrzostwo Europy. Od 1990 roku Klub „Polonia” organizuje Złoty Turystyczny Polaków Wileńszczyzny. Duszą i organizatorem tych zlotów jest Henryk Mażul.

Ponadto w Wilnie i okolicy działają różne kluby: Klub Biznesmenów Polaków, Klub Fotografików w Suderwie, Klub Miłośników Sportu Lotniczego „Aviator”, Klub Wójtów Polaków rejonu wileńskiego.

Od paru lat owocnie działa Społeczny Komitet Opieki nad Cmentarzem Rossa w Wilnie. Przewodniczącą Komitetu jest Alicja Klimaszewska. Komitet zdołał odnowić na starej Rossie kilka zniszczonych zabytkowych nagrobków, postawił nowy nagrobek na mogile Bolesława Bażukiewicza, znanego wileńskiego rzeźbiarza. Komitet ma zamiar objąć opieką inny zabytkowy cmentarz polski w Wilnie – Bernardyński, gdzie również pochowanych jest wielu znamienitych Polaków, artystów, pisarzy, profesorów Uniwersytetu Wileńskiego.

Mniej znane stowarzyszenia to Towarzystwo Kultury Polskiej im. Władysława Syrokomli, Wileńskie Towarzystwo Polaków św. Zyty oraz Społeczny Komitet Pamięci Franciszka Żwirki w Święcianach.

Te liczne organizacje i stowarzyszenia, kluby, komitety i fundacje działają, niestety, często na własną rękę, w pojedynkę. Działalność ich nie jest skoordynowana, a nawet czasami w różnych imprezach nawzajem sobie przeszkadzają, toteż niezbyt owocna jest ich praca. A przecież gdyby istniał organ koordynacyjny, wymienione organizacje mogłyby wiele zrobić dla społeczności polskiej na Litwie, aktywniej włączyć się do życia społecznego i kulturalnego Republiki.

Życie religijne Polaków na Litwie, jak się wydaje, jest dobrze zorganizowane. Polacy na Litwie to przeważnie katolicy, mogą oni odbywać praktyki religijne w języku polskim w 11 kościołach Wilna, w tym kościół św. Ducha (dominikański) jest kościołem wyłącznie polskim. Wkrótce, jak podaje S. Vaitiekunas, nabożeństwa w języku polskim będą odprawiane w katedrze wileńskiej. Nabożeństwa w języku polskim odprawiane są w Kownie, Druskiennikach, Visagi-

nasie, ponadto w rejonach wileńskim, solecznickim, święciańskim, jezioroskim, szyrwinckim, trockim, orańskim. W archidiecezji wileńskiej czynnych jest 69 kościołów, gdzie nabożeństwa odprowadzane są po polsku. W diecezji kowieńskiej – w jednym kościele i w diecezji koszedarskiej – w jednym. W 1993 r. w archidiecezji wileńskiej pracowało 110 księży katolickich, z tej liczby 85 Litwinów i 25 Polaków, w ostatnich latach na Litwę przybyło 5 duchownych z Polski. W 1994 roku na Litwie pracowało 32 księży Polaków. W szkołach w roku szkolnym 1991/1992 religii w języku polskim uczyło się 11.516 uczniów. W szkołach z nauczaniem w języku rosyjskim religii w języku polskim uczyło się 4.956 uczniów Polaków. Każdy obywatel na Litwie, zgodnie z Konstytucją RL, ma prawo do praktyk religijnych. Nie ma więc żadnych problemów.

Obserwując życie Polaków na Litwie łatwo stwierdzić, iż społeczność ta dysponuje szerokim wachlarzem mediów. Chyba żadna z mniejszości narodowych na Litwie i w Polsce nie posiada tyle gazet i czasopism, programów radiowych i telewizyjnych, wydawnictw książkowych, co właśnie litewscy Polacy.

Od 1953 roku wychodził w Wilnie dziennik *Czerwony Sztandar* jako organ Komitetu Centralnego KP Litwy. W 1990 r. gazeta zmieniła nazwę na *Kurier Wileński*. Jest finansowana przez rząd, ale wypowiada się raczej niezależnie. Redaktorem naczelnym dziennika jest Zbigniew Balcewicz. Najbardziej zasłużeni dziennikarze to Krystyna Adamowicz, Jerzy Surwiło, Łucja Brzozowska, Halina Jotkiało, Jadwiga Podmostko, Alwida Antonina Bajor, Mieczysław Radziwiłłowicz i inni. *Kurier Wileński* jest zasłużonym pismem na Wileńszczyźnie. Przez wiele lat krzewił, jak potrafił, słowo polskie, upowszechniał kulturę i literaturę polską. W rejonach wydawane są przez państwo następujące gazety: *Wilnia* (*Wilenska*) w rejonie wileńskim (wychodzą też mutacje w języku litewskim i rosyjskim). Gazeta wydawana jest od 1991 r. W rejonie solecznickim wychodzi *Szalcza*. Tę gazetę również wydają w języku litewskim i rosyjskim. W Trokach wychodzi gazeta *Galwa*, wydaje ją samorząd rejonu trockiego. Pismo wychodzi od 1960 r. także w języku litewskim i rosyjskim. Gazeta *Przyjaźń* wydawana jest przez samorząd rejonu

wileńskiego od 1994 r. Jest mutacja litewska i rosyjska tego pisma.

Tygodnik *Nasza Gazeta* jest organem Związku Polaków na Litwie. Wychodzi w Wilnie od października 1989 roku. Naczelnym redaktorem jest obecnie Henryk Mażul. Dziennikarzami są Józef Szostakowski, Anna Pieszko i Stanisława Uścińowicz.

Magazyn Wileński – ilustrowany dwutygodnik – jest niezależnym pismem prywatnym. Redagują go Michał Mackiewicz, redaktor naczelny i Jan Sienkiewicz, zastępca redaktora naczelnego i główny publicysta. Ponadto pracują tu Helena Ostrowska, Krystyna Marczyk i Janina Lisiewicz. Pismo czytane jest na Wileńszczyźnie i w Polsce. W 1994 r. J. Sienkiewicz wydrukował w *Magazynie Wileńskim* wiele napastliwych artykułów przeciwko ambasadorowi RP prof. Janowi Widackiemu. Niewybredne w słowach i nieuzasadnione wystąpienia Sienkiewicza nie przyniosły pismu popularności a autorowi chwały.

Dwutygodnik *Znad Wilii* ma charakter społeczno-kulturalny i literacki. Wychodzi od 24 grudnia 1989 r. Założycielami pisma byli Romuald Mieczkowski i Czesław Okińczyc. Od 1994 r. *Znad Wilii* jest prywatnym dwutygodnikiem Mieczkowskiego. To jedyne czasopismo polskojęzyczne na Litwie, które propaguje literaturę, kulturę, historię Polaków na Litwie, ale też chętnie pisze o stosunkach kulturalnych polsko-litewskich i o kulturze litewskiej. Uważam, że pismo to pełni bardzo ważną kulturotwórczą rolę wśród Polaków na Litwie. Warto odnotować, że *Znad Wilii* chętnie czytają Litwini, Rosjanie i Białorusini.

Od listopada 1993 r. wychodzi w Wilnie kwartalnik „naukowy i literacki” *W Kregu Kultury*. Redaktorem jest dr Jan Ciechanowicz, a wydawcą Fundacja Kultury Polskiej na Litwie im. Józefa Montwiłła. Na razie ukazały się dwa numery, trudno więc ocenić pismo. Niestety, w Wilnie pismo jest mało znane.

W październiku 1994 r. pojawiło się nowe pismo polskojęzyczne: *Słowo Wileńskie*. Jest to na razie tygodnik i wydaje go spółka „Vilpress”. Redaktorem naczelnym jest Stanisław Widtmann, a jego zastępcą i wiceprezesem spółki jest Jerzy Haszczyński, obywatel polski. Pismo prowadzi dział: „Polity-

ka i społeczeństwo”, „Polacy na Litwie”, „Ekonomia”, „Prawo”. Z treści wynika, że przeznaczone jest dla ludzi biznesu.

Wspólnota parafii św. Ducha w Wilnie wydaje miesięcznik *Spotkania*. Pismo ma charakter religijny i wychodzi od 1992 r. Miesięcznik *Siewca Prawdy* jest również pismem religijnym i wydawany jest przez wspólnotę parafialną w Ejszyszkach rejonu solecznickiego.

Litewska Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna wydaje pismo *Przegląd* w języku polskim. Wychodzi od 1992 roku. Członkami tej partii są m.in. Medart Czobot, lekarz, poseł na sejm litewski i Władysław Mackiewicz, prezes Stowarzyszenia Polaków Katolików Litwy.

W 1947 roku rozgłośnia radia litewskiego rozpoczęła nadawanie programu w języku polskim. Obecnie audycja w języku polskim nadawana jest codziennie przez 30 minut. Program obejmuje terytorium całego kraju.

W 1991 roku Czesław Okińczycz założył rozgłonię radiową „Znad Wilii”, która nadaje program w języku polskim. Od lipca 1992 roku „Znad Wilii” zaczęła nadawać audycje codziennie. Obecnie pracuje bez przerwy przez całą dobę. Jest rozgłonią popularną nie tylko wśród Polaków. Badania wykazały, że słuchają „Znad Wilii” Litwini, Rosjanie i inni. Program prowadzony jest atrakcyjnie, są wstawki litewskie i rosyjskie, wiele muzyki młodzieżowej.

Od sierpnia 1989 r. państwowa Telewizja Litewska rozpoczęła nadawanie raz w tygodniu, w niedzielę, programu w języku polskim. Nosił on nazwę „Panorama tygodnia”. Obecnie program TV w języku polskim – „Rozmowy wileńskie” – transmitowany jest w piątki i trwa 30-35 minut. Od wiosny 1994 r. transmitowany jest na Litwie polski program „Polonia”. Telewizjowcy mogą go oglądać we wtorki, czwartki i soboty. Artur Płokszo, poseł i prezes Klubu Biznesmenów, czyni starania o uruchomienie telewizji Polaków litewskich.

Media w języku polskim na Litwie odgrywają ważną rolę informacyjną i dydaktyczną. Trzeba jednak podkreślić, że prawie wszystkie polskojęzyczne gazety i czasopisma borykają się z ogromnymi trudnościami materialnymi. Pomocy ze strony rządu nie otrzymują (poza pismami państwowymi).

Na Litwie od 1951 roku w wydawnictwie „Šviesa”

(„Światło”) istnieje redakcja polska, która przygotowuje przeważnie podręczniki dla szkół z polskim językiem nauczania, ale też wydaje książki o charakterze literackim, np. antologię „Sponad Wilii cichych fal” czy poezję przedwcześnie zmarłego poety wileńskiego Sławomira Worotyńskiego. Kierownikiem redakcji polskiej „Šviesy” jest Łucja Pocevičienė.

Przy czasopiśmie *Magazyn Wileński* powstało „Wydawnictwo Polskie”, które wydało już kilkanaście książek, ostatnio m.in. Tomasza Krzywickiego „Szlakiem Mickiewicza” (1994) i Alwidy Antoniny Bajor „Piorun, jezioro czerwone. Żułów wczoraj i dziś” (1995), książkę o Józefie Piłsudskim i jego rodzinnej miejscowości.

Według danych Departamentu Mniejszości Narodowych, w 1991 r. na Litwie wydano łącznie 31 tytułów książek polskich, w 1992 – 43, a w 1993 – 60, o łącznym nakładzie 232 tys. egzemplarzy.

Latem 1994 roku przy ulicy Aušros Vartu (Ostrobramskiej) w Wilnie Stanisław Korczyński otworzył polską księgarnię. Jest to pierwsza polska księgarnia w Wilnie po ponad pięćdziesięciu latach przerwy. Dział książki polskiej od wielu lat prowadzi litewska księgarnia „Draugystė” („Przyjaźń”) przy alei Giedymina w Wilnie.

W dziedzinie kultury i twórczości amatorskiej Polaków są również duże osiągnięcia. Od 1955 roku powodzeniem cieszy się zespół pieśni i tańca „Wilia”, ciągle młody i sprawny, choć od jego założenia mija właśnie czterdzieści lat. W 1962 roku w Kownie Polacy założyli zespół ludowy „Kotwica”. Dużą pomoc udzieliła temu zespołowi śpiewaczka operowa, Polka, Teresa Chmielewska. W 1965 r. przy Domu Kultury Kolejarzy powstał polski amatorski zespół teatralny. Z biegiem czasu przekształcił się w półzawodowy Polski Teatr Ludowy, natomiast przy Klubie Pracowników Medycznych w 1967 roku powstał inny polski zespół teatralny, który z powodzeniem działa do dnia dzisiejszego.

W latach siedemdziesiątych staraniem znanego wileńskiego dyrygenta Władysława Korkucia zostały zorganizowane zespoły dziecięce „Wilenka” (1972), „Świtezianka” (1976), „Pierwiosnki” (1978). W 1980 roku Gabriel Jan Mincewicz założył w Niemenczynie zespół ludowy „Wileńszczyzna”,

który w ciągu ostatnich 15 lat wybił się na czołowe miejsce pośród innych zespołów amatorskich. Znany jest dobrze w Polsce, bywał na występach w Anglii, Holandii i w Niemczech. Mincewicz co roku organizuje festiwal twórczości amatorskiej pod nazwą „Kwiaty polskie”. Od 1989 r. w kościele św. Ducha istnieje chór męski „Dominicanes Vilnensis”, znana jest na Wileńszczyźnie „Kapela Wileńska”, którą zorganizował zdolny muzyk Zbigniew Lewicki.

Ogromną pomocą dla Polaków litewskich jest ambasada RP z ambasadorem prof. Janem Widackim oraz Konsulat Generalny RP z konsulem Dobiesławem Rzemienieckim. Dzięki staraniom prof. Widackiego uporządkowano na Rossie kwatery poległych w 1944 r. żołnierzy AK, zasługą ambasadora jest reaktywowanie „Śród Literackich” w Celi Konrada, a ostatnio – uporządkowanie terenu w Zułowie, gdzie kiedyś stał rodzinny dworek Marszałka Józefa Piłsudskiego, odnowienie chrzcielnicy w kościele w Powiewiörce, gdzie Marszałek został ochrzczony. Staraniem ambasadora będzie tam kącik poświęcony Marszałkowi (pod szkłem będzie można oglądać kserokopię metryki urodzenia i chrztu Piłsudskiego), wojsko odnowi ołtarz. Jeśli dodamy organizację wystaw książek polskich, które później wszystkie trafiły do bibliotek litewskich i polskich, Dni Prasy Polskiej czy inne imprezy zorganizowane przez ambasadę, będziemy mieli całość prac na rzecz Polaków Wileńszczyzny, wiele też pożytecznych imprez zbliżających ze sobą Polaków i Litwinów.

Z podanego wyżej przeglądu różnorodnego życia Polaków na Wileńszczyźnie i na Kowieńszczyźnie można wywnioskować, iż kondycja naszych rodaków na Litwie jest całkiem dobra. Więc jeśli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? Słyszymy bowiem tu i ówdzie, w prasie i telewizji, że na Wileńszczyźnie są konflikty między Polakami i Litwinami, że władze nie zwracają ziemi Polakom zamieszkałym pod Wilnem. Ostatnio wielkie poruszenie wśród Polaków na Litwie wywołała ustawa o języku państwowym, tj. litewskim. Zgodnie z tą ustawą języki mniejszości narodowych, w tym również mieszkających w zwartych skupiskach, mogą być stosowane w nieoficjalnej komunikacji mieszkańców oraz działalności wspólnot religijnych i narodowych. Jedynym językiem oficjalnej komunikacji na Litwie jest język litewski,

tj. we wszystkich oficjalnych, państwowych instytucjach należy porozumiewać się jedynie po litewsku. Przyznam się, że nie bardzo rozumiem, dlaczego pojawiło się tyle emocji, protestów, wystąpień przeciwko tej ustawie. Przecież w każdym kraju we wszystkich urzędach, sądach, instytucjach państwowych językiem oficjalnym jest język narodu, który tworzy państwo. Gdy językiem państwowym na Litwie był język rosyjski, to jakoś ani jeden Polak nie śmiał protestować i żądać wprowadzenia języka polskiego jako oficjalnego.

Podobnie wiele emocji wśród Polaków budzi projekt poszerzenia granic miasta stołecznego Wilna. Mieszkańcy podwileńskich miejscowości boją się, iż po wcieleniu w życie projektu tzw. wielkiego Wilna zostaną pozbawieni ziemi, gospodarstw i domów.

Wydaje się, że niektóre fobie są celowo upowszechniane przez pewne osoby wśród społeczności polskiej. Gdy się przyjeżdża okresowo do Wilna, to za każdym razem widzi się tam jakąś akcję: a to przeciwko ambasadorowi RP, a to przeciw przedstawicielom władz samorządowych czy oświatowych, albo mówi się jak to Polacy nie znający języka litewskiego będą cierpieli, nie dostaną się nawet do lekarza, kiedy zajdzie nagle potrzeba. Różne wizje roztacza się przed tzw. prostymi ludźmi, którzy potrzebują tylko normalnego życia i nic więcej. Oto *Kurier Wileński* 8 lutego br. opublikował wypowiedź „prostego” człowieka, czytelnika, Kazimierza Wołodki. Z własnych obserwacji K. Wołodko dochodzi do wniosku, że mimo iż Polacy na Wileńszczyźnie mają ogromne osiągnięcia w różnych dziedzinach, to niektórzy działacze świadomie niszczą to, co inni osiągnęli. „Mamy pisma w języku polskim – pisze Wołodko – które toczą między sobą ‘bój słowny’. Brak nam jedności i kultury. Szkalowanie, chęć wywyższenia się, zazdrość, zaspokajanie osobistych ambicji stały się normą postępowania niektórych rodaków, stojących na świeczniku. Nie neguję, że czasy są wyjątkowo trudne, ale prawie 300-tysięczna społeczność polska stanowi liczną mniejszość narodową, z którą trzeba umieć pracować i liczyć się. Tymczasem sami występujemy przeciwko sobie. Przykro – pisze dalej Wołodko – że w podziale nas na ‘autentycznych’ i ‘fałszywych’ Polaków uczestniczą ludzie z Polski, którzy, moim zdaniem, nie wiedzą o

naszych potrzebach. Ludzie są zmęczeni obecną sytuacją gospodarczą, ciężkimi warunkami życia, a tu jeszcze zaprzęta się im głowy wszelkimi kłótniami i rozgrywkami”.

Wzajemne oskarżanie się działaczy polskich jest co najmniej przykre, ale, niestety, autentyczne. Ma więc rację Kazimierz Wołodko pisząc, iż wszystkie dotychczasowe osiągnięcia Polaków na Litwie w tej sytuacji mogą być łatwo unicestwione, zmarnowane swarami i kłótnią.

A cóż na to Litwini? Chodzę po Wilnie, spotykam się ze znajomymi. Szukam rzekomego konfliktu, problemów, których w rzeczywistości nie ma. Każdy żyje własnym życiem, troskami dnia codziennego i przeciętny obywatel nie myśli ani o konfliktach, ani o kłótniach i swarach. Przy gmachu Sejmu spotykam się z Vytautasem Bubnysem, pisarzem i posłem na sejm z ramienia DPPL. Przez biuro przepustek wprowadza mnie do kawiarni sejmowej, siedzimy, pijemy kawę, rozmawiamy. Atmosfera spokojna, przyjazna. Znam Bubnysa od dawna, więc zadaję mu pytanie: „Jak Litwini widzą mniejszości narodowe i czy nie za wcześnie sejm uchwalił ustawę o języku państwowym?” – Bubnys tłumaczy, że Polaków, Rosjan, Białorusinów i innych na Litwie uważa się za normalnych obywateli, nikomu oni nie przeszkadzają, żyją jak inni. – „Nie jest nam lekko – mówi – ale każdy ma możliwość sytuację życiową poprawić, trzeba po prostu pracować, nie czekać manny z nieba. Każde państwo – wyjaśnia – ma prawo do języka państwowego. W czasach sowieckich językiem państwowym był u nas język rosyjski, obcy. My, pisarze, musieliśmy wiele włożyć wysiłku, by naród nie zapomniał własnej mowy. A teraz, gdy Litwa jest wolna i niezależna, normalnym staje się, iż język litewski jest w naszym kraju językiem oficjalnym”. Bubnys uważa jednak, że w praktyce jeszcze długo ludzie na Wileńszczyźnie będą posługiwać się rosyjskim i polskim. Żadna ustawa nie zmieni szybko tego, co się w ludziach mocno zakorzeniło.

W niedzielę, 5 lutego, jadę do Kowna na zaproszenie tamtejszego oddziału Wspólnoty Szlachty Litewskiej (*Lietuvos bajoru bendrija*). Pociąg Wilno-Kowno niby pośpieszny a zatrzymuje się na każdej stacji. Na dworcu w Kownie czeka na mnie Saulius Prialgauskas prezes oddziału kowieńskiego Wspólnoty Szlachty Litewskiej. Wspólnota

działa we wszystkich większych miastach, członkowie, szlachta, *bajorai*, wyciągnęli ze skrytek dokumenty przodków i stare, najczęściej polskie herby. Weryfikują przynależność do stanu szlacheckiego, chcą odtworzyć tradycje szlachty Wielkiego Księstwa Litewskiego. Z dworca do Muzeum Maironisa przy Placu Ratuszowym jedziemy samochodem Prialgauskasa.

W muzeum czeka na nas dyrektor Aldona Ruseckaitė. Znamy się od dawna, bo często odwiedzam bibliotekę i archiwum muzealne w poszukiwaniu różnych dokumentów, zapomnianych utworów literackich, listów pisarzy. Rozmawiamy o pracy muzeum, o literaturze, bo gospodyni jest historykiem literatury litewskiej. „Jest ciężko – mówi dyrektor Ruseckaitė – brakuje nam środków na utrzymanie muzeum, ale jesteśmy na swoim, u siebie, nikt nie stoi nad karkiem, nie kontroluje, nie poucza. Choć jesteśmy biedni, ale we własnym domu i pracujemy u siebie i dla siebie”.

Prawie cała salka odczytowa zapełniła się przybyłą na spotkanie z Polakiem, czyli ze mną, szlachtą litewską. Widzę znajome twarze członków oddziału kowieńskiego ZPL, niektórzy z nich również należą do Wspólnoty Szlachty Litewskiej. Opowiadam o Polsce, o stosunkach kulturalnych i literackich polsko-litewskich. Wywiązuje się potem dyskusja. W dyskusji przewijają się nazwiska Piłsudskiego, Żeligowskiego, Narutowicza. Mówimy o wspólnej historii i o dniu dzisiejszym. Dochodzimy do wniosku, że nic nas już dzielić nie może, natomiast wiele nas może łączyć, zwłaszcza w drodze do normalności, do Europy.

Po spotkaniu jedziemy z Sauliusem Prialgauskasem i Aldoną Ruseckaitė do profesora Baltrušisa. Jest chemikiem, pracuje w Akademii Technologicznej. Prof. Romualdas Baltrušis współpracuje z naukowcami polskimi, zna język polski, ale rozmawiamy po litewsku. I tutaj w rozmowie przeplatają się wątki historyczne i współczesne. R. Baltrušis mówi, że w ciągu 50 lat sowieckiej okupacji naród litewski zatracił swoją przyrodzoną uczciwość, gościnność, przywiązanie do ziemi, patriotyzm. Teraz cechy te trzeba odbudować, ale nie jest to łatwe, wymaga wielu lat żmudnej pracy wychowawczej. Na razie naród musi przyzwyczaić się do wolności, do własnej państwowości, do nowych warunków społecznych. Obywatele sami powinni szukać środków utrzymania. Już

nikt nikomu niczego nie może obiecać. Żyje się ludziom gorzej, ale mamy nadzieję, że, jeśli nie będzie wojny, wyjdziemy z kryzysu. Zdaniem prof. Baltrušisa obecne dobre stosunki z Polską zaowocują wieloma pożytecznymi dla obu krajów osiągnięciami.

Dzień prędko minął i wieczorem pociągiem ekspresowym, tym razem zatłoczonym, wróciłem do Wilna. Stolica powitała mnie siąpiącym deszczem, pustymi, ciemnymi ulicami. Tak, w Litwie żyje się ludziom ciężko. Nic w życiu nie dostaje się za darmo, a tym bardziej wolności. Trzeba na nią zapracować. Trzeba też mieć wolę wolności i poczucie obywatelstwa. Tych cech, niestety, u mniejszości narodowych na Litwie w obecnej chwili w wielu wypadkach brakuje.

Chciałoby się jednak widzieć wspólny, Polski i Litwy, powrót do Europy, już nie pod jednym sztandarem Rzeczpospolitej Obojga Narodów, lecz Polaków pod znakiem Orła, Litwinów – pod znakiem Pogoni, wspierających się nawzajem w tym trudnym, lecz koniecznym marszu.

Mieczysław JACKIEWICZ

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

**Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.**

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

„Komu bije dzwon?”*

(OPOWIEŚĆ PANA KONSTANTEGO)

Wreszcie po chwili milczenia, pan Konstanty rozpoczął:

– Nie wiem, co wiesz na temat hiszpańskiej wojny domowej i wolę tego nie wiedzieć. To, czego uczą tu w szkole, jeżeli w ogóle uczą, na pewno jest stekiem kłamstw, a do literatury, uczciwej literatury, nie masz z pewnością dostępu, ponieważ jest zakazana. Zresztą, jest jej niewiele. Chyba żaden epizod z najnowszej historii świata nie jest tak przekłamany jak właśnie ta tragedia, i to nie tylko u nas (u nas wszystko jest kłamstwem!), ale i na Zachodzie, w demokratycznych państwach.

No, ale nie zamierzam robić ci teraz wykładu. Opowiem ci jedynie historię Maksymiliana, a wnioski wyciągaj sam. Tylko powtarzam raz jeszcze: wszystko, co tutaj powiem, jest tylko i wyłącznie do twojej wiadomości. Z nikim, ale to z nikim!, masz o tym nie rozmawiać. Nawet rodzicom nie mów (byliby na mnie źli, gdyby się dowiedzieli, że mówię ci takie rzeczy), a już kolegom w szkole, a tym bardziej na lekcjach, to niech cię Pan Bóg broni! Ściągniesz na siebie biedę! A przez siebie i na mnie. A zatem przyrzekasz?

– Tak.

– Słowo?

– Słowo honoru.

– No, to uwaga, zaczynam.

*Fragment większej całości zatytułowanej „Dawniej! Ale dziś?”
Inne jej fragmenty publikowane były w krakowskim *NaGłosie* i w *Tygodniku Powszechnym*. Rzecz dzieje się w Polsce w 1966 roku.

Wojna domowa w Hiszpanii wybuchła w trzydziestym szóstym, siedemnastego lipca. Nie wnikać na razie, dlaczego i jak do tego doszło. O tym, być może, później. W tej historii jest ważne, jak na to reagowano – na świecie, w Europie i u nas.

Był to przedziwny czas. Niedobry. Morowy. Chory. Pewien porządek świata dobiegał swego kresu. Infekcja, która się wdała już dobre dwadzieścia lat wcześniej, przechodziła ze stadium pierwotnej inkubacji w fazę dojrzałą, drapieżną. Armia drobnoustrojów ruszała do ataku. Rosła śmiertelna gorączka, otwierająca drogę obłędowi i zbrodni.

W Sowietach – terror i czystki, fingowane procesy, wywożenie na Sybir, głód, niewolnicza praca, lecz przede wszystkim przerzut... przemysłna kontrabanda „czerwonego zarazka”, wszędzie gdzie tylko się dało. Pokątne transplantowanie zwyrodniałych komórek, szczepianie złośliwym rakiem, transfuzja chorej krwi. Sfora biesów-agentów puszczona w świat, by zarażać... By tworzyć ośrodki zapalne, przygotowywać lont na godzinę wybuchu „rewolucji światowej”.

Tymczasem w drugiej z krain, gdzie diabeł lubi gościć, tytułującej się wtedy przezwiskiem *Drittes Reich*, inna zgraja czarownic odprawiała swój sabat. Wśród gigantycznych budowli, na gigantycznych placach roznamietnione tłumy zagrzewano do walki. Pochodnie, ryk megafonów i zbiorowa ekstaza. *Lebensraum* dla Germanów, którzy są *Herrenvolk*! Trzecia Rzesza Niemiecka stanie się Tysiącletnią! *Weg mit die Juden und Slawen!* Świat ma należeć do nas! *Sieg Heil!* Bóg jest z nami!

I wszędzie czerwień sztandarów... jakby zapowiedź krwi. Tam – złoty sierp i młot, tu – czarne haki swastyki. Symbole, trzeba przyznać, dość jasne i wymowne! Trzeba je było tylko właściwie odczytywać.

A świat tymczasem – co? Indolencja, beztroska. Somnambulizm. Parady, wesoła zabawa i jazz. Nie wiedzieć o niczym! Nie słyszeć! Zapomnieć o wszystkim! Zasnąć! Uprawiać psychodramę albo klęczeć w przybytkach awangardowej sztuki. W tym było coś straceńczego, jakby łaknienie śmierci. Dziś, gdy po latach spoglądam na ów czas i na siebie, widzę, jak bardzo i ja byłem tym zaczadzony. Te wszystkie wyprawy w góry, to zdobywanie szczytów, rozkoszny dreszcz

ryzyka, dach Europy, Mont Blanc – to wszystko była ucieczka. Od świata, od Polski, od siebie. Szukanie azylu. Nirwana. Rozrzedzone powietrze. Słońce, błękit i dal.

To samo było z nim, a może nawet bardziej. Ów nieustanny ruch, zmiany miejsca, podróże, zabawa w punktualność, a w końcu ten cały pomysł, by rodzić na szczytach Alp... Typowe, wręcz klasyczne fanaberie epoki! Ekstrawagancja, ryzyko, brawura, trochę mistyki. Owszem, w szlachetnym stylu, niemniej z chorego pnia. Spróchniałego od wewnątrz, zwanego dekadencją.

Ale w tym *Holder Wahnsinn* zdarzały się i inne postawy i zachowania. Pojawił się nagle bunt, odruch de *l'homme révolté*. Kogoś, kto pojął nagle, że zbliża się katastrofa, i uznał, że jeśli nawet nie ma już przed nią ratunku, to trzeba jednak coś robić, choćby na przekór zwątpieniu, choćby dla zaświadczenia, samemu sobie i innym, że zawsze możliwy jest sprzeciw, pozornie irracjonalny.

Czytałeś „Zwycięstwo” Conrada? Tam jest to opisane. Wspaniale opisane! Bohater tej powieści, Szwed z pochodzenia, Heyst, jest człowiekiem głęboko rozczarowanym do świata, wyzbytym wszelkich złudzeń, pełnym odrazy i wzdargi. Świat to marność lub piekło, a ludzie to szarańcza dręcząca się nawzajem lub goniąca za wiatrem. Schopenhauer. Mizantrop. Jedynym wyjściem dla niego jest odrzucenie gry. Wycofanie się z życia. Samotność. Azyl. Pustelnia. Tylko to, według niego, chroni w miarę skutecznie przed pomnażaniem zła. Dlatego postanawia zamieszkać na „końcu świata”, na niemal bezludnej wyspie, gdzieś na archipelagu obecnej Indonezji. Lecz kiedy już tam płynie, gdy w jakimś portowym mieście czeka na zmianę statku, na ów ostatni rejs, jest świadkiem pewnej sceny, która go bulwersuje. Jakaś nieszczęsna dziewczyna z zespołu muzykantów, grającego w hotelu dla rozerwania gości, zostaje na jego oczach dotkliwie upokorzona przez ordynarną szefową – potraktowana jak własność, jak dziwka w domu publicznym. Zdawałoby się drobiazg. Nie takie rzeczy widywał. A jednak w tym wypadku nie może być obojętny. Zdumiony samym sobą, ofiarowuje jej pomoc.

„Nie jestem dość bogaty, aby panią wykupić”, zwraca się do niej nieśmiało pamiętnymi słowami, „lecz zawsze mogę panią wykraść”.

Co z tego wyniknęło, to już inna historia. Jeżeli nie znasz tego, możesz sobie przeczytać. Tu chodzi mi tylko o impuls, o tę nagłą reakcję. O to coś, co czasami każe nam wstać i wyjść, albo wykonać coś, choć miałyby to kosztować nawet najwyższą cenę.

Podobny odruch, jak sądzę, zadziałał u Maksa. Cóż jednak go wywołało? Co było w tym zamku iglicą uderzającą w spółkę? Jakieś szczególne bestialstwo dokonane w Hiszpanii? Zbombardowanie Guerniki? Masowe rozstrzelania? Nie. Co innego. Bliżej. Coś, co się działo w kraju.

W Polsce, na wojnę w Hiszpanii reagowano różnie. Rząd – kunktatorsko, niechętnie, po cichu sprzyjał Franco. Nie było to zbyt chwalebne, było raczej nędzne, jakkolwiek trzeba pamiętać, kogo się miało za miedzą na zachód od Poznania. Chcę przez to powiedzieć tyle, że w porównaniu z innymi dżentelmenami Europy, którzy, choć mniej zagrożeni, też się nie wychylali, a i nie odmawiali, dla świętego spokoju, takiej czy innej przysługi rozbestwionym gangsterom, nie byliśmy, mimo wszystko, specjalnie od nich gorsi. Natomiast społeczeństwo, w przyzwioitym procencie, sprzyjało Republice. W szkole pewnie cię uczą, że w akcji pomocy i wsparcia wiodli prym komuniści... To prawda, lecz – wieloznaczna. Po pierwsze, co to było – ta cała ka-pe-pe? W czyim imieniu działała? A dwa, to komu w istocie śpieszyła ona z pomocą? Republikanom? Kortezom? Francino Caballero¹? Czy raczej „jakobinom”, awanturniczej lewicy, partii komunistycznej kontrolowanej bez reszty przez agentów Stalina, a zwłaszcza *Syndicos Libres*, sławetnym bojówkom i bandom siejącym postrach i gwałt?

Trzeba jasno powiedzieć: ka-pe-pe była w Polsce agenturą sowiecką i wszystko, co robiła, robiła na polecenie „towarzyszy z centrali”, na rozkaz Kominternu. To znaczy, w interesie komunistycznej Rosji. Doprawdy, haniebną rolę odegrało to bractwo. Służąc obłędnej idei i bandzirowi wszechczasów (który, nawiasem mówiąc, ich samych chętnie mordował, lecz przede wszystkim szykował wielki skok na

1. Działacz socjalistyczny, zwolennik pragmatycznych reform i demokracji parlamentarnej, przeciwnik komunistów, a zwłaszcza stalinowców; od września 1936 premier Hiszpanii.

Europę), wysłali tysiące ludzi na poniewierkę i śmierć!... No, ale wracajmy do rzeczy!

Maks był człowiekiem z gruntu apolitycznym. Żył w świecie innych pojęć. Jakby nie schodził z gór. Gdybym miał jednak określić jego charakter społeczny, odnieść do klasycznych formacji ideowych, rzekłbym, iż był liberałem z lekkim przechyłem na lewo. Był wrażliwy na nędzę; na krzywdę, niesprawiedliwość. Ale zarazem najdalszy od wszelkich radykalizmów, a zwłaszcza od komuny w leninowskim wydaniu. Bał się Rosji sowieckiej, nie cierpiał bolszewików, nazywał ich czasami „azjatycką zarazą”. A jednak kiedy nasz rząd wystąpił z inicjatywą, by ludzi walczących w Hiszpanii, z werbunku ka-pe-pe, pozbawić obywatelstwa, by zamknąć im drogę powrotu, odebrał to źle, nadspodziewanie źle.

„Tak się nie postępuje”, mówił zirytowany. „To jest nie *fair* i głupie. To się prędzej czy później obróci przeciw wszystkim. Dziś oni, jutro inni. Niebezpieczny precedens. To jest ruska metoda. To chwyt poniżej pasa. Trzeba temu przeszkodzić”.

Zadziwił mnie. Jak nieraz. Skąd u niego reakcja na tę akurat sprawę, i to jeszcze tak silna? Czemu przejął się nagle losem ludzi formacji obcej mu, nienawistnej? O co w tym wszystkim szło?

„Odkąd to los ‘zarazków’ tak leży ci na sercu?” spytałem ironicznie, chcąc skłonić go do wyjaśnień. „Wiesz chyba, co to za jedni... Z kim są w zмовie, z kim knują. I o czym się im marzy. Żeby tu była kolejna republika sowiecka!”

„To nie jest jeszcze powód, by im odmawiać powrotu!” obstawał twardo przy swoim. „Tym bardziej, że większość z nich to ludzie oszukani. Otumanieni, wplątani. Nie wiesz, co u nich znaczy ‘spontaniczna reakcja’, ‘nieprzymuszona wola’, ‘radosne, dobrowolne zgłaszanie się na zew’? To był normalny werbunek. Agitacja, namowa. Taka czy inna presja, wytwarzana na ludzi, którzy nie mieli na ogół specjalnego wyboru. Bo tu klepali biedę lub żyli na marginesie”.

„Kogo chcesz wzruszyć tą bajką?” zacząłem się niecierpliwić. „Jeśli mnie, to daremnie. A zresztą, gdyby nawet, to co tu można zrobić?”

„Niewiele, zgadzam się z tobą”, przyznał po chwili wahania. „Zawsze jednak, na przykład, można tam pojechać...”

„Po co?!” Aż podskoczyłem.

„No wiesz...”, odrzekł spokojnie, wzruszając ramionami, „żeby się zorientować, co tam naprawdę się dzieje, i żeby... nie oddać im pola”.

Pojąłem, że wszelka dyskusja pozbawiona jest sensu. On się już zdecydował, rzecz była przesądzona, a ta cała rozmowa służyła tylko temu, aby mnie powiadomić.

„A co z dzieckiem i Claire?” spytałem zdegustowany.

„Właśnie!” podjął natychmiast, jakby głównie w tej sprawie spotkał się wtedy ze mną. „Chciałem cię o coś prosić. Abyś był z nią w kontakcie i w razie czego jej pomógł...”

„W razie czego?” przerwałem, nie kryjąc dezaprobaty.

„No wiesz...”, rozłożył ręce, „różnie może się zdarzyć”.

Spytałem, czy powziął ten plan w porozumieniu z Claire. Czy ona wie już o tym i czy to akceptuje. Odpowiedział, że tak i że jest między nimi, jak zawsze, pełna zgodność. Co miałem na to powiedzieć? Przyjąłem zobowiązanie.

Znając go, wyczuwałem, że wszystko miał obmyślane w najdrobniejszych szczegółach (przynajmniej przerzut i start) i że za tą eskapadą kryją się powiązania, jakie miał za granicą, przede wszystkim we Francji. Nie wnikałem w to jednak. Taki miałem obyczaj. Jeżeli sam nie mówił, nie zadawałem pytań.

Moje domysły zresztą potwierdziły się wkrótce. Przedostał się do Hiszpanii drogą przez Pireneje – z polskimi emigrantami mieszkającymi we Francji. Przez pierwszych kilka miesięcy od momentu wyjazdu dawał o sobie znać dość często i regularnie. Wiadomość przychodziła mniej więcej co dwa tygodnie. Musiał mieć stały kontakt z jakąś bazą we Francji, bo listy były słane z departamentu Gard. Aż gdzieś pod koniec maja trzydziestego ósmego zamilkł i przepadł bez wieści. Nie tylko, że przestał pisać – zniknął z pola widzenia. Nikt spośród kilku ludzi, z którymi tam pozostawał w nieustannym kontakcie, nie umiał nic powiedzieć, co się z nim nagle stało. Rodziło to jak najgorsze domysły i podejrzenia. Albo po prostu zginął, i to w dodatku bez świadków, albo wpadł w czyjeś ręce i został uwięziony. Wiesz chyba, jak takie rzeczy działają na ogół na bliskich... Wywołują depresję, przywodzą do rozpacz. Ludzie histeryzują, wpadają w odrętwienie. Tak, tak... Ale nie ona.

Jej spokój, opanowanie i niezachwiana wiara, że on żyje i wróci, były godne podziwu. To wtedy właśnie odkryłem, jakim była człowiekiem...

Zapadła nagle cisza, w której na pierwszy plan wybiły się dźwięczne kroki mojego *cicerone* (jego brązowe półbuty miały skórzane podbicie, a nie gumowe, jak moje). Szliśmy ciemną ulicą, po wilgotnym chodniku, na którym się walały opadłe liście klonu. On lekko pochylony, z rękami założonymi do tyłu, ja obok, po jego prawej, trzymając ręce w kieszeniach.

– Użył pan czasu przeszłego – przerwałem w końcu milczenie. – Powiedział pan: „była człowiekiem”... Znaczy to, że nie żyje?

– No pewnie, że nie żyje – odparł z odcieniem złości.

– Od kiedy? – nie wytrzymałem.

– Chwileczkę! Po kolei! – ofuknął mnie i dodał: – Wszystko chcesz wiedzieć od razu.

– Przepraszam – skuliłem się.

– Na razie jesteśmy w połowie trzydziestego ósmego i wszyscy jeszcze żyją.

Już miałem na języku: „Wszyscy? A zatem Maks...”, lecz powstrzymałem się i tylko bąknąłem:

– Tak.

– Przerwałem opowiadanie – wyjaśnił pan Konstanty – bo zastanawiam się, jaki przyjąć porządek. Czy naprzód opowiedzieć, co miało miejsce w Hiszpanii i co się wtedy z nim działo, lecz o czym się dowiedziałem dopiero w wiele lat później, czy to, jak sprawy się miały z mojego punktu widzenia...

– Jeśli mi wolno radzić – odezwałem się cicho – może od pana strony...

– Nie... Jednak lepiej będzie, jeśli teraz opowiem, co się stało w Hiszpanii. Tylko pamiętaj: nikomu!... o tym, co teraz usłyszysz.

Maks przeszedł Pireneje w trzydziestym szóstym, w grudniu. (Był to, nawiasem mówiąc, krytyczny moment w tej wojnie.) Naprzód się znalazł w Lérizie, potem pod Saragossą, a na koniec w Madrycie. Z początku działał w grupie francusko-polsko-hiszpańskiej, a potem już w bardzo

różnych, choć głównie we francuskich. Organizował transport, brał udział w kilku potyczkach, a jednocześnie, stopniowo, poznawał sytuację, a zwłaszcza niedawną przeszłość, znaczy, historię tej wojny: od czego się zaczęła, co nastąpiło później, słowem, co się tam działo do czasu jego przybycia. I zrozumiał niebawem, że tam są dwa fronty, nie jeden, że przeciw Republice walczy nie tylko Franco i jego poplecznicy, Mussolini i Hitler, ale i... Józef Stalin, i to znacznie skuteczniej, a zarazem – perfidniej.

Zwycięstwo lewicy w Hiszpanii w trzydziestym szóstym roku było dla Sowietarzy, z jednej strony, sukcesem, a z drugiej, ostrzeżeniem, sygnałem alarmowym. Jątrzyli tam od dawna, jak zresztą wszędzie w tym czasie, nie spodziewali się jednak, że akurat w tym kraju – katolickim, rolniczym, wyjątkowo opornym na inżynierię społeczną – eksperyment się uda. Skoro jednak się udał, skoro z krzesanych iskier buchnął nareszcie płomień, trzeba było natychmiast przejąć nad nim kontrolę. Po pierwsze, „rewolucja” musiała być zgodna z teorią, po drugie zaś... choć, właściwie, to było najważniejsze!... nie mogła być niezależna od bolszewickiej Rosji. Pamiętaj, największym wrogiem całej tej bandy z Kremla – Lenina, Trockiego, Stalina – nie była żadna „prawica”, „imperialiści”, „faszyści”, lecz zawsze i niezmiennie... ustrój demokratyczny, a w szczególności lewica, prawdziwa, rzetelna lewica, to znaczy taka formacja, która w legalny sposób – politycznymi środkami – walczyła o interesy i prawa ludzi pracy. O, tak, to właśnie jej nienawidzili najbardziej! Bo zabierała im miejsce, bo stanowiła przeszkodę dla ich zbójceckich metod.

Dlatego też, gdy tylko zwyciężył ów front ludowy, lecz nie przyniosło to skutków rewolucyjnej natury (a nie przyniosło dlatego, że równowaga sił została zachowana), czerwone biesy natychmiast dolały oliwy do ognia. Zaczęły to diabelskie misterium podpalania, rozpasania i rzezi. Morderstwa polityczne, prowokacje, napady, niszczenie świątyń, lokali i niekończący się strajk. Rozkręcać spiralę gwałtu, podsycać ogień anarchii, aby w jakimś momencie, gdy zamroczenie zbiorowe osiągnie apogeum, chwycić wszystkich za gardło – dosłownie, cały naród – i rzucić na kolana. I od tej chwili już władać – niepodzielnie, bezwzględnie.

I pewnie by im to wyszło, pewnie by tak się stało, gdyby nie drugi diabeł, co panoszył się wtedy i też chciał podbić świat. Widząc, że coś się dzieje, że kawał ziemi w Europie staje się łupem rywala, pośpieszył czym prędzej na żer, aby walczyć o swoje.

Tak się zaczęła ta wojna. Oto prawdziwe jej tło. Gdyby nie pucz komunistów, gdyby nie skrajne działania inicjowane skrycie przez „prężny Komintern”, gdyby nie wypuszczenie motłochu na ulicę i akty grabieży, gwałtów i bezczeszczenia kościołów, z pewnością by do niej nie doszło!...

No, ale skoro już doszło, nie myśl, że Sowietarzom było to nie na rękę. Przeciwnie, spadło im z nieba! Sądzisz, że w owym czasie oni poważnie myśleli o rewolucji światowej? O tym, by „lud wyklęty” zaczął masowo „powstawać” i obalać „tyranie”, zwłaszcza w Europie Zachodniej? Nic bardziej fałszywego! Było dokładnie na odwrót. Rewolucja światowa, owszem, była ich celem, lecz pod jednym warunkiem: że od początku do końca będą ją kontrolować. To znaczy, że w jej wyniku będą powstawać państwa całkowicie zależne od moskiewskiej centrali, czyli prowincje... kolonie wielkiego ZSSR. Wszelkie inne warianty „wyzwalania się ludów z jarzma wyzysku i biedy” były nie tylko „błędne”, lecz – gorsze niż reakcja! Bo mogły nagle wykazać, że Rosja nie jest jedyna ani tym bardziej najlepsza w budowie „lepszego świata”. Przeciwnie, że jest najgorsza, że, owszem, przoduje, jak zawsze, lecz – w ciemieniu ludzi!

Podbić wtedy Hiszpanię pod pozorem rewolty?.. Byli na to za słabi. Za daleko. Za wcześnie. Lecz rozdmuchawszy ogień, pozwolić mu się rozszerzyć w nieprzewidziany sposób? Zostawić odległą Hiszpanię jej własnemu losowi? Wszystko, tylko nie to! Trzeba ją było zarznąć, jak kozła ofiarnego, lecz przedtem jeszcze – oskubać; wycisnąć z niej, co się da.

To właśnie z tego powodu, jak już wspominałem przed chwilą, rebelia frankistowska wprost spadła im z nieba. Nic lepszego w tym czasie nie mogło im się trafić. Zresztą, robili wszystko, aby ją sprowokować. Odkąd zaś wojna wybuchła, a zwłaszcza od momentu, gdy włączyli się do niej Mussolini i Hitler, pozostawało już tylko tak zręcznie manewrować, by trwała jak najdłużej. Bo taka wojna dla Rosji była na wagę złota... Jak się za chwilę przekonasz, nie tylko w przenośnym

sensie. Po pierwsze, niechciane dziecko mordowali „Herodzi”, a nie rodzona matka: „ojczyzna proletariatu”; po drugie, taka rzeź była nieoceniona dla celów propagandowych: można było udawać, że się ofierze pomaga, nadawać temu rozgłos (w istocie zaś tylko przedłużać krwawą, bolesną agonię); i wreszcie, co jednak wcale nie było trzeciorzędne, ten rzeźnicki karnawał przynosił wielką forszę – wprost gigantyczną fortunę. Wiesz, ile Stalin wycisnął w tym okresie z Hiszpanii? Sześćset milionów dolarów!... W złocie! Nie w żadnych papierkach.

A myślisz, że po co mu było to słynne zastrzeżenie w pakcie o nieinterwencji, mówiące, iż „rząd Republiki jako legalna władza ma prawo kupować broń, gdzie uzna to za stosowne”? Co, wyobrażasz sobie, że on im pomagał za darmo? Że słał te czołgi i bomby w imię wzniosłych idei solidarności mas? Chyba nie wierzysz w te bajki! To wszystko był złoty interes. Za darmo, a przynajmniej nie za własne pieniądze, wysyłało się ludzi. I to w dodatku nie swoich. Z Rosji jechali tam tylko agenci, prowokatorzy i doradcy wojskowi. Natomiast „siłę żywą”, jak to się w wojsku mówi, czyli mięso armatnie rekrutowano gdzie indziej, wszędzie, gdzie tylko już były założone agendy – w Austrii, we Francji, we Włoszech, w Czechach i na Bałkanach. W Polsce pełniła tę rolę – zarówno naganiacza, jak i żywej torpedy – usłużna ka-pe-pe.

Genialnie wymyślane! Sprowokować rebelię; doprowadzić do wojny; po czym ją utrzymywać w przewlekłej równowadze, by czerpać z niej jak najdłużej różnorodne profity: złoto za broń i żywność, sławę wyzwoliciela za wysyłanie na front tysięcy nie swoich ludzi, i doskonały poligon szpiegowsko-militarny. A wreszcie, gdy w kasach i skarbcach pokazało się dno, a efekt propagandowy minął już punkt szczytowy – przyspieszyć tragiczny finał, założony na wstępie: ze wszech miar pożądany upadek Republiki.

Jak taką rzecz się robi? Jak morduje się kogoś, komu niby się sprzyja? Jest na to stary sposób. Rosjanie są w nim mistrzami. Sowietci zaś w tej metodzie osiągnęli perfekcję nie znaną dotąd na świecie. Podaje się truciznę wywołującą obłęd. Atakuje się umysł – usypia lub blokuje instynkt samozachowawczy. Tym właśnie była akcja „zwierania szeregów lewicy”. Stalin, przez swoich agentów, rozpoczął klasyczną

kampanię o „czystość rewolucji” i „wierność ideom marksizmu”. Naprzód wykończył POUM², partię, która poniekąd zaczęła tę tragifarsę, a później, kolejno, innych. W przeciągu krótkiego czasu, po stronie republikańskiej, wszyscy walczyli z wszystkimi, skakali sobie do gardła, panował terror i strach, klimat podejrzeń, donosów, intryg i prowokacji. Gdy na froncie, w okopach, z coraz większą trudnością powstrzymywano napór nieprzyjacielskich sił, w dowództwie, na szczytach władzy, wyrzynano się wzajem, polując na czarownice. W tej sytuacji, Franco – spokojnie siedział i czekał. Aż sami się wykończą, aż na tyle osłabną, że padną pod byle ciosem. I rzeczywiście, gdzieś w grudniu trzydziestego ósmego, byli już tak skołowani wewnętrznymi walkami i wycieńczeni przez czystki, że ledwo stali na nogach. Franco, dostawszy wiadomość, że Stalin ostatecznie porzuca Republikę, że wywiózł już całe złoto, zatem odcina pomoc – przystąpił do ofensywy; ostatniej, „katalońskiej”. W trzydziestym dziewiątym, w styczniu, upadła Barcelona, a w końcu marca – Madryt.

Franco prowadził wojnę nie pasjonując się nią. Kiedy mu doniesiono, że wszystko już skończone, nie podniósł nawet głowy znad papierów na biurku. Natomiast przystąpił zaraz do bezwzględnej rozprawy z masą republikańców. Zginęło wtedy blisko dwieście tysięcy ludzi, a ponad drugie tyle – wylądowało w więzieniach.

Stalin odetchnął z ulgą...

Maks zniknął z pola widzenia, bo musiał się ukrywać i stracił kontakt z łącznością. Jako ochotnik z Polski, ale nie z ka-pe-pe, wydał się naraz „czerwonym” niezwykle podejrzany. Uznano go za szpiega – faszystowskiego agenta. Wydano nań wyrok śmierci. Ukrywał się z jednym Francuzem, ściganym za to samo. W odróżnieniu od Maksa, był to typ „polityczny” – działacz, organizator, pasjonat ideowy. Związany z francuską lewicą, pojechał do Hiszpanii, by wspierać republikańców, by włączyć się do walki o „lepsze jutro świata”. Na miejscu, bardzo szybko, wpadł w wir rozgrywek partyjnych, prowokacji i intryg, i na tym grząskim gruncie

2. Partido Obrero de Unificación Marxista (Partia Robotnicza Zjednoczenia Marksistowskiego).

przebył daleką drogę. Posiadał ogromną wiedzę – o mechanizmie władzy, o prawach rewolucji, a zwłaszcza o metodach zewnętrznej interwencji. Wreszcie, „wiedział za dużo” i trzeba go było sprzątnąć. Cudem uniknął śmierci. To Maks, zresztą przypadkiem, uratował mu życie. Trzymali się odtąd razem. Zaprzyjaźnili się. To właśnie od niego Maks dowiedział się całej prawdy o sowieckiej „pomocy” i w ogóle o tej wojnie. I dzięki niemu również, wydostał się z Hiszpanii. Dosłownie, w ostatnim momencie. Tuż przed upadkiem Madrytu.

Pamiętam dobrze ten dzień, gdy nagle, po blisko roku zupełnego milczenia, nadeszła od niego wiadomość – telegram nadany z Francji: że żyje; jest cały i zdrow; ale nie wraca do kraju; natomiast żeby ona czym prędzej się pakowała i jechała do niego, oczywiście, wraz z dzieckiem...

Pan Konstanty znów umilkł. Znowu zerknąłem na niego. Szedł, lekko pochylony, ze wzrokiem utkwionym w chodnik.

– Dlaczego nie chciał wracać? – zapytałem półgłosem.

– Ponieważ był przekonany – usłyszałem odpowiedź – że Polska lada moment zostanie napadnięta. I to naraz z dwóch stron. Z zachodu i ze wschodu.

– Kiedy to było, dokładnie?

– W trzydziestym dziewiątym, w kwietniu.

– Już wtedy to przewidywał?

– W dniu upadku Madrytu Niemcy zerwały traktat, który zawarły z Polską w trzydziestym czwartym roku, a bodaj w tydzień później zajęły Czechy i Litwę. Mniej więcej w tym samym czasie, szef dyplomacji sowieckiej, na oficjalnym spotkaniu z ambasadorem Francji, powiedział bez ogródek, że ZSSR nie widzi innego wyjścia dla siebie niż... czwarty rozbiór Polski. To były znane rzeczy, publikowane w prasie... A niezależnie od tego – pan Konstanty przystanął i spojrzał w moją stronę (przystanąłem i ja, odpowiadając spojrzeniem) – on miał jakiegoś nosa, choć stronił od polityki.

Staliśmy pod latarnią, w kręgu mętnego światła, u brzegu rozległej kałuży.

– I co, pojechała do niego? – odezwałem się wreszcie po dłuższej chwili milczenia, ściskając w kieszeniach palce od nadmiaru emocji.

– Tak... – odparł pan Konstanty. – I to niemal z dnia na dzień. Gdy tylko dostała wizę i bilet do Paryża. Wtedy nie trwało to długo... Pamiętam: Dworzec Główny; wieczór; wagon sypialny. Widziałem ją tam wtedy, w otwartym oknie pociągu, po raz ostatni w życiu.

Zapatrzył się w kałużę, na której falowały cienie naszych sylwetek. Wreszcie ruszył na nowo, obchodząc ostrożnie wodę.

– Miała wtedy przed sobą niespełna trzynaście lat życia.

Przeliczyłem natychmiast: rok pięćdziesiąty drugi.

– Co się stało? – spytałem.

– Wypadek samochodowy. Tyle że... – nie dokończył.

– Tyle że co? – podjąłem.

– Tyle że nie jest jasne, co było jego przyczyną...

– Przepraszam – wpadłem mu w słowo – gdzie obecnie jesteście? We Francji, czy znowu w Polsce?

– We Francji, mój drogi, we Francji.

– Nie wrócili po wojnie... stwierdziłem w trybie pytania.

– Nie – odpowiedział krótko.

– A co to był za wypadek? W jaki sposób zginęła?

– Za kierownicą. Prowadząc. Straciła panowanie.

– I co w tym jest niejasnego?

– Rzecz podstawowa: dlaczego? Na równej, pustej drodze? W dzień. Przy spokojnej jeździe?...

– Jechała sama, czy... z kimś?

– Sama. Lecz Maks to widział.

– I co takiego zobaczył?

– Że auto nie hamuje... Że zjeżdża na pobocze i leci dalej na dół.

– I co by to miało znaczyć?

– Że nie działały hamulce i układ kierowniczy.

– No dobrze, no i co z tego?

– Że wszystko to zostało specjalnie uszkodzone.

– Po co?... A raczej, przez kogo?

– To właśnie jest niejasne. W każdym razie on sądził... był święcie przekonany!... że to był podstęp. Pułapka. Zastawiona na niego. To on miał być ofiarą.

– I kto niby za tym stał?

Pan Konstanty przystanął, wyjął z kieszeni spodni srebrną papierosnicę i pudełko zapalek, wyciągnął spod gumki

Giewonta i z namaszczeniem zapalił.

– Wszystko, co wiem, wiem od Maksa – wypuścił z rozkoszą kłęb dymu. – I prawdę mówiąc, nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

– Dlaczego?

– Posłuchaj... – szybkim ruchem wsunął papierośnicę i pudełko zapalek z powrotem do kieszeni, poprawił z przodu płaszcz i znowu ruszył z miejsca. – Tylko pamiętaj, nikomu!

Ten Francuz, co mu pomógł wydostać się z Hiszpanii, później, za okupacji, działał w Ruchu Oporu. Znowu ich drogi się zeszły. To znaczy, on znalazł Maksa i wciągnął go do współpracy. I tam to się zaczęło. No, może nie od razu. Właściwie pod koniec wojny. Gdy między różnymi frakcjami zaczęły się porachunki i wylazły z podziemia upiory niedawnej przeszłości. Chodzi głównie o akcje z ramienia Francs-Tireurs et Partisans Français oddziałów grupujących francuskich komunistów, którzy w okresie wojny znowu się odrodzili – po tym, kiedy ich partię, w trzydziestym dwiatym roku, jak w innych krajach wtedy, zdelegalizowano. Wróciły stare sprawy, walka o wpływy w państwie, stającym znów na nogi, a zwłaszcza ta wścieklizna, ów chorobliwy trans – podejrzeń, oskarżeń, nagonek, prowokacji i zabójstw – cały ten ferment i rozbój, który jest im właściwy. Pod pozorem rozliczeń ze zdrajcami narodu i kolaborantami z niemieckim okupantem załatwiano dziesiątki doraźnych porachunków, a także różne „zaszłości”, czyli tych, co onegdaj uznano za przeciwników lub którzy za dużo wiedzieli. Krąg zaczął się zacieśniać. Ginęli kolejno ludzie z siatki tego Francuza, w tym kilku weteranów właśnie z wojny w Hiszpanii, a wreszcie i on sam został zamordowany. Maks dostrzegł w tym dla siebie śmiertelne zagrożenie. Uznał, że po tym człowieku – następny będzie on. I tak jak stali, uciekli. Wszyscy troje. Natychmiast. W góry. Gdzieś pod Megève. Gdzie znali jakichś ludzi jeszcze sprzed okupacji.

Czytałeś *Zwycięstwo* Conrada?... A, już pytałem cię o to! Przeczytaj, koniecznie przeczytaj! To znów jest jak z tej powieści: wcielone zło tego świata, odrzuconego ze wzdrgadą, puka do drzwi azylu, by zmusić do pojedynku. Niejaki pan Jones, Ricardo i straszny osiłek Pedro: trójka spod ciemnej gwiazdy, nasłana przez Schomberga. Z zawiści. Przez podłość. Zło.

Tak przynajmniej to wszystko prezentował mi Maks.

Po kilku latach spokoju, gdzieś w pięćdziesiątym drugim, znowu poczuł ich oddech. Któregoś dnia, blisko domu zauważył człowieka, którego widywał w Hiszpanii. Był to niejasny typ, grający na różne strony, przed którym ostrzegał Maksa ów francuski kolega. Maks odniósł teraz wrażenie, że jest to wywiadowca – wysłannik ciemnych sił, który miał za zadanie ustalić jego adres. O roli tej miało świadczyć zachowanie mężczyzny: jaskrawo nienaturalne, typowe dla kapusia. Odwracał się, pochylał przeglądając gazetę, palił – no, cały ten repertuar śledzącego tajniaka. A potem nagle zniknął i nie pojawił się więcej. Zjawili się jednak inni, przynajmniej według Maksa. Podkreślam: według niego, bo nie mam innych danych; mam natomiast podstawy, by sądzić, że wpadł w obsesję.

Krótko mówiąc, był pewien, że go śledzą, pilnują i czają się do skoku. Wszystko, co działo się wokół, wzbudzało w nim podejrzenia; stał się skrajnie nieufny, we wszystkim węszył zdradę... Choć, z drugiej strony, fakt: NKWD w tym czasie poczynił sobie we Francji wyjątkowo zuchwale. Porywali z ulicy. Zgarniali w biały dzień. Nawet w centrum Paryża. Były głośne wypadki. Mógł więc się czuć zagrożony.

No i wreszcie się stało. Ta sprawa z samochodem, w którym ona zginęła. Dla niego – był to zamach. Potwierdzenie podejrzeń, że jest na celowniku. Nie wiem, co tam znaleźli, on w każdym razie twierdził, że ciągła hamulcowe, a zwłaszcza sworznie zwrotnicy zostały podpiłowane. Mówił, że robił badania, że brali wszystko pod lupę...

Zresztą, jakkolwiek było, po tej historii nerwy puściły mu na dobre. Stał się innym człowiekiem. Rozchwianym. Pobudzonym. Dręczącym się wyrzutami, że zginęła przez niego. Maniakalnie ostrożnym, a przy tym – nierozważnym. Opętany potrzebą odkrycia „całej prawdy”. I – zadośćuczynienia. Takim go w każdym razie znalazłem w jakiś rok potem, gdy wkrótce po śmierci Stalina powrócił z nią do kraju...

– Z nią? – nie wytrzymałem.

– No, z córką... przecież nie z trumną! – wyjaśnił pan Konstanty z odcieniem irytacji. – Z twoją obecną panią, co uczy cię francuskiego.

– Ach, słusznie! Oczywiście! Zupełnie zapomniałem.

– Ty rozumiesz?! – znów stanął, tym razem u szczytu schodów prowadzących do przejścia pod kolejowym wiaduktem. – Rozumiesz, co on zrobił? Tam niby osaczony, uciekł tutaj się chronić! W tamtym czasie! Rozumiesz? Wiedząc, co tutaj się dzieje, nie mając żadnych złudzeń. To był skok w paszczę lwa!

Pan Konstanty zachłannie zaciągnął się papierosem, po czym go cisnął pod nogi, przydeptał niedopałek i ruszył w dół, ostrożnie, po wyslizganych schodach.

– To świadczy, w jakim był stanie – powiedział nieco spokojniej. – Do czego go doprowadził ten „pojedynek ze światem”. Człowiek przy zdrowych zmysłach nie robi takich rzeczy...

Szliśmy ciemnym tunelem w oparach stęchlizny i moczu. Z niewysokiego sufitu kapłała obficie woda.

– Tak, to była choroba – znów usłyszałem głos mojego przewodnika (brzmiał teraz nieco inaczej, wskutek bliskiego echa) – rodzaj choroby nerwowej. Polegającej na głodzie: strachu i zagrożenia. Ludzie, dotknięci nią, tylko pozornie łakną usunięcia przyczyny napięcia i niepokoju. W istocie, chcą się bać i potrzebują bodźców, które to warunkują. Wszystko jest dla nich gorsze od braku pożywienia, którym się posilkuje ich chora wyobraźnia. To działa jak narkotyki. Kiedy nic się nie dzieje lub dzieje się za mało, wtedy dopiero szaleją! I robią coś takiego, by czym prędzej się stało. By urojony świat znów zyskał potwierdzenie.

On zawsze miał skłonności do wyzywania losu, do szukania ryzyka. Teraz wskutek tych przejść, uległo to zwyrodnieniu. Wyjątkowa odwaga, odpowiedzialność za innych, zapobiegliwość, ostrożność, żelazna dyscyplina – wszystko to się stopiło w skrajną nieobliczalność. W szukanie śmierci, przepaści, ciemności zapomnienia.

No, i tak też się stało.

Chociaż czas, w którym wrócił, nie był już tak złowrogi jak przez ostatnie lata (gdy szalał po prostu terror), to jednak, mimo wszystko, panował tutaj reżim, i mało było potrzeba, ażeby dostać po łbie. Tymczasem on, ledwo wrócił, zamiast przycupnąć gdzieś lub siedzieć przynajmniej cicho, zaczął się zaraz obnosić z tą całą swoją historią i zwrócił na siebie

uwagę. Aż go wreszcie przymknęli. I to nie zwykłe UB, lecz Informacja Wojskowa. Nie wiem, czy wiesz, co to jest, a zwłaszcza czym było wtedy? Uchowaj, Panie Boże! Najmroczniejszy krag piekła.

No, i nie wyszedł już stamtąd. Dostał podobno zawału... Ja to nawet przyjmuję. Przynajmniej nie wykluczam, ponieważ wydali ciało. Jeżeliby mu pomogli, nie zrobiliby tego. No, ale sam rozumiesz, w takich okolicznościach... to było tylko jedno: morderstwo; likwidacja; to, czego oczekiwał; przed czym niby uciekał, a czemu w rzeczywistości szedł straceńczo naprzeciw...

Rozległ się łoskot pociągu jadącego nad nami i pan Konstanty urwał. Przyspieszyliśmy kroku i wyszliśmy z tunelu. Zaczęliśmy piąć się po schodkach po drugiej stronie torów.

Antoni LIBERA

KSIAŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Wiersze

Jarosław KLEJNOCKI

KRAKÓW, MGŁA

Zanim podeszdziesz do okna przywitać
się z dniem zanim czajnik obwieści
swą wieczną gotowość zanim weźmiesz
gazetę długopis lub może zanim rynna
odśpiewa żelazną pobudkę jeszcze stoisz
odkryty bezbronny jak mgła nim pochłonie
ją ogień zimnego poranka.

Jarosław KLEJNOCKI

Joanna KUROWSKA-MŁYNARCZYK

upadłam skaleczyłam twarz o kamień
już nie mogę jej tulić do powietrza
w drzwiach kościoła obrócił się klucz nocy
czarny krzyż tnie niebo na czworo

Panie Panie przebudź mnie ze snu
niech cicho odfrunie ptak wygnania
niech przepadną w sklepieniach gałęzi
lata ostre i prędkie jak strzał z bata

Joanna KUROWSKA-MŁYNARCZYK

Archiwum polityczne

Na rurociągu jak na smyczy

Rurociągi zawsze były w Polsce sprawą polityczną. Kiedy w latach 60-tych trudniej było o wołowinę niż o wieprzowinę żartowano, że krowy nie mieszczą się do rurociągu „Przyjaźń”. Kiedy w latach 70-tych rozsierdzeni stoczniowcy pytali, dlaczego sprzedajemy statki do ZSSR za grosze – towarzysze odpowiadali, że również za grosze płynie rurociągiem sowiecka ropa naftowa do Polski. Kiedy u progu lat 80-tych chmurzyło się na stan wojenny, częściej niż marszałek Kulikow odwiedzał Warszawę szef Gosplanu Bajbakow ze smutną miną informując, że z powodu kłopotów technicznych rurociąg może wyschnąć – ropy będzie mniej albo wcale.

Rurociągi służyły jak smycz, na której nas trzymano. Rurociągi były nie mniej skutecznym narzędziem kontroli niż stacjonujące w Polsce jednostki sowieckie. Rurociągi były też probierzem postaw: romantycznych a racjonalnych, à la Konrad i à la Wokulski. Przypominam sobie pewne zdarzenie, które ten podział lepiej zilustruje: jesienią 1981 roku pojechałem do warsztatu samochodowego sprawdzić hamulce. Właściciel rozpoznał mnie i zamiast o aucie zaczęliśmy rozmawiać o polityce (wtedy zresztą wszyscy o niej mówili). – „Rurociąg?! Ręczę panu, że gdyby wszystkie nasze rozgłośnie nadały na świat apel: jesteśmy szantażowani przez Rosjan, dajcie nam ropę! to wszystkie tankowce z Europy tłoczyłyby się w porcie gdańskim, nawet by pieniędzy od nas nie chcieli!”. Szybko odjechałem, hamulce to zbyt poważna sprawa, żeby powierzać ją wariatom.

Ale rurociąg to sprawa jeszcze poważniejsza, właściwie rurociągi: oprócz „Przyjaźni”, biegnącej od granicy biało-

ruskiej przez Płock do byłej NRD (rafineria w Schwedt nad Odrą) mamy nie ochrzczony żadną pompatyczną nazwą rurociąg z gdańskiego Portu Północnego do Płocka. W razie kryzysu zaopatrzenia ze wschodu można ropę importowaną morzem tłoczyć do Płocka. Rafineria Schwedt płaci nam pewien ryczałt za to, że i jej w razie potrzeby służyć może ta awaryjna droga. Takie są przyjęte obyczaje w infrastrukturze energetycznej: płaci się nie za korzystanie, a za możliwość korzystania z rurociągu, linii przesyłkowej czy szyn kolejowych.

Teraz gazociągi: w latach 70-tych polska prasa intensywnie reklamowała świetny interes – budowę gazociągu orenburskiego, który wiodł z głębi Rosji do Europy centralnej. W zamian za pracę naszych załóg i naszych, na ogół importowanych za dolary maszyn mieliśmy otrzymać określoną ilość gazu po zakończeniu budowy. Opozycja w podziemnych gazetkach twierdziła, że uzyskany w ten sposób rubel będzie nas kosztował kilka dolarów zamiast, jak twierdziła oficjalna propaganda, 25 centów. Nie podejmując się tego sporu rozsądzać (zarówno nasza praca, jak i dostawy gazu były rozliczane w rublach transferowych), ale z pewnością nie był to dobry biznes. Kiedy w bież. roku negocjowano tzw. opcję zerową (wzajemne darowanie dawnych długów i należności za wyjeżdżające z Polski rosyjskie garnizony), Rosjanie chcieli do worka „przebaczenia” wrzucić także zapłacone awansem dostawy gazu orenburskiego. Naszym negocjatorom udało się jednak wywalczyć inne wyjście i gaz do nas płynie tak, jak umowa sprzed 20 lat przewiduje.

Orenburskim rurociągiem rosyjski gaz idzie do zachodniej Europy. Amerykanie wprawdzie przestrzegali sojuszników, żeby się nie uzależniali od Moskwy, ale ci nie posłuchali – i dobrze na tym wyszli. Rosjanie mogli przykręcić kurek z gazem nam, ale nie klientom, którzy odwrotnie tłoczą na wschód marki, franki i liry.

Mało kto wie, że pierwotnie rurociąg miał biec krótszą drogą – przez Polskę i że nawet na naszym terytorium ułożono już 60 km rur. W Moskwie uznano jednak, że Polacy są zbyt nieobliczalni i puszczono rurociąg dalszą ale pewniejszą drogą – przez Słowację i Czechy. Odnoga owego rurociągu wchodzi do nas w okolicy Krosna i biegnie dwoma

nitkami do centralnej i zachodniej Polski – dwie dodatkowe smycze.

Te 60 km rur wykopano i przeniesiono gdzie indziej, a trasa rurociągu dochodzi do Brześcia i ostro zakręca na południe, żeby omijając wysunięty cypel Polski w Bieszczadach pobiec na zachód. Warto o tym przypomnieć tym bardziej, że – jak słychać – równolegle z przygotowaniem do budowy nowego gazociągu, jamalskiego, przez Polskę „Gazprom” planuje budowę nowej nitki tamtego, orenburskiego. Ponadto w trakcie rozmów o spłacie rosyjskiego zadłużenia względem Węgier i tam mówi się o budowie gazociągu. Oznacza to, że mając alternatywę, Rosjanie stoją na lepszej pozycji przetargowej i chociaż nie ma już Układu Warszawskiego, mogą rozmawiać z Warszawą, Bratysławą, Pragą i Budapesztem z pozycji silniejszego. Rem Wichariew, szef Gazpromu oświadczył: „umiemy liczyć, wiemy którędy taniej i szybciej, ale gdyby z Polską nie wyszło – mamy zgodę Słowacji”. Warto dodać, że i prezydent Kuczman nazwał traktat, prowadzący gazociąg przez Białoruś i Polskę, „antyukraińskim”.

Rurociągi były więc zawsze splecione z polityką i nic dziwnego, że kiedy wiadomości o planowanej budowie nowego, jamalskiego przeciekły do opinii publicznej, wszyscy się interesowali przede wszystkim, czy będziemy od dostawców uzależnieni. Właściwie ten wątek myślenia pojawił się już wcześniej i to na sposób groteskowy: typowi kawiarniani politycy nachylali się nad mapą, żeby doradzić ojczyźnie, skąd ma zaopatrywać się w gaz. Mówiono uczenie o „opcji północnej” (spod Morza Północnego, z Wlk. Brytanii), „opcji algierskiej” i „opcji irańskiej”.

Kiedy jednak nad mapą pochyłili się specjaliści, okazało się, że Brytyjczycy wymagają wielomiliardowych gwarancji, transport z Algierii jest skomplikowany technicznie i kosztowny (skraplanie gazu, załadowanie na statki, dowóz do Gdańska i dopiero stąd tłoczenie rurociągiem), a z Iranu nadto narażony na sabotaż fundamentalistów muzułmańskich. Musieliśmy uznać, że jedynym rozsądnym wyjściem jest import gazu z Rosji.

Po latach tłustych w czasach RWPG i latach chudych 1990-92 handel polsko-rosyjski powoli odżywa. Rosja jest

naszym czwartym partnerem, sprzedajemy tam głównie żywność, kupujemy zaś przede wszystkim surowce energetyczne – ropę i gaz. Przy czym Polska stara się nadać wymianie handlowej formy trwałe, traktatowe. Rosja ich unika, woli nie wiązać sobie rąk. Dostawy gazu jakoś tam idą, ale umowy wieloletniej (poza wynikającą z naszego udziału w budowie gazociągu orenburskiego, która wygasa za dwa lata) nie mamy.

Naszym strategicznym zabezpieczeniem miałoby być położenie „na rurze”, a nie na jej końcu. Gdyby Rosjanie zechcieli odciąć dopływ gazu nam, odcięliby go również Niemcom i Włochom, a na to się nie poważą. Takie stanowisko ekspertów przyjął rząd Suchockiej, a „prawicowa” opozycja (przede wszystkim partie, określające siebie jako „niepodległościowe”) oskarżała rząd o uległość wobec Rosji, dodając kądzieli, że to już weszło lewicy w krew. Dla mnie, dodam, argument co najmniej wątpliwy, bo chociaż temu czy owemu dawnemu polskiemu komuchowi mogły pozostać jakieś znajomości w Moskwie, to raczej nie na Kremlu, a tradycyjna antyrosyjska fobia dowodzi raczej głupoty „niepodległościowców” niż zdrady „demokratów”.

Prędzej bym podejrzewał, że Pawlak (którego ministrowie dzieło Suchockiej kontynuowali) zanadto wierzył, że rosyjski rynek będzie zawsze chłonny na polską żywność, produkowaną przez jego klientelę wyborczą i że ropa i gaz zrównoważą się z ziemniakami i wieprzowiną. Myślę, że Rosji o wiele szybciej stanie się samowystarczalnym producentem żywności, niż Polska paliw, że zatem rachuby na to, iż wiecznie głodny rynek rosyjski podtrzyma byt drobnego polskiego rolnika – są błędne.

Protokół o wspólnej budowie gazociągu, podpisany przez Pawlaka (jeden z ostatnich dokumentów, zanim odszedł) i Czernomyrdina w czasie jego wizyty w Warszawie w lutym 1995 b.r. nie został podany do wiadomości publicznej. Zastanawiające, bo kontrakt między dwoma rządami (nazywany szumnie „kontraktem stulecia”) został podpisany blisko dwa lata wcześniej. Wtedy pisano, że budowa ruszy wnet, a w 1995-ym rurą popłynie już gaz. Widocznie po drodze wyłoniły się nieprzewidziane przeszkody, i to nie przeszkody techniczne czy geologiczne.

Ale najpierw o tym kontrakcie sprzed dwóch lat: rysuje on trasę przebiegu rurociągu (wchodzi do Polski w białostockim, przebiega przez Włocławek, gdzie są duże zakłady azotowe, i biegnie do Słubic), jego długość (670 km na terenie Polski), przekrój rur (1420 mm, nieomal można stanąć), a przede wszystkim szczegóły finansowania. Są one na tyle ważne, że warto je omówić bardziej szczegółowo.

Otóż koszt budowy odcinka na terenie Polski ma wynieść ok. 2,5 miliarda dolarów, z czego Polska ma pokryć ok. 15 procent, a Rosja resztę. Czuwać nad budową, a potem czerpać zyski z eksploatacji ma konsorcjum pod nazwą Europolgaz (od Europy, Rosji, Polski i gazu – rozszyfrowuję ten skrót, żeby uspokoić, że Rosji nie pominęto), na które składa się: rosyjski Gazprom – 48% i Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo – też 48%. Pozostaje czteroprocentowy jeździec wagi, Gas Trading, a składają się nań: Gazprom – 35%, PGNiG – 30%, Bartimpex – 25%, Węglkokoks – 5% i Wintershall – 5%.

Dwóch pierwszych firm nie muszę już przedstawiać: obie są państwowe i chociaż mają swoje interesy, będą w zasadzie robić to, co im nakazą ich rządy. Bartimpex, to prywatna polska firma pana Aleksandra Gudzwatego, który podtrzymał i rozwinął znajomości z wpływowymi rosyjskimi handlowcami z okresu, kiedy był dyrektorem państwowej centrali handlu zagranicznego. Bartimpex ma spory udział w imporcie rosyjskich paliw do Polski. Węglkokoks był dotychczas na rynku energii raczej eksporterem, firma na razie państwowa. Wreszcie niemiecki Wintershall, to dostawca technologii.

Co będzie, jeśli pan Gudzwaty zechce sprzedać Gazpromowi swoje udziały? Co będzie, jeśli sprzeda ich część, a Niemcy zablokują się z Rosjanami? To jeden rodzaj pytań. A drugi – to czy takie same pytania zadają sobie Rosjanie. Czy 670-kilometrowy odcinek rurociągu, który ma w sumie 4 tys. km długości, jest z góry skazany na podporządkowanie się tym, co są przed nami i tym, co są za nami.

Dwa lata spóźnienia wynikają, jak się zdaje, z niezgody co do podziału ryzyka. Strona rosyjska zgadza się na podział kosztów budowy, ale nie gwarantuje, czy rurociągiem popłynie tyle gazu, ile technicy zakładają. Strona polska chciała by otrzymywać opłaty tak, jak straż pożarna – nie tylko

wtedy, kiedy się pali. Ta niezgoda z kolei każe sceptycznym obserwatorom jeszcze raz przyrzeć się całemu projektowi i wytypować, gdzie mogą być słabe punkty.

Po pierwsze – wcale nie wszyscy wierzą, że zapotrzebowanie na gaz będzie w tak szybkim tempie rosło. Nie chcę nudzić liczbami, więc w skrócie: obecnie polskie domy i fabryki zużywają niespełna 10 mld m sześciennych gazu rocznie, w ciągu pięciu lat to zużycie się podwoi (przypomnę, że produkcja przemysłowa rośnie w tempie ponad 10% rocznie, zatem potrzeba coraz więcej energii), a po roku 2010 potroi. Importujemy z Rosji ok. 8 mld, traktat o gazociągu jamalskim zakłada import 14 mld czyli jedną piątą tego, co będzie tłoczzone – reszta pójdzie dalej na zachód. Zgodnie z tymi technicznymi założeniami zakopie się w ziemię dwie nitki solidnych, grubych rur. Krytycy mówią, że w ten sposób zakopie się niepotrzebnie miliardy dolarów, które nie będą przynosiły zysku. Ich zdaniem jedna nitka wystarczyłaby.

Po drugie – zachodni bankierzy podobno nalegali, żeby gaz przepływał „popychany” porządnymi sprężarkami produkcji zachodniej. Gazprom jednak ma zamiar instalować sprężarki z fabryki w Nikołajewie na Ukrainie, a to dlatego, że tylko w tej formie może wydobyć część swoich należności z Ukrainy, która gaz ze starego rurociągu podbiera, ale nie płaci. Stanowi to *nota bene* pewną gwarancję, że i nas nie spotka wyłączenie gazu, nawet gdyby Rosja się na nas zirytowała.

Po trzecie – niektórzy krytycy kwestionują, czy co jest dobre dla firmy Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo – jest dobre także dla Rzeczypospolitej Polskiej. Rurociąg orenburski był budowany 20 lat temu za nasze podatki. Teraz Rosjanie spłacają to dostawami gazu, które PGNiG dostaje za darmo, a sprzedaje nam po całkiem wysokich i coraz wyższych cenach. Nikt nie oczekuje, żeby go rozdawać darmo – ale firma, która nie płaci za wsad, nie jest zmuszona do wewnętrznej dyscypliny finansowej i może (choć nie musi) uprawiać swoją politykę utrwalania takiego stanu rzeczy.

Po czwarte – zwiększenie dopływu gazu do polskiej gospodarki, zgodne z trendami technicznymi w świecie, dobije polskie górnictwo węglowe i zaostrzy i tak trudną sytuację społeczną na Śląsku. Doświadczenia konfliktów w

kopalniach francuskich, niemieckich, a całkiem niedawno angielskich każą do tego podchodzić ze świadomością, że zanim się zamknie szyby – trzeba mieć program, co zrobić ze zwalnianymi ludźmi.

I wreszcie po piąte – co będzie z cenami? Rosja sprzedaje gaz po podwójnych cenach: swoim (tzn. dawnym republikom zaprzyjaźnionym) – 40 dolarów za tysiąc metrów i obcym (tzn. zarówno Litwie, jak i nam czy Niemcom) – 90 dolarów. Oczywiście nie wchodzi w grę przehandlowanie niepodległości w zamian za obniżkę ceny, ale czy tę wyższą cenę bez zmniejszającej dotacji zaakceptuje nasz rynek?

Pozostaje wreszcie kwestia ostatnia, a wcale nie bagatelna – pod Polską są prawdopodobnie złoża gazu i niektórzy fachowcy mówią, że ich odkrycie to sprawa nie szczęśliwego trafu, ale odpowiednio wysokich nakładów. Im drożej PGNiG sprzedaje gaz, tym więcej może wydać na poszukiwania, im obfitsze okazałyby się nasze złoża, tym bardziej zbędny nasz udział w budowie gazociągu, a im bardziej cała ta budowa okazałaby się ekonomicznym niewypałem – tym boleśniej odbiłoby się echem tradycyjnych nastrojów antyrosyjskich.

Byłoby naprawdę godne pożalowania, gdyby do całej naszej „rurociągowej” symboliki przeszłości, związanej z minionym okresem komunistycznego dyktatu i planowego bałaganu doszła nieudana, a już w nowych warunkach poczęta próba. Gdyby rurociąg jamalski okazał się kolejną smyczą. Reporterzy odnotowali, że przy podpisywaniu traktatu przed dwoma laty wicepremierzy obu naszych krajów „dali sobie misia”, czyli objęli się i ucałowali komunistyczno-RWPGowskim zwyczajem. Muszą jednak wiedzieć, że to jedyny element przeszłości, że teraz są inne czasy, że ciąży na nich oraz na ekonomistach i technikach o wiele poważniejsza odpowiedzialność. Udany projekt, to nie tylko korzyść ekonomiczna, to także znaczny krok naprzód na drodze budowy dobrych stosunków między Polakami i Rosjanami. Porażka, to nie tylko strata, to także wzmożenie nacjonalizmów po obu stronach.

Andrzej Krzysztof WRÓBLEWSKI

Po wyborze prezydenta... Francji

1.

W maju przyjechałem na kilka dni do Paryża i zdążyłem jeszcze obejrzeć finał kampanii wyborczej o prezydenturę Francji. Jest zdumiewające (i świadczy o kurzej ślepotce naszych gazet), że kampanii tej poświęcono w Polsce tak mało uwagi. Tymczasem jest wielce prawdopodobne, że u nas na jesieni finał wyborów prezydenckich będzie odzwierciedlał podobne problemy i spory, mimo zupełnej z pozoru odmienności sytuacji. Warto zatem było, jak już nieraz w naszej historii, przyjrzeć się Francuzom i czegoś się dzięki temu dowiedzieć o sobie.

W ostatniej fazie kampanii francuskiej socjalista Lionel Jospin rywalizował z gaullistą Jacquesem Chirac. Pierwszy stał się, z natury rzeczy, kandydatem całej lewicy, drugi zaś – całej prawicy. Z natury rzeczy, to znaczy z logiki wyborów większościowych w dwóch turach, która obowiązuje również w polskiej ordynacji. Wymuszana przez tę logikę polaryzacja w drugiej turze określana jest we Francji jako przeciwstawienie lewicy i prawicy, i w Polsce będzie zapewne określana podobnie, mimo że i tam, i tutaj wielu polityków i politologów uważa to przeciwstawienie za nieaktualne, sztucznie podtrzymywane przy życiu właśnie przez logikę ordynacji wyborczej. Chętnie mędrkują o tym intelektualiści ze szkoły *Gazety Wyborczej*, ale i we Francji nie brak takich głosów, i to całkiem poważnych, np. prof. François Furet dowodzi, że epoka Wielkiej Rewolucji Francuskiej została już zamknięta, ostatnie kręgi rozeszły się po taflę czasu, a to ona właśnie podzieliła była Francuzów na lewych i prawych. Ale słowa żyją dłużej niż intelektualiści, a słowniki są nieraz wnikliwsze od profesorów: lewica i prawica trwają we Francji w najlepsze*,

* Od razu po drugiej turze zauważono, że mapa wyborcza z 1995 pokrywa się z rozkładem geograficznym rezultatów lewicy i prawicy z roku... 1902!

choć nie powinny. Myślę, że również w Polsce dzieje się podobnie.

Jest rzeczywiście wiele powodów, dla których lewica i prawica powinny się były rozpuścić. Przede wszystkim, runął z trzaskiem jedyny alternatywny wobec kapitalizmu współczesny system społeczny i ekonomiczny, realny socjalizm, on zaś, a jeszcze nieporównanie bardziej ideologia, jaką wyznawał, wyznaczały przez dziesięciolecia pole lewicowości: nie był lewicowcem, kto nie lubił socjalizmu, przynajmniej wyobrażeniowego – i każdy, kto go lubił, uważał się z tego tylko tytułu za człowieka lewicy. Otóż socjalizm realny nie tylko runął, ale pozbawił w swej katastrofie wszystkich lewicowców – nawet tych najbardziej antysowieckich – wszelkiego pomysłu na inne urzeczywistnienie socjalistycznego ideału. W najlepszym razie, u najbardziej zatwardziały, ocalała bezczasowa nadzieja, że socjalizm kiedyś nastanie, jak Mesjasz u Żydów. System kapitalistyczny, w krajach wstydlivych jak Polska często nazywany miękko wolnorynkowym, został sam na placu i w ten sposób wszyscy stali się liberałami z konieczności.

Po drugie, rozmazuje się inny doniosły wyznacznik dawnego podziału na prawych i lewych, a mianowicie sens przeciwstawienia nacjonalizmu i uniwersalizmu. W czasach „klasycznych” uniwersalizm wiązał się z poczuciem, że człowiek jest gospodarzem całego ludzkiego świata i że może go ułożyć mocą własnej woli i rozumu. Nacjonalizm wyrażał przeświadczenie, że nie stać nas na taką rozległość horyzontów i ambicji i że o swe miejsce na ziemi zawsze będzie musiał walczyć naród wśród narodów, posługując się śmiało w tej walce relatywizmem doznań i ocen. Dziś czynny uniwersalizm podzielił się na trzy słabo ze sobą kontaktujące nurty: dyplomację międzynarodową i jej tysiące konwencji i traktatów, które tworzą, lub stworzyć mają, sieć technicznych zabezpieczeń przed najgorszymi nadużyciami; trusty mózgów w rodzaju Klubu Rzymskiego, gdzie analitycy systemów próbują ująć w jakieś karby wyobrażenia o przyszłości, o której nie wiadomo, czy nas naprawdę czeka; i wreszcie międzynarodową dobroczynność, która na wzór Czerwonego Krzyża stara się choć w drobnym ułamku odrobić okrucieństwa, nieuchronnie sprowadzane przez niepowodzenia dwóch

pierwszych nurtów. I z tym wszystkim, żaden obywatel świata nie może nie mieć poczucia, że w świecie dyplomacji, techniki, nauki i dobrych sentymentów człowiek coraz mniej panuje nad sterami własnych przeznaczeń. Bo kiedyś też nie panował, ale nie musiał o tym wiedzieć; teraz cały świat został sproblematyzowany i stał się problemem.

Z drugiej wszakże strony nacjonalizm, choć często tak hałaśliwym, również nie wie, że się lepiej. W XIX wieku, kiedy się rodziły, były synonimem rozwoju, dorastania do istnienia. Dzisiaj, kiedy ostały się z nich głównie rozmaite szowinizmy, są synonimem zacofania, odruchem obronnym zbiorowości sfrustrowanych, schronieniem nieudaczników. We Francji ważnym fenomenem wyborczym było 15% głosów na Le Pena i jego Front Narodowy: niektórzy twierdzą, że gdyby nie konkurencja równie choć raczej w tradycyjnym stylu nacjonalistycznego Villiersa („Szua”) Le Pen dobiłby do 20% i, być może, przeszedł do drugiej tury. Krótko mówiąc, jeszcze niedawno folklor i margines polityczny, a dzisiaj potęga. Tak to wygląda w procentach, lecz myślę, że byłoby wnioskiem równie powierzchownym, jak przed pięciu laty w Polsce okrzyki, że oto nadciąga Tymiński. Francja jest w szoku, który wynika nie tyle (choć także) z udręki bezrobocia, ile z coraz powszechniejszego zmęczenia, z narastającego podejrzenia że rozmaite francuskie kombinacje prezydencko-gabinetowe nie są zdolne radzić sobie z głównymi problemami socjalnymi i gospodarczymi nękającymi kraj. Te wszystkie kryzysy nie składają się jeszcze na pełny kryzys demokracji: Francja, ponad cztery piąte Francuzów, nadal przestrzega obywatelskiego obowiązku i głosuje – aczkolwiek dla bardzo wielu jest to raczej gest obyczajności demokratycznej niż nadziei i wiary. Tak więc nie jest to jeszcze kryzys. Ale już zwątpienie. Na tym zwątpieniu żeruje Le Pen i jego szowinistyczna formacja. Trzeba jednak zauważyć, jak bardzo „wsobny” i nieekspansywny, jak w istocie obronny jest ten nacjonalizm Frontu Narodowego nie tylko w porównaniu z faszyzmem lat dwudziestych i trzydziestych, lecz również z nacjonalizmem z początków wieku. Najkrócej mówiąc, jest to nacjonalizm bez imperializmu. Ale nacjonalizm bez imperializmu choć obrzydliwy i nieraz morderczy jest ostatecznie bezradny: „Albo Francja albo

zagranica, albo Francuzi albo cudzoziemcy”, jak to określa Le Pen, jest hasłem niemożliwym w epoce wspólnot ekonomicznych i kapitałów płynących po infostradach opłatających świat. Le Pen jest, jak każdy dzisiaj prawdziwy nacjonalista, człowiekiem w szafie.

2.

Wystarczy tych dwóch elementów, by zrozumieć, że trwanie podziału na lewych i prawych jest zjawiskiem mającym dziś swe źródła poza polityką. I w rzeczy samej, lewica i prawica we Francji są to, jak się tutaj mawia, dwie kultury. Ale tak twierdząc, oddziela się wyraźnie sferę polityki, wyjmuje ją niejako z całokształtu kultury i zrównuje z techniką. Wręcz klinicznym przykładem takiego technicznego pojmowania polityki jako sfery decyzji o losach zbiorowości narodowej są polskie debaty wicepremiera Kołodki z prezesem Banku Narodowego panią Gronkiewicz-Waltz. Polityka staje się zarządzaniem i rzeczniczy takiego pojmowania przyrównują całkiem konsekwentnie rządzenie państwem do zarządzania przedsiębiorstwem. Również rozbieżności interesów mieszczą się doskonale w tym przyrównaniu, bo prezes koncernu prowadzi przecież wcale nie mniej rokowań niż prezydent czy premier państwa. Ważne jest tylko, że i jeden, i drugi nie mają żadnych problemów z nadrzędnymi celami swej działalności: co leży w interesie Francji czy Polski jest tak samo poza dyskusją jak interes IBM. Wartości nie należą do takiej polityki, wartości należą do kultury. Jakoż przysłuchując się dyskusji telewizyjnej Chirac – Jospin miało się wrażenie, że obraz się rozmazuje, jak gdyby obaj oscylowali na ekranie jak przy odbiorze kodowanej emisji bez dekodera. Mianowicie debata co chwila przesuwawała się z poziomu technicznego (polityki zarządzania) na poziom wartości (polemiki lewicy z prawicą) i z powrotem, przy tym przejścia były czasem nieuchwytnie: wtedy zwłaszcza gdy kandydaci chcieli sprawić wrażenie monolitu. Na szczęście, jeden przynajmniej, Jospin, zdawał się świadomy podwójności swojej roli, polityka-zarządcy i lewicowca. Wypadł przez to mniej konsekwentnie, ale uczciwiej: był np. za wzrostem płac i stymulowaniem konsumpcji (lewicowiec) i za braniem w pełni pod uwagę reakcji i oddziaływań światowe-

go rynku finansowego (zarządca)... Chiracowi życie wydawało się prostsze, ponieważ łatwiej mu było nie uważać, że w proponowanych przez niego zabiegach technicznych ukryte są wybory wartości. Innymi słowy, Chirac był szczery nie mając wątpliwości i wypadł dynamicznie zgodnie ze swym tradycyjnym wizerunkiem, Jospin zaś był uczciwy, kiedy miał wątpliwości, i wyszedł bardziej na intelektualistę. To zaś nie popłaca nawet we Francji.

Samo w sobie techniczne pojmowanie polityki nie musi być godne potępienia: w odpowiednich warunkach państwo tak zarządzane może zapewnić obywatelom godne życie a demokracji przedstawicielskiej sprawne funkcjonowanie – i tak też przez wiele dziesięcioleci działo się w dobrze urządzonych krajach Zachodu. Ale w odpowiednich warunkach, to znaczy, przynajmniej: że nie zachodzą żadne głębokie zmiany w otoczeniu i również, że sposoby rekrutowania i awansowania elit politycznych administrujących krajem cieszą się powszechnym uznaniem. Otóż nawet w kraju takim jak Francja warunki te są dziś pod znakiem zapytania. Powątpiewa się coraz częściej, czy sprawdzająca się przez wiele dziesięcioleci relacja pomiędzy rozwojem techniki i technologii a wzrostem dobrobytu jeszcze w ogóle obowiązuje: jeśli bowiem wydajność i produkcja rosną, a bezrobocie nie maleje, natomiast margines wyrzuconych za burtę, *les exclus*, stale rośnie...? Nie jest to zresztą problem li tylko francuski, podobne wątpliwości słychać w całym wysoko rozwiniętym świecie, od USA po Japonię. Najwidoczniej, rodzi się przecucie dużej przemiany cywilizacyjnej. Równocześnie zewsząd dochodzą głosy kwestionujące jakość i dobór polityków, przy czym mowa i o kwalifikacjach moralnych, i o intelektualnych. Francji również nie ominęła seria skandali korupcyjnych, a przy okazji ostatnich wyborów przypomniano, że właściwie wszyscy panowie z nagłówków na pierwszych stronach gazet wyszli z jednej, jedynej uczelni, Ecole Nationale d'Administration (ENA)... A trzeba jednak powiedzieć bardzo wyraźnie, że francuska kadra działaczy państwowych, polityków i wielkich administratorów, wypada i tak bardzo dobrze.

Kiedy zatem stabilność otoczenia cywilizacyjnego i dobór elit budzą wątpliwości, polityka przestaje być czystą techniką

i staje się ponownie częścią kultury. Patrząc z zewnątrz odnosi się wówczas wrażenie wzrostu chaosu: życie polityczne nie jest już ani tak racjonalnie ułożone, ani tak przewidywalne, a niespodzianki pojawiają się na wszystkich poziomach. Wygrywają w telewizji ci, którzy zdaniem najlepszych speców od reklamy, powinni byli przegrać, a przekonują wyborców argumenty z pozoru bez ładu i składu. Nie zabrakło też takich niespodzianek we Francji, a największą był sam Lionel Jospin, który wprawdzie ostatecznie przegrał, ale o którym jeden z tutejszych komentatorów powiedział, że „nikt jeszcze nie startował z tak niskich notowań, żeby zejść tak wysoko”.

Ale niespodzianki, jako się rzekło, to tylko sygnał. Najpoważniejsza jest potrzeba społecznej debaty, która by postawiła pod znakiem zapytania wiele nietykalnych dotąd pewników, w imię propozycji dotąd nie do pomyślenia, wysuwanych przez ludzi dotychczas nie słyszanych. Trochę takich elementów pojawiło się również w wyborach francuskich (choć przeważnie gubiły je francuskie media, będące najbardziej może normatywno-zachowawczym składnikiem *establishment'u*). W każdym razie obaj kandydaci z drugiej tury, i ten z lewicy, i ten z prawicy obiecywali wyborcom – „głęboką przemianę”. Konserwatyzm nie miał w tej kampanii żadnych szans.

Czy w Polsce na jesieni takich elementów pojawi się więcej?

Przydałoby się. O tym, że Polska jest w toku przemiany cywilizacyjnej, nie trzeba nikogo przekonywać, choć rzecznicy takiej przemiany nie chcą na ogół wiedzieć, iż na niej się nie skończy, bo tam, na drugim brzegu, szykuje się już przemiana kolejna. O tym, jaką opinię mają na ogół elity polityczne kraju, nawet nie warto się rozwódzić. A zatem, przydałoby się...

Na koniec chciałbym się uchronić przed zarzutem, że upraszczam obraz wyborów francuskich, wydobywając z ich przebiegu tylko pewne nowości, czy zaledwie zapowiedzi nowości. Wybory te świadczyły też, mimo wszystko, o bardzo mocnym i głębokim zakorzenieniu demokratycznych mechanizmów. Długie lata polityki jako techniki zarządzania miały też pozytywne skutki. Niepełne zaangażowanie wyborcy w opcje polityczne, niższa temperatura – czego w żadnym razie

nie należy przeciwstawiać umiejętności radowania się wynikiem – pozostawiły przeciętnemu Francuzowi umiejętność kalkulowania możliwych skutków aktu wyborczego wraz z pewnym *détachement*, swobodą w traktowaniu kandydatów. Zwolennik kandydata nie jest z reguły zwolennikiem bezwarunkowym: jest „raczej za”, podobnie przeciwnik jest tylko „raczej przeciw”. Toteż śledząc kolejne sondaże przeciętny wyborca francuski kalkuluje z dezynwolturą tak, żeby nie tylko jego kandydat nie przegrał, ale również, żeby zbyt wyraźnie nie wygrał. Niejednokrotnie spotykałem się z opinią, że ktoś chętnie by poparł Jospina, ale PS jest jeszcze niezdolna do rządzenia, a sam Jospin zbyt niedoświadczony, by puszczać go na wody kohabitacji z prawicową większością parlamentarną: to byłaby *la pagaille*, kłops i zamieszanie, mówi Francuz, który mniej chętnie niż Polak używa wielkich słów w okolicznościach, skądinąd tak zwyczajnych jak polityka. Inni z kolei baczili, żeby Chiracowi i jego ludziom nie przewróciło się w głowie od nadmiernego sukcesu. Tego rodzaju rozumowania wyborcze „w drugiej potęgde” dowodzą dużej dojrzałości elektoratu, właśnie technicznej. Oto zatem pozytywne skutki polityki jako techniki. Kariera skrajnej prawicy wcale nie ze wszystkim przeczy temu obrazowi. Ponad połowa zwolenników Le Pena, wbrew swemu przywódcy, nie wyrzekła się w drugiej turze wyboru „mniejszego zła”: 39% głosowało na Chiraca a 17% na Jospina.

Paryż, 10 maja 1995

Krzysztof WOLICKI

Kraj

Z ukosa

Zagrożenia dla moralności artysty w czasach komunistycznych były tak wielkie, że nadeszła chwila gdy do lepu na intelektualne muchy przylepili się prawie wszyscy. Zatruty miód na lepie to najpierw rozdawanie mieszkań, pism, używanie ważności, i wizja rządu dusz. A potem nagle przyszło uderzenie stalinowskim pejcem. I przylepili się do lepu prawie wszyscy. Przeżycie było tak okropne i szczególne, że właściwie do dziś nikt o tym doświadczeniu nie opowiedział szczerze pięciu słów.

Nastał potem jednak w naszym bagnie luksusowy czas. I na szczęście wtedy właśnie przyszło mi dojrzewać i wchodzić w dorosłość. Otwarły się pola dla buntu, gdy wolność wyboru nie miała krwawych sińców na szyi. I zrobiło się nagle bajecznie prosto. Byli Oni i My, była czerń i biel. I dwa, trzy odcienie, kilka prostych dróg. Że tak szybko prowadziły do wolności i demokracji – nikt nie przewidział, jak nikt nie przewidział nowych zagrożeń. I jak wiele demonów ma wolność wolna od tradycji wolności.

Dzisiaj z rosnącym niepokojem obserwuję sam siebie. Jak idę na kompromisy, którymi kiedyś bym się brzydził. Wtedy tak łatwo było wykreślić wyraźne granice moralne, co i gdzie się pisze, gdzie się publikuje, a zapłata za tekst nie była tak ważną rzeczą. Świat był czarno-biały, dzisiaj jest wirówką odcieni, która wciąga i miele.

Coraz bardziej czuję, że rozmienniam się na drobne. Nie mam poczucia, że jestem jakimś banknotem wielkiego nominału, ale jednak rozmienniam się i komercjalizuję. Nie zwierzałbym się z tej choroby, są groźniejsze, gdyby nie

wrażenie, że jest to zjawisko, które dotyczy całej Polski. Że Polska też się rozmienia na drobne, co nie znaczy, że wcześniej jej banknot był czysty.

Zastanawiamy się w grupie intelektualistów – czy nie zrobić wydania miesięcznika z tematem wiodącym – „sztuka przetrwania intelektualisty”. Trudno mi się oprzeć wrażeniu, że największą szansę na przetrwanie ma intelektualista gdy przestanie być intelektualistą. Czyli był intelektualistą, a obecnie biznesmen, który nareszcie staje się właścicielem dobrego samochodu i nareszcie nie myśli z niepokojem jak przeżyć nowy rok.

Coraz częściej piszę do pism, do których czuję, że pisać nie powinienem, no ale tam dobrze płacą. I biorę udział w programach radiowych czy telewizyjnych, gdzie mam wrażenie, że uczestniczę w produkcji komercyjnych pastylek wrzucanych do gardła i popijanych reklamami.

W radiowym programie o miłości romantycznej oferujemy młodym ludziom psychologiczne słodycze, wszystko w sosie moralnej czystości. Ja mam siedzieć w domu i przez telefon komentować. Słucham a tu w nieoczekiwanych momentach włączają reklamy płynu do mycia okien – „spryskać i wytrzeć, tylko spryskać i wytrzeć” – wołają słodkie głosy.

Czy nie jest to najlepszy komentarz do naszej moralności, do naszej całej cywilizacji – „spryskać i wytrzeć”. Program dzwoni do mnie w trwodze, że mówimy dla młodzieży o miłości romantycznej, a dzwonią ludzie starzy schwytani w pułapkę własnego życia. Tłumaczę niespokojnej redaktorce – „młodzież nas olewa, w Polsce nic teraz nie jest, wszystko bywa, młodzież bywa romantyczna, ale nas olewa i nie chce się jej z nami rozmawiać, z nami którzy mówimy tak patetycznie o czym oni mówią prosto”. A teraz, myślę, powiem o tym „spryskać i wytrzeć” – przeplatając nasze moralne gadulstwo płynem do mycia szyb, kompromitujemy siebie i miłość romantyczną. Ale tego nie mówię, bo myślę, skoro byli tak mili, że mnie zaprosili do programu, to nie wypada kpić z gospodarzy. Oto jeden z kompromisów, na który kiedyś nigdy bym nie poszedł.

Inny program, na żywo, w „Radio Z”. Wchodząc do studia dowiaduję się, że jestem z Krzysztofem Piesiewiczem, i z ministrem ochrony środowiska (czasy takie, że nie pamięta

się nazwisk ministrów – przepraszam), patrzę, a tu się pawi najślynniejszy nasz chłopski populistą Andrzej Lepper. Program nazywa się Cocktail Mołotowa, co tłumaczy przemieszenie wszelkiej materii.

Młody człowiek, który prowadzi program znalazł dobrą receptę: idzie za odruchem dziecka, czyli pierwotnej ciekawości, pyta szczegółowo-odruchowo i bez hamulców. Już wielki amerykański poeta Walt Whitman opisał w wierszu chwilę swej beznadziei, gdy nagle zapytało go dziecko – „co to jest trawa?”

Inne sposoby ma Lepper. Pamiętam jak roznosił w pył intelektualistów wymachując cepem myśli najprostszej. O tak, nieraz widziałem gdy osobnik bez wiedzy i zasad kładł na łopatki wyrafinowanych intelektualistów, chociaż temat dotyczył spraw trudnych, z dziedziny polityki i ekonomii. To jakby się przymierzyć do pojedynku na florety, a tu cham powala uderzeniem pięści lub sztachety. Więc ja od razu i po chamsku wsiadam Lepperowi na kark, a pamiętając o jego spiskowych teoriach, wołam – „to pokaż pan te spiski, no proszę”. I zatkało słynnego specjalistę od spisków.

Nagle poczułem niesmak, co ja tu na Boga robię, co tu robi wyrafinowany scenarzysta filmów Kieślowskiego? Patrzę jak płacze się w odpowiedzi, czy miękkie były fotele w samolocie kiedy wracał z USA bez Oscara, i czemu nie zwrócił uwagi na urodę stewardess.

To sieczka, wszystko sieczka. Włączę w nią w garniturze z krawatem, używając coraz to innych perfum. Ciągłe wydaje mi się, że jestem sobą, ale głowy bym już za to nie dał.

Po znamiennie długim niewidzeniu spotykam mego przyjaciela W. Wycieńczony przez pracę. Ma zbyt wiele dziobków do wykarmienia. Przed laty wchodziliśmy razem w działalność opozycyjną, pełni trwogi, ale też nadziei, w poczuciu, że nie ma dla nas innej drogi. I ten słodki dreszcz wzruszenia, gdy oglądaliśmy pierwsze pisma drukowane poza cenzurą, uczucie triumfu gdy drukowana na powieślacu książka składała się w całość. Kiedy trzymaliśmy ją w ręku, zdawało się, że trzymamy w dłoni ptaka, który poleci budować gniazda.

Wtedy nie różniło nas nic. Dzisiaj on głęboko wierzący

katolik, ja płytki ateista. On antyliberał i zwolennik głębokiego wkorzenia kościoła w państwo, ja liberał ze świeżą blizną rezerwy wobec instytucji kościoła. Spacerujemy po Warszawie zmienionej przez wiosnę i kapitalizm, czułym okiem, jednak czułym, omiatam kilka nowych sklepów na ulicy, do przodu, jednak do przodu. On mówi: „Co się dzieje uważam, że jest wolą Boga, który wygnał nas z naszej zmitologizowanej historii by pokazać, że żyliśmy w mydlanej bańce”.

Dyskutujemy czy nasza opozycyjna działalność, czy „Solidarność” też była tylko pustą bańką. On tak twierdzi. A ja się nie godzę. Lecz moją wiarę podważa fakt, że doświadczenia tamtych lat, mimo skali ruchu i ogromu emocji, nie stworzyły żadnych trwałych mitów. Żadnej książki, obrazu filmu dużej miary. Czyżby jednak miałość była wpisana w tamte wielkie emocje i uczucia?

A to co ocalało z tamtych lat, ludzie nadal aktywni, nieliczne wydawnictwa, instytucje na tamtej bazie zrodzone, wszystko dzisiaj zatrute niechęcią do siebie nawzajem. Kiedy pytam, o co chodzi, nikt nie wie dokładnie – pewnie demony?

Kraków w słońcu wiosny, która nagle wybuchła. Wzrusza jak ten stary Kraków odmłodził się, umył, rozmnożył gastronomiczne zapachy, rozkrzewił stoliki z piwem, ożywił zaułki i podwórka starych kamieniczek. Jest tu atmosfera europejskiego miasta, gdy jeszcze nie tak dawno miliony turystów przepływały przez Kraków, który nie był im w stanie zaoferować bułki z szynką.

Po raz pierwszy jestem na kopcu Kościuszki. Taki pocziwy kopiec a też ma dyrektora i kasjera. O tej godzinie kopiec winien być zamknięty, ale kasjer łaskawy, wpuści, weźmie pieniążki i oczywiście nie da biletów. Ślimaczę się na szczyt. Kraków w tradycyjnym woalu z mgiełki i smogu. Widać, stare miasto, jak pomarszczony orzech, tkwi w obcęgach nowych dzielnic. W pobliżu zieleni się trapez krakowskich błoni...

Mieszkam u stóp Wawelu. Kiedy wychodzę z hotelu, mam wrażenie, że jestem obok gigantycznego i pięknego buta tego kraju. Dalej powinny być nogi, tułów ginący w

chmurach a ponad nimi ładna głowa. Wszystko powinno być ładne i mądre skoro but tak niezwykle skrojony. Wawel i przylegający doń stary Kraków sugerują, że jesteśmy czymś więcej niż jesteśmy. Czy fakt, że taka sugestia jest żywa, stwarza przestrzeń do budowy nowego gmachu w ładnej formie?

Coś jednak z tą formą nie tak. Bez wątpienia forma nam popękała od narodowych nieszczęść. Brak klasy, przy pozie, która klasę sugeruje, jest więc zadęcie, a nie ma oddechu. Szlachta zaściankowa, ale inteligencja też zaściankowa, chłopci z zaściankowym wzorem pańskości.

Kolacja z Thomasem Tranströmerem, wybitnym szwedzkim poetą. Kilka lat temu, pamiętam magiczny wieczór na wyspie gdzie stoi stare sztokholmskie miasto. Spotkanie w średniowiecznych podziemiach biblioteki noblowskiej, gdzie na górnych piętrach waha się wielka waga, która odmierza nagrody Nobla. On czytał swoje wiersze po szwedzku, ja w przekładach po polsku. Sala pełna po brzegi i czuła polsko-szwedzka publiczność. Czytając swoje teksty, co się zdarzało w czasach heroicznych dla tysięcznej publiczności, nie czułem nigdy takiego wzruszenia jak wtedy. Tranströmer poeta metafory ze stalaktytu, skojarzeń, które wydają się zbyt od siebie odległe, a jednak nie są. Pamiętam pogrążone w mroku stare miasto, i jak żegnaliśmy się. Jego plecy w szarym palcie. Myślałem nie tylko o jego poezji, ale też o jego sposobie bycia, bez żadnych wzdęć godnościowych, a który ze znanych polskich pisarzy nie ma tej przypadłości?

Wkrótce potem Tranströmer miał wylew, przeżył, ale jest częściowo sparaliżowany. Przekształcenie się w jednej chwili pełnego energii mężczyzny w kalekę poruszyło mnie do głębi. Jak zwykle takie poruszenia mają kontekst egoistyczny – odkrywamy wokół siebie pole minowe po którym kroczymy jakby nigdy nic. Dopiero gdy ktoś obok wyleci w powietrze drętwiejemy z przerażenia, by po chwili pomyśleć, mnie to nie dotyczy. I idziemy dalej. Ja połączony wtedy z Tranströmerem nicią tego wieczoru poczułem groźny oddech wybuchu i ostre szarpnięcie.

Teraz Tranströmer z łaską i zmienioną twarzą, mówiący nieczytelnie, jest w Krakowie, a gości go „Oficyna Literacka”, która publikuje jego wiersze i eseje. Szefa „Oficyny” Henia

Karkoszę pamiętam z czasów heroicznych. To jedno z nielicznych wydawnictw podziemnych, które przetrwały wolność i żyją. Ale kiedy proponuję mu spotkanie w telewizji z tymi co przetrwali w fachu, trochę wspomnień i refleksji, krzywi się zgorzłoszony. „Zbyt wiele frustracji i niesmaku dzisiaj, a o wczoraj nie ma po co mówić”. I daje do zrozumienia, że nawet jeśli wtedy było ładnie, to brzydkie dzisiaj zapaskudziło wczoraj.

Po kolacji, gdzie kilka miłych osób, Wisława Szymborska nagle wybiera do czytania swój ulubiony wiersz Tranströmera. Uważam, że mam mocniejszy i czytam go na głos.

Z LIPCA 90

*Był pogrzeb
i czulem że zmarły
czyta moje myśli
lepiej ode mnie*

*Organy milczały, ptaki kwiliły.
Dół wystawiony na skwar słoneczny.
Głos mojego przyjaciela przebywał
na odwrocie minut.*

*Jechałem do domu przejrany na wylot
przez blask letniego dnia
przez deszcz i spokój
przejrany na wylot przez księżyc.*

(przeł. Leon Neuger)

I tak licytujemy się na wiersze... a tu przychodzi kucharz w czerwonej czapie i pyta czy dobra była kolacja.

Monika Tranströmer pochyla się do mnie, bardzo wzruszona i mówi o polskiej duchowości i wrażliwości: „u nas w Szwecji – mówi – taki niezwykle wieczór byłby nie do pomyślenia”.

Nie potrafię jej powiedzieć, że u nas już też jest nie do pomyślenia, ale się zdarza wbrew wszystkiemu, że tu poezja też jest jak ryba wyrzucona na brzeg, nie powinna mieć głosu, ale czasami mówi.

Wracam z Krakowa pociągiem nowych czasów. Jedzie niecałe 3 godziny, gdy kiedyś... lepiej nie mówić. Dzisiaj nawet książki nie zdąży się przeczytać, co trochę boli. Roznoszą gratis napoje i czekoladki. Jest woda i papierowe ręczniki w toaletach i nawet nie śmierdzi za bardzo pociągami. Muszę być o 13 w Warszawie, bo czeka w telewizji studio i dwa różne programy, które nagrywamy naraz. Zastanawiam się czy od tego nie oszaleję, zastanawiam się ile jest amatorstwa w tej naszej telewizji, jak dziwnie sumują się różne niekompetencje, jak niekompetencja zaraża, i że gdyby Aids było tak zaraźliwe jak niekompetencja, to byłoby po nas. I pomyśleć – tak wygląda cała Polska. A jednak jakoś wszystko trzyma się kupy a nawet idzie do przodu. Na szczęście podobno pociągi jeżdżą teraz punktualnie, niemal jak przed wojną.

Nie ma prądu. Konduktorzy w stanie ambarasu, niby mają krótkofalówki, ale nie mogą się z nikim połączyć. Ujawnił się w sąsiednim przedziale obywatel co ma zaraz samolot do Chicago. I w lament, że nie zdąży. Ja też zaczynam się denerwować. Połączyło nas nieszczęście więc denerwujemy się razem. Prądu może nie być kilka godzin. Jakies miasteczko mający w pobliżu, trzeba iść po taksówkę – do Warszawy tylko 30 kilometrów. Konduktorzy nadzwyczaj życzliwie przejęli naszym problemem, ale zupełnie bezradni. Tyle się mówi, że u nas kiepska organizacja, ale za to improwizacja na najwyższym światowym poziomie. Jakoś to się w tym superekspresie nie sprawdziło. Obsługa wielce się starała, histeryzowała, ale była bezradna. Polski biznesmen z Chicago ruszył więc dzielnie piechotą wzdłuż torów po taksówkę, ja pilnowałem jego beczennych bagaży. A tu nagle jest prąd. Konduktorzy biegają i rwą włosy z głowy, jak teraz zatrzymać pociąg, co zrobimy z beczennymi bagażami? Na szczęście Polak z Chicago nie doszedł do taksówki, a maszynista pociąg zatrzymał.

Wszystko więc skończyło się szczęśliwie. Polak z Chicago trochę rozebrany przez przygodę opowiada mi o wrażeniach z Polski. Nie był tu 6 lat. Czyli dokładnie się załapał na kangurzy skok od komunizmu do kapitalizmu. Sam nie wie co o tym wszystkim myśleć? Takiej zachłanności i pazerności to nigdzie jeszcze nie widział. Tu wszyscy oszaleli na punkcie pieniędzy, mówi – pan wie, że nawet mój krewny chciał mnie

naciągnąć. A zaczęło się na granicy. Jakie ten kraj ma szanse, jeśli taka korupcja zaczyna się na granicy. „Tak za sto dolarów zarobiłem 40 tys. dolarów” – mówi. Wyjmuje z portfela dokument z którego wynika, że wwiózł do Polski tę sumę. „Sami to zaproponowali za sto dolarów”. Miał możliwość zrobić jakiś interes to skorzystał z okazji. Potem mówi – „tak było przez cały czas, wszyscy tylko o interesach i jak naciągnąć. Co tu się stało w tym kraju?”

Pocieszamy się, że na początku pewnie tak musi być, tylko jak daleko zajdzie korupcja, czy nie skoroduje naszej słabej demokratycznej konstrukcji?

Jeden zwykły dzień i trzy wiadomości, które układają się w groteskową całość.

Prezydent zabrania Premierowi jechać do Moskwy na obchody 50 rocznicy zakończenia II wojny światowej. Mówi, że Premier może tam jechać, ale tylko prywatnie. Na spotkaniu z Prezydentem Premier Oleksy miał powiedzieć, „Panie Prezydencie, chciałbym pojechać do Moskwy z pańskim błogosławieństwem”. Na co Prezydent Wałęsa miał zawołać: „A jak tak, to ja Panu zabraniam jechać”.

Premier Oleksy postanowił więc jechać bez błogosławieństwa. „Ciągnie wilka do lasu” – awanturuje się Wałęsa, i nadal zabrania. Okropne są awantury.

I znowu rzecz można, że Wałęsa ma rację – polski Premier nie powinien jechać do Moskwy, gdy pacyfikuje się Czechenię, a wyzwolenie Polski przez armię sowiecką było początkiem nowej okupacji. Ale sposób w jaki to jest załatwiane kompromituje nasze życie polityczne za granicą i kompromituje Prezydenta.

Inna wiadomość, która obiegła świat. „Żołnierz polskiego batalionu w Chorwacji zastrzelony przez Serbów. Poległ szlachetnie na posterunku słusznej sprawy. Po kilku dniach okazuje się, że został fatalnie zraniony przez pijanych kolegów, pomylili go z puszką piwa, którą próbowali otworzyć nożem.

I wiadomość trzecia – syn Prezydenta skazany na dwa lata za prowadzenie samochodu w stanie kompletnego zamroczenia alkoholowego, wypadek, trwałe okaleczenie innego kierowcy, próbę ucieczki z miejsca wypadku, kop-

nięcie w twarz policjanta, łżenie seksualnymi słowami policyjnej kobiety itd., w sumie 9 wykroczeń. To, że dostaje dwa lata bez zawieszenia, jest ciepłym kompresem na nasze zbolełe serca. Mamy demokrację i niezawisłe sądownictwo.

Co bywa groteskowe, już prawie nigdy nie bywa śmieszne. Ramy braku wolności dawały przestrzeń do dowcipów i szczerej ironii. Dzisiaj dowcipów nie ma. Kabaret, ale raczej smutny. I nawet Jacek Fedorowicz jakby stracił wiele ze swego humoru. Kiedy oglądam jego program satyryczny, gdzie w ramach starego dziennika telewizyjnego kpi z nowych czasów, to robi mi się trochę smutno. Ma czasami dobre pomysły i dawną ostrość widzenia, ale brakuje w tym jakiegoś luzu. I o zgrozo, odpycha mnie to, że kpi przede wszystkim z postkomunistycznego rządu, z Oleksego i posttowarzyszy, a nie rusza Prezydenta. Jeśli istnieje jakaś pramateria humoru co unosi się w powietrzu każdej współczesności, to taki zabieg jest jednak nieuczciwy. A to zabija śmiech. Dziwne, że tak się porobiło, że krytykuję Jacka, że kpi z komunistów, a oszczędza Wałęsę. Co za czasy. Jedno pewne, nigdy bym w nie nie uwierzył, zanim bym w nich nie pożył.

Oglądam amerykański film w kinie Polonia i jak dwa poddmuchy wiatru czuję wolność. To uczucie dopada mnie coraz rzadziej, ale w różnych sytuacjach, np. gdy otworzę szufladę i zobaczę tam paszport, gdy usłyszę jak nasz minister spraw zagranicznych przeprosza Niemców za wypędzenie ich z Ziemi Zachodnich po 1945 roku. A inny poddmuch, gdy oglądam ten film, ma w sobie zapach czasu, który minął.

Losy ludzi kiedyś bliskich uświadamiają mi jak wiele lat minęło, i jak ten czas poszatkował, poprzesuwał, jak narozrabiał, czasami pokazując język, czasami co innego. A przecież wydaje się – wystarczy, że wyciągnę dłoń i jestem tam... choćby na plażach Karwi.

Zdałem właśnie egzaminy na polonistykę, jakimś cudem, bo zawsze byłem uderzająco niezdolny. Ostatnie wakacje między liceum a uniwersytetem, młodością a zarysem dojrzałości. Jadę w Polskę z Piotrem. Wsiadliśmy do pociągu, jak to robi się tylko w młodości, tłukliśmy się to tu, to tam, nie wiem czego szukając, pewnie dziewczyn, w końcu wyłą-

dowaliśmy w Karwi. Było tam trochę znajomych, a przede wszystkim W. o złotych włosach, rozwirowana wokół własnej osi i wciągająca w swój wir wszystkich. Mieszkała w towarzystwie K. i M. w karczmie gdzie pachniało piwem i odbywały się często dansingi. M. już od dawna zakopany w ziemi, pił za dużo. K. pracuje w znanym dzienniku. W. mieszka bardzo daleko, ale dzisiaj jest mi najbliższym na świecie człowiekiem. Kto by się wtedy spodziewał, że tak się porobi, nie do wiary. A Piotra widuję w telewizji nieustannie, bo jest przyboznym tłumaczem Prezydenta. Gdziekolwiek jest Wałęsa to Piotr sunie jak cień za nim. Cień jakby przerażony i niepewny czy nie zgubi swego pana. A taki był z niego nonkonformista. Jak niektórzy oczekają z byle powodu potem, to Piotr oczekiwał nonkonformizmem. A teraz spłoszony i czujny, bo musi tłumaczyć każde głupstwo, które powie Wałęsa. Nawet mu nie współczuję, a tak się lubiliśmy. Był też Olek. Z nim spędziłem drugą część wakacji. On był mi wtedy najbliższy, a takie przyjaźnie są tylko w młodości. W sierpniu, pamiętam, mieszkaliśmy w środku lasu, w leśniczówce. Obudziły nas chłopskie głosy, jakby się chłopcy na powstanie zbierały, mówili konspiracyjnie – „do nas też przyjdą, skurwysyny”. Tak w środku lasu dowiedzieliśmy się o inwazji na Czechosłowację.

Co on teraz robi? Bardzo się gimnastykuje by sfotografować kamerą panienkę, która na bibliotecznym stole naprzeciw przerażonego studenta sama z siebie doznaje orgazmu. Widziałem to w środku Warszawy w kinie Polonia.

Pamiętam jak 27 lat temu byliśmy razem w tym kinie już nie wiem na jakim filmie, on przygotowywał się do egzaminu na wydział o wstrząsającej nazwie filologia klasyczna. Gdyby wiedział wtedy w roku 67-mym, że za lat 27, olaboga to ponad ćwierć wieku!, będę w tym samym miejscu oglądał film „Ich troje” i stracę oddech zaskoczony, że to on był operatorem filmu. Ta zabawna opowieść dla młodzieży wzruszyła mnie swoją nieprzyzwoitością, która jest pokazana ze smakiem. Bez wątpienia Prymas Glemp i Episkopat dostaliby na tym seansie zbiorowego zawału serca. A nasza polska katolicka młodzież pokładała się ze śmiechu, a ten śmiech jest zdrowy jak witaminy. Ja się nie śmieję, ale za to wdycham pełną piersią wolność. To jednak jest wolność

przy ulicy Marszałkowskiej i wzruszenie, że to mój przyjaciel który mieszka w Hollywood był nieprzyzwoitym okiem tego filmu. Co się porobiło, co się porobiło. Moi znajomi byli premierami, szefami MSW, ambasadorami, ale oko Olka bardziej mnie porusza.

Narzekałem na wstępie, że się komercjalizujemy. To prawda. I prawdą jest, że groźnie wyglądają pustki duchowe naszej cywilizacji, ale ja nie wierzę w głębie cywilizacji poprzednich. Jak nasze dzisiaj problemy są luksusowe uprzytomniła mi kartka, którą przypadkiem znalazłem, gdzie zanotowałem opowieść mojej matki o dniu kiedy umarł Stalin.

A na marginesie – moja pamięć ojca od dzieciństwa to pamięć jego politycznej odwagi, listy protestacyjne, szykany, nieustanne moralne mocowanie się z cenzurą. Ale był też inny czas, czas gdy upadli niemal wszyscy.

Matka była u znajomej, gdy przyszła wiadomość. Zadzwoiła do ojca – ten powiedział krótko – „tak, stało się” – i szybko odłożył słuchawkę. Kiedy przyszła do domu, w mieszkaniu była już grupa znajomych, znanych pisarzy, wszyscy bardzo podekscytowani, niespokojni, co teraz będzie, czy będą wywozić? Ci ludzie byli przyjaciółmi, ale nikt nie powiedział na głos, że umarł zbrodniarz. A przecież wiedzieli to, ale zarazem szczerze czuli, że umarł ktoś wielki, że światu wyjęto środkową kolumnę, więc co teraz będzie...

Prześledzenie reakcji intelektualistów na śmierć Stalina ujawnia czarną religię, gdzie diabeł był Bogiem.

Gdy poszli znajomi, rozdzwoniły się telefony. Najpierw radio, żeby coś powiedzieć o Stalinie. Ojciec wymigiwał się, tłumaczył się, że jest zbyt zdenerwowany i wzruszony, by cokolwiek mówić. Po tej przygodzie wyłączono telefon. Zapadła błoga cisza. Ale nagle rozległ się dzwonek u drzwi. W progu stało dwóch panów, jeden z nich był zastępcą redaktora naczelnego *Życia Warszawy*. Powiedzieli, że nie mogli się dozwonić, więc przyjechali po tekst o Stalinie. Matka pamięta, że ojciec zostawił ich w gabinecie i niezwykle wzburzony przybiegł do jej pokoju. „Co ja mam robić?”, rozpacział.

A jednak tekst napisał, bał się odmówić. Napisała Dąbrowska, wszyscy znani pisarze...

Matka pamięta żałobne spotkanie w Związku Literatów. Był tłum ludzi. Siedzieli w jednym z ostatnich rzędów. Przemawiał Tuwim i popłakał się. Potem ktoś gadał jakieś piramidalne głupstwa. I ojciec nagle dostał ataku śmiechu. Zakrywał usta rękami, ale śmiech wyłaził poprzez palce, dusił się niemal, ale nie mógł opanować śmiechu. Matka wyprowadziła go z sali, tłamsił twarz, ale śmiech nie chciał zgasnąć. Wybiegła za nimi słynna ciotka rewolucji, żona Broniewskiego, Jasia Broniewska. – Co się stało?

– Mąż tak się wzruszył, że musieliśmy wyjść – wyjaśniła matka, gdy ojciec kulił się chowając twarz w dłoniach...

SMECZ

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek, przekazanych w lutym, marcu i kwietniu 1995.

Dziękujemy:

- Wydawnictwu Burchard Edition za przekazanie 738 egz. książek
- Księgarni „Leksykon” za przekazanie 1.835 egz. książek
- Liceum Ogólnokształcącemu im. Marii Konopnickiej za przekazanie 72 egz. książek
- DK Stowarzyszenie Wolnego Słowa za przekazanie 1.309 egz. książek
- Wydawnictwu Interlibro za przekazanie 9.165 egz. książek
- Fundacji Agencja Autorska za przekazanie 1.355 egz. czasopism
- Spółce Wydawniczo-Księgarskiej za przekazanie 51.320 egz. książek
- Pani Irenie Kubiszał za przekazanie 116 egz. książek
- Panu Romanowi Chrystowskiemu za przekazanie 128 egz. książek
- Panu Bogusławowi Radwańskiemu za przekazanie 700 egz. książek.

Otrzymane pisma i książki przekazujemy nieodpłatnie bibliotekom w kraju i za granicą. Dla tych, którzy zechcą wesprzeć finansowo idee Fundacji, podajemy numer naszego konta: FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM, PBK III ODDZIAŁ w Warszawie, nr konta 3700015-975148-132-3.

Nasz adres: FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM, ul. Hoża 29/31, 00-524 Warszawa, Tel./Fax: 621-70-75, 628-42-57.

O religii bez namaszczenia

Kilka uwag o nowej encyklice

Ogłoszona w końcu marca encyklika *Evangelium vitae* stanowi dalszy ciąg kampanii moralnej papieża, której pierwszym aktem była encyklika *Veritatis splendor* z sierpnia 1993. O ile tamta encyklika prezentowała ogólne zasady, na jakich się opiera papieska nauka moralna, to obecna stanowi konkretną realizację tych zasad w sferze zagadnień dotyczących biologicznego życia ludzkiego, a więc przede wszystkim aborcji, antykoncepcji i eutanazji. Wszystko to jest w imię obrony życia absolutnie zakazane. W związku ze sprawą aborcji omawiana jest również sprawa zapładniania *in vitro* (dla przezwyciężenia bezpłodności) i użycia powstałych w tym procesie nadliczbowych embrionów do celów badawczych. To też jest zakazane, gdyż według nauki papieskiej życie w pełni ludzkie zaczyna się z chwilą zapłodnienia i embrion jest już pełnoprawnym człowiekiem. Nauka papieska jest zatem bardzo radykalna i nie dopuszcza żadnych wyjątków od ogłoszonych w encyklice zasad.

Jak było do przewidzenia, encyklika wywołała falę protestów i gorzkiej krytyki, tym bardziej że papież jest również bardzo krytycznie nastawiony do świeckiego świata, w którym według niego panuje „kultura śmierci”. Gdyby tu chodziło o zbrodnie ludobójstwa w Rwandzie, o milionowe gułagi w Chinach, klęskę głodu w Etiopii czy strzelanie policji do chmar urwisów w przeludnionym brazylijskim mieście, to oskarżenie to byłoby słuszne. Ale w encyklice nie o to chodzi. Chodzi o nasze zwykłe, cywilizowane, demokratyczne społeczeństwa, przeważnie zachodniej kultury. Stawiając niejako znak równania pomiędzy aborcją i eutanazją, papież dostrzega

w nich, jak to określa, „spisek przeciwko najsłabszym”, mając na myśli nie narodzone dzieci i ludzi starych. Ten znak równania jest bodaj pierwszym punktem obrazu, jako że oba te zjawiska są nade wszystko zupełnie niewspółmierne. O ile w większości demokratycznych krajów istnieje ograniczona legalna aborcja, to nie istnieje legalna eutanazja, choć tu i ówdzie, głównie w Holandii, są czynione próby częściowej jej legalizacji. Tymczasem czytając encyklikę odnosi się wrażenie, jak gdyby w naszych domach i szpitalach starzy ludzie żyli pod ustawiczną groźbą zamachu na ich życie. Tak oczywiście nie jest, zwłaszcza w domach starców czy oddziałach geriatrycznych starzy ludzie są zwykle otoczeni troskliwą fachową opieką. To samo oczywiście dotyczy „najsłabszych” na przeciwnym krańcu skali wieku. Matki i ich dzieci w klinikach położniczych nie są chyba poddane możliwości jakiegoś spisku na nie. Zupełnie niezrozumiałe jest oskarżenie papieskie, jakoby w demokratycznych krajach istniały plany likwidowania ludzi nieuleczalnie chorych i upośledzonych fizycznie noworodków. A takie zarzuty znajdujemy w encyklice pod nr 14 i 15. Pod tymże nr. 15 znajdujemy też nieco ostrożniejszy zarzut, że „możliwe” są wypadki dobijania ludzi umierających celem szybszego uzyskania organów potrzebnych do dokonywania przeszczepów. Charakterystyczne dla tej encykliki jest, że ani te ani inne oskarżenia nie są w najmniejszym stopniu udokumentowane lub choćby umiejscowione. (Amnesty International ogłosiła niedawno relacje świadczące, że w Chinach dokonuje się egzekucji więźniów politycznych w zależności od zapotrzebowania na organy do przeszczepów. Czyżby to nasunęło papieżowi te makabryczne podejrzenia?).

Wydaje się, że przenikająca encyklikę aura „kultury śmierci” jest tylko uogólnieniem i teoretyczną obudową centralnego jej tematu aborcji oraz związanych z nim spraw zapładniania *in vitro* i niezapładniania w ogóle przez stosowanie sztucznych środków antykoncepcyjnych. Papieski zakaz stosowania sztucznej antykoncepcji został poddany ogniowej próbie przeszło ćwierć wieku temu z chwilą ogłoszenia przez Pawła VI encykliki *Humanae vitae* i prawie jednomyślnie przez cały świat chrześcijański, w tym także przez katolickich rodziców, odrzucony. Tylko wyjątkowe

rodziny akceptują go i stosują się do niego w praktyce. Jednym z głównych powodów odrzucenia tego zakazu przez szerszą opinię jest dość oczywisty fakt, że stosowanie antykoncepcji zmniejsza okazy i pokusę uciekania się do aborcji. Papież w ostatniej encyklice twierdzi, że jest na odwrót, że aborcja jest najbardziej rozpowszechniona tam, gdzie zakaz antykoncepcji jest odrzucany. Nawet gdyby się to dało udowodnić, a papież w encyklice takiej próby nie podejmuje, to mogłoby to być następstwem tego, że i antykoncepcja i aborcja wymagają istnienia pewnych możliwości technicznych. Niedawna konferencja kairska włożyła wiele wysiłku w sprawę rozpowszechniania środków antykoncepcyjnych w krajach rozwijających się właśnie celem ukrócenia plagi uciekania się do aborcji jako środka planowania rodziny i zmniejszenia nadmiernego wzrostu ludności.

Aborcja istotnie jest plagą, z której ani Kościół ani świecki świat nie może sobie dać rady. Bo świecka opinia publiczna nie mniej niż religijna zdaje sobie sprawę, że aborcja jest złem, które należy wszelkimi siłami zwalczać. Nawet kobiety, które poddają się aborcji, na ogół zdają sobie sprawę z fizycznych i duchowych kosztów tego zabiegu i jeśli świecka opinia, zwłaszcza feministyczna, protestuje przeciw kościelnemu zakazowi aborcji, to dlatego raczej, że odbiera im możliwość osobistego decydowania o sobie. O tyle antyaborcyjne presje niosą z sobą i ten niepożądany skutek, że prowokują do podsycania proaborcyjnej propagandy. I te kontrapresje zwracają się szczególnie przeciw Kościołowi katolickiemu, bo inne wyznania chrześcijańskie, choć oczywiście również piętnują aborcję jako ciężki grzech, unikają przy tym atmosfery zacierzwienia, która zwykle charakteryzuje inspirowaną przez Kościół antyaborcyjną propagandę. Jak wiadomo, doszło niedawno w kilku krajach do zbrojnych napadów na kliniki aborcyjne, a w Stanach Zjednoczonych doszło nawet do zamordowania kilku lekarzy. Papież te wypadki pomija milczeniem, stwierdzając tylko, że w walce z aborcją nie należy stosować przemocy. W encyklice poświęconej obronie życia należałoby się spodziewać nieco wyraźniejszego i surowszego potępienia tych morderstw.

Główna różnica między postawą Kościoła katolickiego, tak jak ją przedstawia encyklika, a szerszą opinią publiczną,

także przeciwną aborcji (bo czystych zwolenników aborcji jako przyjemnego sportu oczywiście nie ma), polega na tym, że Kościół domaga się całkowitej delegalizacji aborcji, gdzie tylko możliwe. Encyklika jest jednym wielkim apelem o doprowadzenie do tego pożądanego celu wszystkimi możliwymi środkami, nade wszystko prawnymi ale również pozaprawnymi, z wyłączeniem tylko, jak wspomniałem, przemocy. Nade wszystko papież wzywa do zdecydowanej akcji politycznej przeciw ulegalizowanej aborcji, stwierdzając, że odpowiednie ustawodawstwo jest obiektywnie nieważne i moralnie nie obowiązujące. Jest to postawa dalej idąca niż tylko potwierdzenie prawa i obowiązku indywidualnego obywatela do moralnego sprzeciwu i odmowy udziału w czynach, które uznaje w sumieniu za niemoralne. Niektórzy krytycy dopatrują się w tym wprost ataku papieża na zachodnią demokrację parlamentarną. Papież istotnie uważa, że demokracja, która legalizuje aborcję, wykazuje tendencje „totalitarne”, a państwo o takiej demokracji jest według niego „państwem tyrańskim” (20). (Myślę, że nie jestem jedyny, któremu trudno dopatrzeć się w tych określeniach związku z ogólnie przyjętym znaczeniem użytych tu słów). W każdym razie istotne jest, że papież w encyklice zajmuje się przede wszystkim publicznym aspektem sprawy aborcji. Ale aborcja ma również swój aspekt prywatny i głęboko osobisty. Temu papież poświęca stosunkowo mało uwagi, poza przypomnieniem obowiązku osobistego posłuszeństwa przykazaniom. Jeden z końcowych ustępów encykliki, w którym papież zwraca się do kobiet, które poddały się aborcji, jest chyba jedynym, w którym dochodzi do głosu jakaś nuta współczucia i zrozumienia okoliczności, które doprowadziły do tej bolesnej decyzji (99). Nie znalazłem w encyklice słowa zrozumienia dla agonii kobiet, które padły ofiarą gwałtu. Papież nie skorzystał nawet z okazji, by powtórzyć im surowe polecenie, jakie dał w swoim czasie zgwałconym przez żołdaków Bośniaczkom, że ich świętym obowiązkiem jest pokochać owoc gwałtu, urodzić go i potem kochać go przez całe życie. Widać, że papież bardzo współczuje poczętym w ten sposób embrionom, ale większość ludzi inaczej chyba dysponuje swoim współczuciem. I nie jest chyba nienaturalne uczucie wstrętu wobec jakichkolwiek prób zmuszania

kobiety do urodzenia płodu, którego żadną miarą mieć nie chce, nawet jeśli nie jest to owoc gwałtu. Są to problemy niesłychanie bolesne, a nade wszystko niesłychanie osobiste i intymne.

Jakieś zrozumienie tych problemów nie jest oczywiście jedynym względem, dla którego w demokratycznych krajach istnieje zalegalizowana aborcja. Encyklika papieska zdaje się zakładać, że zdelegalizowanie aborcji znaczyłoby faktyczne zlikwidowanie aborcji czy przynajmniej poważne jej ograniczenie. Jest to złudzenie, bo aborcja istniała zawsze i jej legalizacja w XX wieku, przy wszystkich swoich ujemnych i nawet tragicznych skutkach, przynajmniej poddała to szerokie zjawisko społeczne pewnej publicznej i fachowej kontroli. To nie ustawodawcy spowodowali aborcję, oni ją ujarzmili. Lepiej lub gorzej, ale ujarzmili i delegalizacja oznaczałaby powrót dzikiej nie kontrolowanej aborcji. W XIX wieku, a nawet jeszcze na początku bieżącego stulecia aborcja przedstawiała obraz o wiele straszniejszy niż dzisiaj, przybierając nawet formę masowego dzieciobójstwa, zwłaszcza dzieci nieślubnych, dokonywanego często przez sprawne akuszerki¹.

Problem zatem jest jeszcze trudniejszy niżby to z tej i tak bardzo ponurej encykliki wynikało. *Evangelium vitae* jest w zamierzeniu dokumentem duszpasterskim w kwestii natury moralnej, ale w wykonaniu przybrała ona charakter dokumentu bez mała politycznego, którego tematem jest walka swoście pojętej partii życia z rzekomą partią śmierci. Przypomina to trochę walkę muzułmańskich fundamentalistów o panowanie w ich krajach islamskiego prawa *szaria* (z ucinaniem ręki za kradzież itd.). Utrudnia to w dużej mierze rzeczową dyskusję z udziałem Kościoła i instytucji świeckich nad sposobami zwalczania aborcji (i eutanazji). W głosach krytyki nowej encykliki papieskiej stale przewija się zarzut, że jej autorytarny i niezmiennie polemiczny ton, nie dopuszczający żadnych alternatywnych rozwiązań, z góry wszelką debatę na te tematy wyklucza.

Biskupi i w ogóle wyżsi duchowni są tu w bardzo trudnej

1. Zob. Lionel Rose: „Massacre of the Innocents. Infanticide in Great Britain 1800-1939”. Routledge & Kegan Paul, London 1986.

sytuacji ze względu na wprowadzoną w marcu 1989 roku specjalną rotę przysięgi oraz wyznanie wiary, składane z zasady przy obejmowaniu urzędu, w którym zobowiązują się oni *explicite* do „religijnej wierności” nawet wobec zwyczajnego nauczania Biskupa Rzymu albo Kolegium Biskupiego. Nawet jeśli to zobowiązanie jest podejmowane całkiem dobrowolnie z miłości do Kościoła, to jednak musi ono jakoś ograniczyć swobodę wypowiedzi, które wobec tego trudno traktować jako wyraz autentycznie żywionych osobistych przekonań. W tej sytuacji łatwo zrozumieć, że oceny także i tej encykliki w ustach biskupów są na ogół jednolicie pozytywne i zgoła entuzjastyczne. I tak np. kardynał Hume miał powiedzieć, że zgadza się z encykliką w 200 procentach (te dodatkowe 100 procent jest może jakimś ostrzeżeniem *à rebours*?) Natomiast usunięty niedawno ze swej diecezji francuski biskup Gaillot miał odwagę powiedzieć, że encyklika powinna była zezwolić na użycie prezerwatyw jako środka w zwalczaniu epidemii AIDS. W tej sytuacji łatwo też zrozumieć, że co bardziej niezależni biskupi korzystają z każdego okienka w oficjalnej linii do dania wyrazu swojej osobistej doktrynalnej predylekcji. Tym znowu się tłumaczy, że zarówno kard. Hume jak i prefekt Kongregacji dla Spraw Nauki Wiary kard. Ratzinger nadali tak wielkie znaczenie drobnemu w gruncie rzeczy złagodzeniu oficjalnego nauczania zalecającego stosowanie w pewnych wypadkach kary śmierci. Kardynał Ratzinger zapowiedział nawet wprowadzenie odpowiedniej poprawki w tekście dopiero co ogłoszonego nowego Katechizmu. Inna rzecz, że wprowadzenie takiej modyfikacji oficjalnej doktryny w tekście encykliki poświęconej obronie każdego życia ludzkiego jest bardzo na miejscu. Może nawet jest to jaskółka, która świadczy, że surowość papieskich nauk nie jest tak niewzruszona i niezmienna, jakby to z reszty encykliki wynikało. Niemniej tenże kard. Ratzinger potwierdził też oficjalnie, że był zamiar wprowadzenia do tekstu encykliki klauzuli, *explicite* określającej jej nauczanie jako niereformowalne i nieomylne. Zrezygnowano z tego tylko dlatego, że w Watykanie wszelkie nauczanie papieża traktuje się jako nieomylne.

Chciałbym zakończyć te kilka uwag ogólniejszym spojrzeniem na miejsce tej encykliki, może obu ostatnich encyklik, w całości obecnego pontyfikatu. Uderzające jest podobieństwo pontyfikatu Jana Pawła II z długim pontyfikatem Piusa IX przeszło sto lat temu (1846-1878). (Nie po raz pierwszy spostrzegam, że obecny papież jest bardziej Piusem niż Janem czy nawet Pawłem). Oba pontyfikaty rozpoczęły się pod znakiem reform i wielkich nadziei – w tamtym Wiosna Ludów, w tym zmierzch komunizmu – i oba z biegiem lat stwardniały w beton ciężkiej konserwy i tragicznego skłócenia ze świeckim światem. Tamten dał Kościołowi dogmat nieomylności *ex cathedra* od wielkiego dzwonu, ten jeszcze twardszą praktykę zwyczajnej nieomylności na co dzień. Dziś ultrakonserwatywne dokumenty Piusa IX *Quanta cura* i *Syllabus errorum* potępiające takie nowoczesne wynalazki jak demokracja i wolność słowa, leżą zapomniane, przykryte kurzem watykańskiej biblioteki. Czy encykliki naszych czasów czeka podobny los?

Encyklika *Evangelium vitae* ma dwa wyraźne cele na oku. Pierwszym jest całkowita delegalizacja aborcji gdzie tylko się da, drugim zyskanie powszechnego uznania i przyjęcia w praktyce filozoficznej idei, że życie ludzkie, nie tylko w sensie biologicznym lecz życie w pełnym tego słowa znaczeniu ludzkie, rozpoczyna się „od poczęcia” czyli zapłodnienia jaja i że od tego momentu mamy do czynienia z pełnym człowiekiem, który zatem powinien mieć takie same prawa jak każdy żyjący człowiek. Praktyczną konsekwencją przyjęcia tej teorii byłaby między innymi moralna i prawna dyskwalifikacja pewnych środków antykoncepcyjnych (tzn. środków „aborcyjnych”) i zakaz zapładniania *in vitro*, zabiegu, który pociąga za sobą powstanie kilku „nadliczbowych” embrionów, które następnie mogą być użyte dla celów badawczych². Św. Tomasz z Akwinu prawdopodobnie nie miałby nic przeciwko temu, gdyż uważał, że taki embrion nie ma jeszcze duszy. Podobnego zdania są dzisiejsi uczeni, którzy oczywiście doskonale znają i rozumieją naukową bio-

2. W W. Brytanii użycie embrionów do celów eksperymentalnych jest dozwolone do 12 dni od chwili zapłodnienia. Do tego czasu musi nastąpić albo implantacja embrionu albo jego zniszczenie.

chemiczną (bo nie teologiczną) argumentację, jaką oficjalna kościelna doktryna zwykle uzasadnia tezę o pełnym człowieczeństwie zygoty „od poczęcia”. Myślę, że rację ma znany publicysta Clifford Longley, gdy na łamach katolickiego *Tablet*’u ostrzega duchownych przed nadmierną „naukową” pewnością siebie, jako że ich kompetencje leżą w innej dziedzinie i są całkiem innego rodzaju³. Inna rzecz, że uczeni są czasem bardzo niepojętni, gdy chodzi o religijne wartości. Np. słynny popularyzator ewolucyjnej biologii Richard Dawkins w liście do redakcji tygodnika *Spectator* powiada, że nie rozumie, kiedy i jak w toku ewolucji życie ludzkie stało się święte. Ja tego też nie wiem, ale to nie zmienia faktu, że dla wielu ludzi życie ludzkie ma znamiona świętości (i są to zwykle najlepsi ludzie). Ale to z kolei nie zmienia faktu, że papież Jan Paweł jest trochę zbyt pewny swoich intelektualnych racji i moralnej słuszności swych celów. Myślę zatem, że encyklika *Evangelium vitae* nie jest ostatnim słowem Kościoła w wielkiej sprawie wartości i świętości ludzkiego życia. Myślę nawet, że naprawdę ostatniego słowa pielgrzymujący Kościół nigdy nie wypowie.

Pouczająca tu może być następująca okoliczność. W nowym rzymskim Katechizmie znajdujemy w indeksie 150 odniesień do wypowiedzi Jana Pawła II, prawie o połowę więcej niż do wypowiedzi wszystkich jego poprzedników na Stolicy Piotrowej razem wziętych, od papieża Damazego I z IV wieku począwszy. Papież Soboru Watykańskiego Paweł VI ma jedną trzecią tego, to jest 50 odniesień, ale inicjator tego przełomowego wydarzenia w życiu Kościoła Jan XXIII już tylko 5. *Sic transit gloria mundi*, tylko Kościół zawsze pozostaje ten sam, choć jest zawsze nowy. Historia, a w historii Kościół, jest wielką nauczycielką pokory.

Antoni POSPIESZALSKI

3. Clifford Longley: „One Galileo is enough”. *The Tablet*. 1 April 1995. List Dawkinsa do redakcji *Spectator*’a relacjonuje Matthew Parris w *Times*’ie, 17 April 1995.

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

W grudniu 1917 roku, kiedy Rosję owładnął chaos, Maksymilian Wołoszyn napisał wiersz pod tytułem „Car Dymitry”. Opisał w nim zadziwiające losy Dymitra Samozwańca, człowieka znikąd, który zasiadł na moskiewskim tronie, a potem, w 1606 roku, został z niego zrzucony i zabity. Zabitego cara – opisuje Wołoszyn – ni woda, ni ziemia nie chciały przyjąć („z mogiły ciało wychodziło”). Wtedy „na kęsy go pokroili, spalili, popioły zebrali, armaty wystawili i z czterech rogatki Moskwy w cztery strony świata walili”. Nic nie pomogło: na Rusi dalej mnożyli się samozwańcy.

W przeddzień 50-lecia zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami ogłoszono w Moskwie „ostateczny raport” o śmierci Führera. Na wpół zwęglonego trupa pochowano koło Magdeburga (bez szczęk, które zabrano celem identyfikacji trupa). W 1970 roku na rozkaz ówczesnego szefa KGB, Andropowa, szczątki Hitlera wykopano, spalono i rozsypano. Jak wiadomo, ciało Stalina po krótkim pobycie w mauzoleum również spalono. Jego prochy jednak pieczętowanie zebrano i pogrzebano w kremlowskim murze.

Jak widać, nie udało się złożyć w ziemi dwóch największych w dziejach świata morderców. Ich duchy unoszą się nad światem i wpływają na naszą epokę. Niedawno padły sobie w objęcia w Moskwie podczas jubileuszu 50-lecia. Premier Wiktor Czernomyrdin dwukrotnie – w dwóch przemówieniach – mówił o wybitnej roli towarzysza Stalina, pod którego przewodem Związek Sowiecki zwyciężył Hitlera. Demonstranci przemaszerowali przez miasto, po czym zebrali

się pod gmachem KGB na Łubiance, unosząc ku niebu portrety Stalina. Ramię w ramię z nimi szli młodzieńcy w opaskach ze swastyką na ramieniu.

Z pół setki prezydentów i premierów udało się z pielgrzymką do Moskwy na obchody zwycięstwa. Dla gospodarza – Borysa Jelcyna – liczył się tylko Bill Clinton. W innym momencie zwróciłby naturalnie uwagę i na kanclerza Kohla, ale tym razem Kohl reprezentował powalone Niemcy i uważano, że powinien być wdzięczny za to, że go w ogóle zaproszono.

Światowa prasa i telewizja uznały, że moskiewskie spotkanie prezydentów Stanów Zjednoczonych i Rosji skończyło się porażką Clintona. Tylko bardzo naiwni ludzie (typu doradców politycznych prezydenta Ameryki) mogli oczekiwać, że skończy się inaczej. Nie trzeba być, jak mówią Amerykanie, fizykiem nuklearnym, żeby wiedzieć, że dyplomacja to handel. Bill Clinton pojechał do Moskwy, bo uważał, że odda swoją obecnością usługę „drogiemu Borysowi”, który odpłaci mu ustępstwami: anuluje sprzedaż reaktora atomowego do Iranu, zgodzi się na rozszerzenie NATO, przestanie naruszać umowę o redukcji broni konwencjonalnych, zaniecha działań wojennych w Czeczenii.

Żądania (czy raczej prośby?) Clintona nie mogą zostać spełnione z całkiem konkretnych powodów. Weźmy sprzedaż reaktora do Iranu. Po pierwsze, Iran obiecał za niego duże pieniądze. Pieniądze brzęczą w dzisiejszej Rosji jak magiczne zaklęcie, ale nie to jest najważniejsze. Najważniejszy jest fakt, że Iran stał się ważnym celem rosyjskiej polityki zagranicznej. Strategiczny plan „zneutralizowania południowego zagrożenia” przewiduje stworzenie sojuszu między Rosją, Iranem, proirańskimi siłami w Afganistanie i proirańsko-prorosyjskim Tadżykistanem. Bill Clinton przywiózł Jelcynowi w podarunku samego siebie (jako prezydenta Stanów Zjednoczonych). Iran podarował mu neutralność w wojnie z Czeczenią: Irańczycy nie pomagają swemu bratu w islamie Dudajewowi.

Kwestia rozszerzenia NATO jest jeszcze bardziej skomplikowana. Istnieje punkt widzenia Rosji, różne punkty widzenia Zachodniej Europy (francuski, niemiecki), przynajmniej dwie koncepcje w Stanach Zjednoczonych (demokratów i republikanów); istnieją, rzecz jasna, pragnienia krajów

pukających do NATO w nadziei na parasol ochronny przed Rosją. Rosyjski punkt widzenia jest prosty: rozszerzenie NATO jest zdaniem Moskwy wymierzone przeciw Rosji, jest próbą wykorzystania jej chwilowej słabości na drodze do demokracji. Moskwa nie ma wątpliwości, do czego zmierza niecnny antyrosyjski plan Zachodu: do NATO przystąpią Polska, Czechy i Węgry; następnie dołączą do paktu kraje nadbałtyckie, Rumunia, Słowacja, Chorwacja, Słowenia, Bułgaria... A potem – jasne jak słońce – kraje „bliskiej zagranicy”, czyli były republiki sowieckie: Ukraina i Białoruś. Krótko mówiąc, zachodni plan zmierza do ekspansji NATO i izolacji Rosji.

Różnice zdań co do rozszerzenia NATO pozwalają Moskwie na „twardą politykę”: liczy ona na to, że zachodnie opcje będą się nawzajem neutralizowały, a nieustępliwość Moskwy każe zachodnim politykom dwa razy pomyśleć, zanim dokonają wyboru między Rosją i Polską (Czechami, Węgrami itd.). Moskwa nie bez kozery liczy na słabość Zachodu i brak koherentnej zachodniej polityki wobec Rosji. Dziennikarze z *Time* (8.5.95) w toku wywiadu z Jelcynem, chcąc mu się przypodobać, mówili o dwóch wielkich mocarstwach. Podczas przemówień w Moskwie zachodni przywódcy nie ośmielili się wymówić słowa „Czeczenia”. Nawet były prezydent Francji Mitterrand, który nie powstydział się dzień wcześniej sławić w Berlinie bohaterstwo niemieckich żołnierzy – wszystkich! – podczas II wojny światowej, o Czeczenii nie wspominał. Jest to zrozumiałe: wszyscy (na czele z Clintonem) umówili się, że Czeczenia to terytorium rosyjskie. Dziennikarzom z *Time*, którzy w przypływie odwagi zapytali, czy wojna w Czeczenii była konieczna, Jelcyn rzucił w twarz: a co wasz rząd robił w 1787 roku w dolinie Wyoming, kiedy jej mieszkańcy postanowili oderwać się od Pensylwanii? Sparaliżowani głębią wiedzy historycznej Jelcyna, amerykańscy dziennikarze nie zająknęli się więcej na temat Czeczenii.

Polityka zagraniczna jest dziś ważną częścią polityki wewnętrznej. Przejście od statusu wielkiego mocarstwa do statusu rozrywanego na kawałki kraju, czy też, jak mówią w Moskwie, od Trzeciego Rzymu do Trzeciego Świata, nie jest łatwym przeżyciem. Tylko nieliczni mają odwagę powiedzieć

jak Aleksander Jakowlew: „Rosja musi jak ślimak wejść w siebie, zrezygnować z imperialnych rojeń i zająć się swą ruską izbą” (*Izwestia*, 25.4.95). Większości Rosjan nadal marzy się wielkość i imperium. Podczas przygotowań do wyborów parlamentarnych te sny o potęgę nie mogą nie inspirować działaczy politycznych i państwowych.

Aleksander Jakowlew, „architekt pieriestrojki” i niegdyś najbliższy doradca Gorbaczowa, wspomina: „Jesienią 1990 roku Gorbaczow mógł usiąść na jednym z dwóch stołków: przemocy lub demokracji, ale ten drugi wydał mu się za bardzo chwiejny, trzeszczący, więc postanowił podjąć grę z ‘przyjaciółmi’, których nazwiska poznaliśmy w sierpniu 1991 roku. A Jelcyń? Nie wiem. Coraz wyraźniej jednak rysuje się groźba rewanzu, bo warstwa rządząca poważnie zabrała się do restauracji, czując coraz silniejsze poparcie prawicy...”

W tym miejscu Aleksander Jakowlew staje się mętny jak za czasów, kiedy kierował sowieckim pionem ideologicznym. Co to jest prawica? Gdzie jest lewica? W przeddzień święta zwycięstwa minister obrony Graczow mianował Władimira Żyrynowskiego w uznaniu zasług dla dzisiejszej armii rosyjskiej podpułkownikiem rezerwy (dotychczas był kapitanem). Na uroczystym przyjęciu na Kremlu – zapraszał sam prezydent – Żyrynowski prezentował się najlepiej: nawet za stołem nie zdjął furazerki. Prawica to czy lewica? W kwietniu prezydent i premier równocześnie ogłosili, że w najbliższym czasie powstaną dwa centrowe bloki. Jednym będzie kierował Czernomyrdin, drugim – przewodniczący Dumy Iwan Rybkin. Zadanie tych bloków jest proste: odbić partiom radykalnym zmęczonych wyborców, którzy – jak wynika z sondaży – mają już powyżej uszu wstrząsów. Bloki są centrowe, ale po obliczeniu, jakie partie mają do nich wejść, zdecydowano, że blok Rybkina, wieloletniego funkcjonariusza partyjnego i świeżo upieczonego członka partii agrarnej, będzie „lewo-centrowy”, a blok Czernomyrdina „prawo-centrowy”. Iwan Rybkin powiedział w wywiadzie, że należy się spodziewać – cytuję – „dwóch potężnych bloków socjaldemokratycznych sił orientacji lewo- i prawo-centrowej, które będą dodatkowo miały jakby dwa skrzydła – jedno złożone z sił politycznych orientacji komunistycznej i drugie – z sił o charakterze radykalno-liberalnym”. Radykalni liberałowie i

liberalni radykałowie, socjaldemokratyczni komuniści i komunistyczni socjaldemokraci – przedwyborcza szachownica Rosji przypomina dżunglę na Borneo. Fakt, że wódz rosyjskiej partii komunistycznej Giennadij Ziuganow zaczyna rozmowę telewizyjną z Borysem Fiodorowem, byłym reformatorskim ministrem finansów, od słów: „Niech będzie pochwalony”, wypada w tej sytuacji zaliczyć do pomniejszych osobliwości.

Patrząc z lotu ptaka w rosyjską dżunglę polityczną wyraźnie widać, że poglądy działaczy politycznych i państwowych są mętnym, niepojętym i zagmatwanym kłębkim. W ostatnich czasach jednak zbili się w grupy, których stanowisko nie jest pozbawione logiki. W rosyjskiej publicystyce zaczęło pojawiać się słowo „stabilność”. 5 kwietnia 1995 ukazała się w *Izwestiach* prognoza politycznej ewolucji Rosji, dokonana metodą CIA. Prognoza była zatytułowana „Rosja jest skazana na stabilność”. „Duchowa opozycja”, zwana potocznie „czerwono-brunatnymi ekstremistami”, nie podziela tego optymizmu. Jej organ *Jutro* (Nr 16) odmalowuje sytuację w kraju w czarnych barwach: „Na porządku dnia związków zawodowych i ruchów lewicowych stoi wszechrosyjski strajk 12 czerwca... Niezadowolenie przybiera już jawne formy, a ogarnęło ono dostatecznie liczne rzesze Rosjan... Można się spierać co do liczby uczestników (organizatorzy spodziewają się milionów, służby porządkowe setek tysięcy). W każdym razie można powiedzieć, że zaczął się nowy etap wyrażania masowego protestu”.

Niezadowolenie nie ulega kwestii, ale znacznie silniejsze są marzenia o porządku i „stabilności”. Stworzenie dwóch dużych bloków wyborczych zapowiada nowy etap w dziejach postkomunistycznej Rosji. Prywatyzacja jest praktycznie skończona; inaczej mówiąc skończył się okres jawnego podziału własności. Zachodni specjaliści uważają, że gospodarka Rosji dosięgła dna i zaczyna teraz przystosowywać się do nowych warunków oraz – powoli – wychodzić z kryzysu. W kwietniu grupa największych rosyjskich banków wyraziła gotowość do poparcia państwa: chce mianowicie kupić za dwa miliardy dolarów akcje prywatyzowanych przedsiębiorstw, w których pakiet kontrolny należy do państwa. Jest to oznaka stabilizacji gospodarczej.

Zmierzają się także do ustabilizowania administracji. We

wszystkich przedsiębiorstwach, także prywatnych, powstają tzw. „departamenty pierwsze”. Kiedyś były to jacejki KGB. Dziś podporządkowane są Federalnej Służbie Bezpieczeństwa (FSB). Ustawa mówi, że konieczna jest „obecność w strukturach przedsiębiorstw wydziałów ochrony tajemnicy państwowej i niezbędnej liczby odpowiednio wykwalifikowanych specjalistów od ochrony informacji, których kwalifikacje wystarczą do ochrony tajemnic państwowych”. W jednym zdaniu trzykrotnie pada słowo „ochrona”. Świadczy to o słabym wyrobieniu literackim autorów i zarazem ich przekonaniu, że stare sowieckie odruchy nie zawiodą: jeśli trzeba chronić, znaczy – jest przed kim. Jest wróg. Z wrogiem należy walczyć.

Proces stabilizacji trafia na poważną przeszkodę: wolne wybory, których wynik, z uwagi na dużą liczbę kandydatów, trudno przewidzieć. Zlikwidować wybory, wrócić do szczęśliwych sowieckich czasów – nie jest już możliwe. Problem można by rozwiązać tworząc z dwóch bloków „partię rządzącą”. Byłby to zmodyfikowany model amerykański. Czernomyrdin reprezentowałby partię republikańską, Rybkin – demokratyczną. W odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych oba rosyjskie „bloki” popierałyby prezydenta; zresztą cieszyłyby się jego błogosławieństwem.

Za burtą „bloków” zostaliby ci, którzy nie znajdują sobie miejsca w systemie. Albo ci, których nie zechcą bloki. Na przykład Aleksander Lebied'. 14-ta armia, którą dowodzi, zostanie rozwiązana. Generałowi, jak piszą, proponują dowództwo Zabajkalskiego Okręgu Wojskowego. Aleksander Lebied' nie skrywa, że chce włączyć się do życia politycznego, czyli – by użyć jego własnych słów – „wejść w swego rodzaju strefę alienacji, w której rządzi tylko on, jego rozum, jego wola”. W blokach nie ma też miejsca dla generała Ruckiego: za często zmieniał sojuszników, nikt mu nie ufa w kołach politycznych. Zresztą nie ma też do zaoferowania niczego, czego by w nadmiarze nie proponowali inni.

Komunistyczna Partia Rosji szuka sobie miejsca w blokach, a na razie trwa w gotowości. Za ostro jednak krytykuje prezydenta: trudno wykluczyć, że wśród zwolenników Ziuganowa dojdzie do kolejnego rozłamu. Część przejdzie do Rybkina, pozostali zostaną w opozycji. „Partię władzy”

popiera Żyrynowski, ale jego nazwisko jest tak naznaczone, że zachowają go najpewniej w charakterze „milczącej podpory”, nawet jeśli słowo „milczący” nie pasuje do wodza Partii Liberalno-Demokratycznej.

Jeżeli rozwiąże się problem wolnych wyborów, uda się stworzyć stabilny system typu chińskiego: gospodarkę rynkową pod kontrolą państwa. Po chińsku nazywa się to „rynkiem socjalistycznym”.

Model stabilizacji po chińsku jest już dość dobrze sprawdzony. 29 kwietnia obywatele niezależnego Kazachstanu jednomyślnie (95% głosów) wypowiedzieli się za przedłużeniem mandatu prezydenta Nursułtana Nazarbajewa do 2000 roku. Nazarbajew jest człowiekiem niestarym, można mieć nadzieję, że mandat będzie przedłużony. W Uzbekistanie prezydent Iślam Karimow dostał 99% głosów: Uzbegy też życzą sobie, by rządził do 2000 roku. W styczniu poszli do urn obywatele Turkmenii: oddali 99,9% głosów na Saparmurada Nijazowa i przedłużyli jego pełnomocnictwa do 2002 roku. W kolejce czeka Kirgizja – należy się spodziewać, że Askar Akajew też nie będzie miał kłopotów z kochającymi go wyborcami.

Można więc mówić nie tylko o chińskim, ale szerzej o środkowoazjatyckim modelu „rynkowego socjalizmu”. Specjaliści twierdzą, że słabe kiełki demokracji usychają we wrogim klimacie Azji Środkowej, bo rejon ten ma inne tradycje historyczne i kulturalne. Można dodać, że wojna domowa w Tadżykistanie zwiększa potrzebę stabilności. Jednak i na zachodnich rubieżach łakną stabilności: Białoruś, kraj słowiański, ochoczo wraca pod skrzydła „starszego brata”. Także na Ukrainie widać niewątpliwe oznaki chęci stabilności, tzn. wzmocnienia władzy prezydenta.

Niewykluczone, że zawodowi politolodzy się ze mną nie zgodzą, ale wyznam, że przekonywający dowód nadchodzącej stabilizacji znalazłem w statystykach psychiatrycznych. W domach wariatów, gdzie dawniej nie można się było opędnąć od Stalinów i Leninów, pojawiły się zastępy Czernomyrdinów i Graczowów. Na razie tylko Rybkin nie został zarejestrowany.

13.5.1995

Adam KRUCZEK

Warszawski dziennik

Dziesięć ostatnich dni marca w Warszawie. *Twórczość* we współpracy z *Naszą Niwą* przygotowuje swój numer białoruski. Przywiozłem pakę książek i czasopism z utworami naszych postsowieckich, a co za tym idzie – przeważnie młodych autorów. Redaktor działu poezji pan Ziemowit Fedeki przegląda ten materiał bez zbytniego zachwyty, jednakże to i owo chwali.

Pomysł wydania numeru białoruskiego może się stać ciekawym precedensem, ponieważ Polska spogląda dziś niemal wyłącznie na Zachód, na Wschód zaś z rzadka i z niepokojem. Do zdania „Polska chce przystąpić do NATO...” tutejsi dziennikarze dodają z reguły: „...i Rosja wcale nie musi podejmować za nas decyzji w tej sprawie”.

Nigdzie nie ma takich prezydentów

Moi polscy znajomi patrzą na Białoruś ze współczuciem jako na kraj, który ugrzązł w niedawnej przeszłości, w nie istniejącym już ZSSR, i z nadzieją w głosie pytają: „Czy są szanse na odrodzenie waszej świadomości narodowej?” To jedyny sposób, żeby zrównać się z sąsiadami, dogonić teraźniejszość.

Nie wiem. Pragnę w to wierzyć.

„Czy to prawda, że wasz prezydent Łukaszenka robi wszechwładną karierę?” – pyta mnie pan W., warszawski dziennikarz. – Jeżeli tak, to ma spore szanse. Całkiem możliwe, że Rosja znów postawi na energicznego „nacmena”, mówiącego po rosyjsku z fatalnym akcentem, tak jak w swoim czasie postawiła na Stalina. Szkoda tylko narodu białoruskiego, którego rolę sprowadzono wyłącznie do wspomagania czyjejś kariery. Zazwyczaj stosunki prezydenta z narodem układają się na zgoła odmiennym zasadzie”.

Warszawski dziennikarz wypowiada się nader dyplomatycznie. A ja myślę sobie: jeżeli tak się rzeczy mają, to nasze widoki na przyszłość nie mieszczą się w najbardziej nieprawdopodobnych prognozach. Bo tu już nie chodzi nawet o

przyłączenie Białorusi do Rosji ale o traktowanie narodu i państwa jako prywatnej własności niejakiego Łukaszenki: zrobię to, na co mam ochotę...

– Ależ to nieprawda – próbuję oponować.

– Jesteś tego pewien? – pyta W. i rozkłada przede mną ostatni numer *Polityki* z notatką informacyjną: „Jeżeli parlament Białorusi nie zatwierdzi decyzji prezydenta Łukaszenki o zmianie godła państwowego i o uznaniu języka rosyjskiego za język urzędowy – zostanie rozwiązany”. „Nie można nikogo zmuszać do posługiwania się nieznany i niepożądanym językiem” – powiedział Łukaszenka o języku białoruskim. Nie zdążyłem przeczytać notatki do końca, kiedy W. wzruszył ramionami i powiedział: „Nigdzie nie ma takich prezydentów”.

Mińsk a Warszawa

Dzisiaj Polacy chętnie porównują Wałęsę do Łukaszenki. Dają przy tym do zrozumienia, że uwagi krytyczne przybysza z innego kraju byłyby nie na miejscu. Zasadnicza różnica między dwoma prezydentami polega na tym, że Wałęsa istnieje dla państwa, a nie odwrotnie, jak u nas.

Podobną różnicę dostrzegam porównując Mińsk z Warszawą. Trudno z pewnością znaleźć dwa tak podobne do siebie miasta, a zarazem tak odmiennie...

Jednakowa powierzchnia i ilość mieszkańców. Dwie stolice, względnie nowe, obok starożytnego Wilna i Krakowa. Obie zburzone podczas wojny. Ale poza tym – całkowite przeciwieństwa. Stara Warszawa została odbudowana. Stary Mińsk burzony jest nadal. Burzy się nawet to, co zbudowano po wojnie, co już zdążyło coś wchłonąć w swoje mury, trochę sobie postać. Dziś barwna, czysta, różnorodna Warszawa jest ukochanym polskim miastem, chlubą i dumą kraju. Mam wrażenie, że jeżeli nawet mieszkaniowiec stolicy jest kompletnym zerem już sama przynależność do tego miasta go nobilituje.

W szarym, brudnym i niczym Mińsku przybysza wita zburzony dworzec, drewniane parkany, ruiny Górnego Miasta i osiedla mieszkaniowe, wszystkie na jedno kopyto. Mińsk nie sprawia wrażenia dużego miasta, ponieważ jego gospodarze nie znają go i nie lubią.

Wystarczyło mi jednego wypadu do Lublina, żeby przekonać się, że stolica nadaje swój styl i nastrój mniejszym

polskim miastom. Mińsk też dyktuje modę, ale na obraz i podobieństwo swoje.

W gruncie rzeczy nie trzeba nawet pomników i dobrego oświetlenia w nocy. Wystarczy porównać wyraz twarzy przechodniów spotkanych na ulicy.

Psie serce

Świadomość proletariacka nie zawiera elementu wiary w wartości ponadczasowe. Dlatego też ludzie o tego rodzaju świadomości ponadczasowych wartości nie tworzą i nie posiadają. Paszтетówką można posmarować kawałek chleba i usłyszeć po chwili wdzięczne burczenie w żołądku. Dusza człowieka jest wrażliwa na „bodźce” innego rodzaju. A przyszłości narodu i prestiżu państwa nie da się wpakować do lodówki. W porównaniu z realną kiełbasą są to abstrakcje niezbędne dla zaspokojenia potrzeb nie mniej abstrakcyjnej duszy. O ile, oczywiście, dusza istnieje...

Ale co tu się da zrobić, skoro w naszym niedoskonałym świecie o pozytywnej polityce decydują właśnie „abstrakcje”, nie zaś myślenie „fizjologiczne” nie sięgające dalej, niż odruchy warunkowe psów Pawłowa. Już Puszkina przecież zauważył, że człowiek różni się od zwierzęcia swoją pamięcią historyczną. Jeżeli zaś chodzi o żołądek, to i ludzki i zwierzęcy burczy jednakowo.

Jak dotąd żaden kraj na świecie nie powstał bez tradycji, bez duszy, a nawet, jeśli już o to chodzi, bez Boga. Odrzucając język ojczysty i symbole narodowe prezydent Łukaszenka kopiuje dokładnie poczynania bezmyślnych komsomolców z organizacji „Wojujący bezbożnik”, którzy w latach 20-tych wyrzucali z babcinej chaty święte obrazy i wieszali zamiast nich portrety Marksa. Ale marksowie nigdy nie zagrzali miejsca w babcinej chacie.

W swoim interesie

Podmiotowość kraju góruje nad podmiotowością prezydenta, parlamentu, a nawet nad ustawami, które ten parlament uchwalił. A to dlatego, że stanowi spłot interesów ogółu.

Znajomy warszawski profesor opowiadał mi jak to w

Polsce, której zależy na rozwoju przedsiębiorstw, przymyka się nieraz oko na wykroczenia prawne, które się w tych przedsiębiorstwach zdarzają. Bo Polsce zależy na rozwoju, nie zaś na kilku procesach pokazowych, lub na dogodzeniu jakiemuś innemu państwu. Ropę naftową Polska też kupuje równocześnie w Rosji i na Bliskim Wschodzie. Robi się tak w interesie kraju, żeby uniknąć szantażu.

Dzień Wolności

25 marca – 77 rocznica proklamowania niepodległości Białoruskiej Republiki Narodowej. Święto, które w Mińsku nadal jest świętem nielegalnym. *Gazeta Wyborcza* opublikowała wiadomość pod tytułem „Areszt za flagę?” „Białoruska milicja aresztowała w sobotę 14 osób, które wyszły na ulice Mińska z biało-czerwono-białymi flagami państwowymi”.

Gdzie tu jest państwo, ile jest warta Konstytucja i na czym polega w tym przypadku interes państwowy?

Miejscowe zwycięstwo

Wałęsy nie zaproszono do Berlina na uroczystość z okazji Dnia Zwycięstwa. Kiedy usłyszałem tę wiadomość przez radio, obudził się we mnie człowiek sowiecki – że niby, co oni wyprawiają?! Tak im się chce uniezależnić od Rosji, że już zaczynają okazywać względy oprawcom wojennym, pomniejszają rolę Armii Sowieckiej, nie jadą do Moskwy na Defiladę Zwycięstwa... Tak mniej więcej myśli dzisiaj przeciętny mieszkaniec Białorusi. Ale gdzie Wałęsa powinien obchodzić rocznicę 9 maja?

Rocznice zwycięstwa nad hitleryzmem powinno się obchodzić tam, gdzie hitleryzm zwyciężono czyli w Berlinie. A dni pamięci tragedii narodowej, ważniejsze dla Polski i Białorusi niż Święto Zwycięstwa, należy obchodzić w domu. Cała reszta – kto pojedzie do Londynu, a kto do Moskwy – to manewry polityczne, intrygi. Co tu ma do rzeczy Moskwa?

Rola Moskwy została na Białorusi wyolbrzymiona, nadano jej rangę roli wyłącznej. Armia Sowiecka wyzwoliła Białoruś. Jednakże najpierw w ciągu czterech dni oddała Białoruś hitlerowcom. Podczas wojny nie było tu Stalingra-

dów, ani innych wiekopomnych wydarzeń. Tu tylko ratowano ludzi, albo ich zabijano.

Przekonałem się o tym raz jeszcze rozmawiając w Polsce z ludźmi starszego pokolenia, pochodzącymi z Białorusi Zachodniej. We wspomnieniach tych ludzi, których (oprócz sentymentu do krainy młodości) nie sposób podejrzewać o jakąkolwiek stronniczość, wojska sowieckie pojawiają się tylko epizodycznie – odeszli tamtędy, wrócili stamtąd. O sowieckiej partyzantce podczas okupacji tylko słyszeli. Najważniejsze wydarzenia sprowadzały się albo do ratowania Żydów, albo do ich mordowania. Mordowali Żydów litewscy hitlerowcy, ale także niektóre oddziały AK, to zależało od dowódcy. Miejscowa administracja była białoruska, narodowa. Działał także Związek Młodzieży Białoruskiej, ale nikt z moich rozmówców nie skarżył się na nieludzkie prześladowania ze strony białoruskich formacji. Historycy, być może, nie zgodzą się ze mną, ale tym razem w Warszawie mogłem się przekonać, że takie właśnie wspomnienia o życiu na Białorusi podczas okupacji utrwaliły się w pamięci ludzkiej. Białoruś nie była krajem – zwycięzcą, którego przywódcy z tej racji mogliby pojechać do Berlina 9 maja, a to dlatego, że nie była krajem. Dziś stała się krajem, ale podczas ostatniej wojny walczyli o to nie ci ludzie, których zwycięstwo świętowano by dziś w Moskwie.

Wybuch albo... wybuch

Ostatni dzień w Warszawie. Wizyta u ambasadora Białorusi. Hierohi Taraziewicz jest białoruskim mężem stanu. – Istnieją – powiada – dwa warianty rozwoju sytuacji. Jeżeli w wyborach 14 maja zwycięży Białoruski Front Narodowy, dojdzie do konfliktu między nowo wybranym parlamentem, a prezydentem. I wtedy nastąpi wybuch. – A jeżeli nie nastąpi? – pytam. – Jeżeli zwyciężą siły centrum – rozwija swoją myśl ambasador – wówczas do konfliktu parlamentu z prezydentem przyłączy się naród. I wtedy nastąpi wybuch.

Jak powiadają – nie kijem go, to pałką...

Siarhiej DUBAWIEC

P.S. Minął miesiąc od mego powrotu z Warszawy, i najbardziej pesymistyczne prognozy co do rozwoju wydarzeń

na Białorusi zaczęły się potwierdzać. Prezydent Łukaszenka zakończył tworzenie swego systemu władzy w kraju, swego „pionu”, mianował kierowników we wszystkich miastach, rejonach i obwodach. Wszystkie *mass media* zostały bezwarunkowo podporządkowane prezydentowi. W radiu, telewizji oraz w największych gazetach Łukaszenka zmienił redaktorów, którzy chociaż w minimalnym stopniu powątpiewali w jego politykę.

Kolejne posunięcie prezydenta – przeprowadzenie referendum, podczas którego naród białoruski miał uczynić na Białorusi rosyjski językiem państwowym, odwołać „nacjonalistyczną” symbolikę, wypowiedzieć się za integracją z Rosją oraz udzielić prezydentowi prawa rozwiązania parlamentu – nie uzyskało w Radzie Najwyższej niezbędnej ilości głosów. Deputowani opozycji ogłosili głodówkę, w nocy zaś prezydencki Omon* zbił ich na kwaśne jabłko i wyrzucił z gmachu parlamentu. W ten sposób prezydent zignorował jedną z podstawowych zasad Konstytucji – nietykalność deputowanych. W następnym dniu, ostatnim w swojej kadencji, Rada Najwyższa przegłosowała referendum. Odbędzie się już 14 maja. Razem z wyborami do parlamentu.

Pytania plebiscytu ułożone są w ten sposób, żeby w zasadzie wyeliminować problem języka państwowego i państwowej symboliki.

Poza tym prezydent otwarcie bojkotuje wybory nowej Rady Najwyższej. „Nie pójdę na te wybory – oświadczają w wystąpieniu telewizyjnym – bo i po co?” Rzeczywiście, po co, skoro referendum da możliwość usunięcia atrybutów niezależnego państwa, skoro wielu deputowanych starej Rady Najwyższej otrzymało stanowiska w prezydenckim „pionie”, skoro wszyscy zrozumieli, że Łukaszenka zaplanował likwidację białoruskiej państwowości.

Obecnie rzeczywiście jest jasne, w jakim celu wszystko to się robi, w jakim celu prezydent niezależnego kraju pragnie zostać gubernatorem zachodnich kresów Federacji Rosyjskiej. Za rok Łukaszenka wystawi swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich w Rosji z jednym hasłem – odrodzenie ZSSR. Przy czym, nie będąc tam „prorokiem we własnym kraju” ma pewne szanse...

Pozostaje pytanie: co na to naród, który z taką gotowością popiera swego prezydenta? Odpowiedź dla Białoru-

*Bojówka - Otdiel Milicii Osobogo Naznachenija.

rusi tradycyjna: naród jest utrzymywany w stanie ciemnoty. W atmosferze całkowitego informacyjnego monopolu i izolacji naród niczego się nie dowiedział o dopuszczeniu się gwałtu w stosunku do deputowanych Rady Najwyższej. Naród czuje jedno – w rozpadzie ZSSR kryje się przyczyna wszystkich naszych nieszczęść i cierpień – i doznaje strachu przed kierownictwem.

S.D.

Święto nie swojego zwycięstwa

Czyje to zwycięstwo i co nam przyniosło? – zapytują młodzi ludzie na Ukrainie, i otrzymują ze wszech stron sprzeczne informacje. Władza – wbrew przestrogom ze strony wielu partii i ludzi niezależnych – poszła na kompromis z Moskwą i ze zwolennikami uroczystych obchodów 9 maja – jako symbolu zwycięstwa armii sowieckiej nad „niemieckim faszyzmem”. Już w latach 30-tych towarzysz Stalin zarządził, że nie należy rozróżniać – i dalej nie rozróżnia się – faszyzmu włoskiego i pochodnych mu ruchów oraz niemieckiego hitlerizmu. Na ten temat debatowano przed kilkoma dniami w Kijowie na międzynarodowym kongresie pod hasłem „Przeciwko ekstremizmowi i faszyzmowi”. Uczestnicy konferencji zwrócili uwagę na niebezpieczne tendencje w polityce rosyjskiej. Znaczący spraw międzynarodowych przeprowadzali studium porównawcze pomiędzy „doktryną Kozyriewa”, mówiącą o groźbie użycia siły w obronie mniejszości rosyjskiej za rubieżami Rosji, i podobną doktryną Hitlera-Ribbentropa w odniesieniu do mniejszości niemieckich za granicą, będącą instrumentem imperializmu hitlerowskiego.

Oficjalnie zarządzono „Święto 50-tej rocznicy wojny ojczyźnianej”. Nie chciano pójść na udry z półmilionową rzeszą weteranów, którzy noszą na piersi mnóstwo orderów a w kieszeni grosze. Nie leżało w interesie prezydenta Kuczmy

zadzierać – w obecnej skomplikowanej fazie stosunków rosyjsko-ukraińskich – z Jelcynem.

Krytyczne uwagi nie znaczą w żadnym wypadku chęci umniejszenia udziału Ukrainy w zwycięstwie nad Hitlerem. Był on ogromny i okupiony milionami ludzkich istnień. Bilans strat jest większy niż to może sobie uzmysłować przeciętny obywatel Europy. W armii sowieckiej służyło w ciągu wojny sześć milionów Ukraińców. Połowa zginęła na froncie i w niewoli niemieckiej. Tych nielicznych jeńców, którzy przeżyli obozy niemieckie, wywieziono od razu do łagrów syberyjskich. W odniesieniu do nich nie obowiązywały (jak np. w stosunku do jeńców polskich) przepisy Konwencji Haskiej, czego skutkiem było prawie całkowite wymordowanie oficerów i żołnierzy ukraińskich. Dokładnej liczby ofiar nie ma, gdyż Niemcy zapisywali wszystkich jeńców jako Rosjan. A z drugiej strony, zwycięstwo nad Niemcami byłoby chyba trudniejsze do osiągnięcia bez ukraińskiego korpusu oficerskiego i podoficerskiego. Według niektórych danych Ukraińcy stanowili 70% oficerów do rangi pułkownika. Dalej awansować było trudniej. W poczet generałów i marszałków dopuszczono nielicznych Ukraińców. Natomiast równie ważny, a może nawet jeszcze bardziej znaczący, był wkład ukraińskich uczonych i konstruktorów z dziedziny metalurgii przy konstrukcji czołgów.

Mimo to w kijowskich rozmowach wraca stale pytanie, za co i o co wojowaliśmy, który z katów był gorszy czy lepszy: Hitler czy Stalin. Bilans wygląda tak, że obaj wymordowali tę samą liczbę ludzi – każdy ok. 5 milionów. Gdyby nie było tych strasznych strat demograficznych, Ukraina miałaby dziś nie 52 ale 80 milionów mieszkańców. Ale liczba ofiar to jedno, a ich jakość w sensie intelektualnym i społecznym drugie. Dlatego gotowość do świętowania na Ukrainie daty 9 maja jest ograniczona do przeżytków gatunku *homo sovieticus*.

Jedynym godnym przemyślenia argumentem pokolenia stalinowskich weteranów jest ten, że bez Stalina w ogóle by nie doszło do zjednoczenia ziem etnograficznych: od Użhorodu, Czerniowiec do Charkowa. A jednocześnie w Muzeum Historycznym Kijowa odbywa się wystawa – upiór. Na ścianach wiszą w długich rzędach fotografie największych synów i córek swej ojczyzny: pisarzy, historyków, ekonomistów, reżyserów i aktorów, inżynierów, malarzy i rzeźbiarzy, oficerów. Wszyscy rozstrzelani lub zatopieni na pół-

nocy w 1937 r. Inni zginęli w latach terroru, w 1940, 1941 albo w 1942, a zaraz po 1945 r. nastąpiły dalsze masowe czystki i zesłania. Więc cóż to było za „zwycięstwo” i czyje?

Cierpkim odgłosem odbiła się afera o statusie ukraińskich weteranów. Oprócz milionowych szeregów w Armii Czerwonej, Ukraińcy walczyli w armii kanadyjskiej (40 tys.), w Drugim Korpusie generała Andersa (wystarczy obejrzyć groby pod Monte Cassino), ale również w milionowej Ukraińskiej Powstańczej Armii walczącej na dwa fronty. Było trzecie, zupełnie niepotrzebne, zgrupowanie w postaci Dywizji Hałyczyna, występującej po stronie niemieckiej na froncie wschodnim. Wielu młodych demokratów ukraińskich – jak autor tych słów – występowało z narażeniem życia przeciwko utworzeniu tej formacji. Niestety grupa starszych działaczy ukraińskich, głównie z Galicji, uważała, że należy iść śladami Piłsudskiego i tworzyć z obcą pomocą „legiony”. Wspominam o tym, bo ten margines przesłania często polski punkt widzenia. Poza tym mało się mówi o tym, że Francuzi, Holendrzy czy Belgowie mieli podobne dywizje w sojuszu z Niemcami.

Z okazji jubileuszu zwycięstwa czy zakończenia wojny nie zapanowała sprawiedliwość. Nie wszyscy kombatanci ukraińscy mają takie same prawa. Chociaż poprzedni parlament w ubiegłym roku zrównał weteranów wojsk sowieckich z żołnierzami UPA, to obecny parlament wstrzymał wykonanie przepisów. W każdym razie na Ukrainie z tej przyczyny panuje przygnębiająca atmosfera polityczna. Tym bardziej że prezydent Kuczma nie pojechał na uroczystości do Londynu i Paryża, ale udał się – chociaż na krótko – do Moskwy.

Uroczystości jubileuszowe nie przebiegały w ten sam sposób. Administracja zachodnich regionów nie zezwoliła na parady, przemarsze czy manifestacje. Zgodziła się natomiast, aby dzień ten został poświęcony ofiarom drugiej wojny światowej i obydwoh dyktatur: stalinowskiej i hitlerowskiej. Tym samym uwidoczniła się znowu dwutorowość w ukraińskiej kulturze politycznej i istniejące wciąż jeszcze regionalne różnice w ocenie niedawnej przeszłości. Z tych, ale i innych względów, demokraci ukraińscy poświęcają ostatnio więcej uwagi ziemiom wschodnim, głównie „trzeciej” – po Kijowie i Lwowie – stolicy Ukrainy – Charkowowi.

9 maja 1995

Bohdan OSADCZUK

Notatki Redaktora

Jean-Marie Le Pen, przywódca francuskiego, skrajnie prawicowego Frontu Narodowego, został zaproszony do Polski przez Stowarzyszenie Prawica Narodowa. Le Pen ze względu na głoszone przez siebie hasła rasistowskie jest bojkotowany przez francuskie koła polityczne. Nie zawiera się z nim żadnych układów czy porozumień, chociaż – jak wykazały ostatnie wybory prezydenckie – liczba jego zwolenników niepokojąco rośnie. Zresztą Le Pen jest tak samo izolowany w europejskich kołach politycznych, jak na przykład w parlamencie europejskim. Obecne zaproszenie go do Polski jest jak gdyby wprowadzeniem go na salony polityczne. Ponieważ nikt na świecie nie orientuje się kim jest i co reprezentuje Stowarzyszenie Prawica Narodowa – mówi się po prostu, że został zaproszony przez Polskę. To nie przemyślane posunięcie jeszcze bardziej osłabi naszą pozycję, a jak jest ona słaba pokazała ostatnia wizyta prezydenta Wałęsy w Szwecji, gdzie większość prasy zamieściła bardzo krytyczne artykuły o Wałęsie, cytując i komentując jego wypowiedzi oraz liczne gafy i niezręczności. Tak antypolskiej postawy nigdy dotąd w Szwecji nie było. Sprawę tę polska prasa całkowicie przemilczała, z wyjątkiem korespondenta warszawskiego dziennika *Trybuna*, który zresztą został z miejsca brutalnie potraktowany przez Prezydenta.

Na 50-lecie wyzwolenia Norwegii i 55-lecie bitwy o Narwik rząd norweski zaprosił grupę 25-ciu polskich kombatantów, zapewniając im pokrycie wszelkich kosztów ich pobytu w Norwegii. Otóż osławiony p. Adam Dobroński odmówił wysłania tych 25-ciu kombatantów z powodów „oszczędnościowych” oraz „małego zainteresowania tym wyjazdem”. Znalazło się jedynie jedno miejsce w samolocie wicepremiera Łuczaka. Chwała Bogu, że Ksawery Pruszyński, autor

głośnej książki „Droga wiodła przez Narwik” (i uczestnik kampanii norweskiej), nie dożył tej chwili! P. Dobroński do tej chwili nie rozliczył się z kosztów obchodu rocznicy bitwy pod Monte Cassino. Pisałem o tym kilkakrotnie domagając się rozliczeń, ale jak dotąd bezskutecznie. Nie tracę jednak nadziei, że wreszcie jakieś czynniki miarodajne jak np. Sejm czy NIK zajmą się tą sprawą.

Jest zjawiskiem charakterystycznym, że rządy tzw. Trzeciej Rzeczypospolitej przywiązują nadmierną uwagę do prawdziwego zalewu rocznic, obchodów, sprowadzania zwłok etc., organizując je głównie dla siebie z wykluczeniem prawdziwych kombatanów i społeczeństwa.

W poprzednich „Notatkach” wysunąłem zastrzeżenie przeciw uroczystym obchodom w Katyniu uważając, że uroczystości warszawskie były klamrą zamykającą te sprawy i że uroczystości odsłonięcia pomnika i cmentarza w Katyniu powinny mieć charakter skromny, z udziałem episkopatu polowego wszystkich wyznań i rodzin zamordowanych. Tymczasem okazuje się, że przygotowuje się wielką uroczystość z udziałem Prezydenta, rządu i różnych decydentów. Należy jednak mieć nadzieję, że znajdzie się miejsce dla rodzin ofiar.

Swoją drogą pamiętając jak uporczywie walczone o utrzymanie fikcji, że sprawcami zbrodni byli Niemcy, a wszystkie głosy udowadniające winę NKWD tępiono, co tak boleśnie odczuł Józef Czapski, paradoksem jest, że nie władze polskie, a dopiero merowie Maisons-Laffitte i Mesnil-le-Roi pomyśleli by uczcić go wmurowaniem tablicy na domu *Kultury*.

Piękny gest ministra Kultury, Kazimierza Dejmka: półtora miliarda starych złotych otrzyma Kościół Prawosławny na dokończenie odbudowy sanktuarium w Grabarce, które spłonęło trzy lata temu. Grabarka jest dla prawosławnych tym czym Częstochowa dla katolików. Ta sprawa była tematem spotkania min. Dejmka z Bazyliem, prawosławnym metropolitą Warszawy i całej Polski.

REDAKTOR

Kronika kulturalna

„Jestem wciąż dysydentem...”

ROZMOWA Z POETĄ IHOREM KAŁYNCIEM*

BOGUSŁAW BAKUŁA: – Trzy lata temu w recenzji z tomu Pana poezji „*Probudźna Muza*” (Kultura nr 6, 1992) powtórzyłem informację, że porzucił Pan pisanie wierszy. Zdaniem interpretatorów Pana twórczości miała to być manifestacja niewiary w sprawczą moc słowa poetyckiego, w świecie jaki zastał Pan po powrocie z obozu i zesłania. Przypuszczam, że podobne manifestacje wzbudzają moją nieufność. Rozumiem, że nie chciał Pan zostać przypisany do roli, która niczego istotnego wówczas nie zawierała. Ale czy naprawdę można uciec od poezji, schronić się w świecie zubożonym na słowo? Wierzy Pan w to?

IHOR KAŁYNEC: – Od razu mnie Pan przypiera do ściany. Niech będzie. Wyjaśnić dlaczego już nie piszę wierszy jest, z wielu powodów, bardzo trudno. I nie wiem, czy trzeba to czynić. Na własny użytek dostrzegam kilka przyczyn. Trzeba się cofnąć do lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy to byłem bardzo aktywny jako literat i nie tylko. Całe pokolenie lat sześćdziesiątych było aktywne, ufne we własną siłę, w wartości duchowe, patriotyczne. Wydaje mi się, że w tamtych trudnych czasach wypowiedziałem się najpewniej. Wtedy rodziła się „*Probudźna Muza*” – idea wierszy mających w

* Ihor Kałyneć, ur. 1939, poeta lwowski, działacz ruchu obrony praw człowieka, praw cerkwi grekokatolickiej w czasach breżniewowskich, więzień polityczny w latach 1972-1981, autor znanych wyborów wierszy „*Probudźna Muza*”, „*Newolnycza Muza*” zbierających twórczość poety zabronioną w latach 1960-80. This result was supported by the Research Support Scheme of the Central European University grant n°: 1157/94.

intencji odnowić zasypiane źródła, odrodzić zdolność mówienia własnym głosem. I następnych kilkanaście lat – czas publicznego nieistnienia, stąd kolejny tom i temat poetycki – „Muza zniewolona”. Portret czasu wielkiej próby.

Powiedziałbym, że w tych zbiorach zawiera się pewna część ukraińskiego życia duchowego lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i nie tylko.

Prócz tego, że moja poezja jest zapisem życia indywidualnego i zbiorowego, starałem się, w miarę moich możliwości dać każdemu zbiorowemu wierszy coś nowego, niepowtarzalnego, to co ja odkryłem wówczas, odnalazłem. Ale w latach osiemdziesiątych, kiedy wyszedłem na wolność z obozu i zesłania uświadomiłem sobie, że już nic nowego dodać nie potrafię. Należało spojrzeć sobie w oczy i powiedzieć prawdę. Być epigonem samego siebie to klęska.

B.B.: – *Odnoszę wrażenie, iż niewielu poetów miałoby odwagę publicznie stwierdzić to, co Pan powiedział. Pisarz podobne momenty kryzysu zwykle starannie ukrywa, choć i tak to później wychodzi na jaw...*

I.K.: – Bez nowych odkryć nie ma poety i poezji. Ale tu nie mówimy o kryzysie. Ja przestałem pisać wiersze. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych żyłem na wysokim poziomie duchowym i emocjonalnym. Trwała walka, w którą chciałem się włączyć. Walka o przeżycie, żeby się sprawdzić, dojrzeć, a potem w więzieniu i obozie, żeby nie dać się zniszczyć. Przyznaję, że ówczesne nieustające napięcie, wysiłek, sprzyjały mojej twórczości. Kiedy później wróciłem do Łwowa zobaczyłem, że wolność, o której tak wiele w obozie na Uralu rozmawialiśmy, okazała się dość nikczemna, a wokół pozostała tylko społeczna miazga. To było wręcz paralizujące. Wszędzie królowała niewiara, jakiś upadek, który do dziś określa nasze społeczeństwo. A może ja zobaczyłem, po latach idealizowania, prawdę i ona mnie zmierzała.

B.B.: – *Doczekał się Pan niezależnego ukraińskiego państwa. Czy nie to było ostatecznym celem walki ukraińskich opozycjonistów?*

I.K.: – Na pewno. W naszej wizji niepodległe państwo rysowało się dość mgliście, bo niewielu potrafiło wbiec

odważną myślą na tak trudny teren. Wyczerpywaliśmy się w walce o sprawy zasadnicze dla egzystencji pojedynczego człowieka, o więcej wolności słowa, o piękną sztukę. Po- obozowym syndromem u wielu ludzi jest życiowe, artystyczne, znużenie. Oni się tam wyczerpali. Co zaś się tyczy odrodzenia własnego państwa, to są pozory i są realia. Pytanie, co kto widzi i w co chce wierzyć. Ja wierzę w przyszłe, silne państwo ukraińskie, ale niech Pan mnie nie pyta kiedy ono naprawdę nastanie. A literatura jest taka, jak otaczająca nas rzeczywistość. Jest w niej życie i śmierć.

B.B.: – *Nie kusi Pana powrót do poezji? Jako reakcja na obecny, burzliwy czas? Przecież Pan był zawsze związany z aktualnym wymiarem życia.*

I.K.: – Zgadza się, ale ja już nie jestem lirykiem. Wtedy, w tamten tragiczny czas lat siedemdziesiątych, nie mogłem pozwolić sobie na czysto literacką zabawę i dlatego moja poezja ma jakąś obywatelską ośnowę. Dziś to już nie jest potrzebne, bo poeta nie musi poruszać historii, ani tematów należących do polityka, dziennikarza, działacza. I jeden problem odpadł. Dość śmiesznie więc wygląda, gdy przefarbowani poeci piszą, właśnie dziś, eksklamacyjną, patriotyczną lirykę i trudno uwierzyć całkowicie w ich szczerość. Dawniej milczeli, a dziś krzyczą... Nie chciałbym, żeby moje wiersze były tak patetyczne, podlizujące się patriotyzmowi, tłumowi... W poezji obowiązuje reguła maksymalnej koncentracji, skupienia energii słowa, gromadzenia jej dla eksplozji sensu.

B.B.: – *Z czego żyje poeta na Ukrainie? Z publikowania wierszy zapewne nie. Niektórzy prosperują w sferze działań politycznych. Pan też próbował.*

I.K.: – Niewiele na ten temat można powiedzieć. Były poeta jest urzędnikiem. Także działaczem społecznym, raczej z instynktu niż z potrzeby profitów. A jemu współcześni? Z pisania i publikowania wierszy żyć nie sposób. Brak mecenasa, publiczności. Niektórzy przyjmują inne role. Lecz polityka nie działa uzdrawiająco na geny twórcze, za to staje się lustrem, które poecie diabelsko podpowiada jaki jest mądry, piękny, wielki... tu już jest blisko końca literatury. Jak w każdym zadufaniu, nawet jeśli ono wygląda na rozdrapywanie ran...

B.B.: – *Większość tomów Pana wierszy ukazała się za granicą. Właściwie jest Pan poetą prawie nieznanym na Ukrainie. Nie żał Panu tej straconej szansy porozumienia z czytelnikiem?*

I.K.: – Nie jest aż tak źle. „Probudzona Muza” i „Newolnycza Muza” wprawdzie ukazały się na Zachodzie, ale w większości były sprzedawane w kraju, również w Polsce. Sporo moich wierszy przypominają w czasopismach, antologiach. Z żoną wydaliśmy zbiór poezji religijnej „Ce my, Gospod”, wybór z tego, co posiadamy.

B.B.: – *Chciałbym rzucić temat natury ogólniejszej. Brak jasności, co dzieje się aktualnie w literaturze ukraińskiej. Przełomy, przewartościowania wciąż trwają. Ihor Kałyneć milczy. Wielu poetów zmienia ton swojej liryki. Dokoła hurapatriotyzm, polityka, a z drugiej strony buntownicze, anarchoizujące gesty młodych pokoleń. Co dla Pana jest najważniejsze we współczesnej ukraińskiej poezji?*

I.K.: – W literaturze mamy trudny czas, panuje zamęt, bieda, dezorientacja. Ja zwracam uwagę przede wszystkim na twórczość młodszych literatów takich jak Wiktor Neborak, Jurij Andruchowycz, Ołeksander Irwaneć i inni z pokolenia lat osiemdziesiątych. W nich jest nadzieja, mają odwagę, szczyptę szaleństwa, talent. Z drugiej strony zastanawia mnie i niepokoi ostentacyjne odejście tego pokolenia od romantycznych korzeni. To znaczy od romantyzmu jako formacji intelektualnej i duchowej, z której tak wiele spraw w naszej kulturze bierze swój początek i jest ona miarą godności, szacunku, wrażliwości, od romantyzmu jako ważnej dla nas na Ukrainie postawy niepokoju. W ich twórczości jest niepokój, ale inny. Może po prostu boli mnie widoczny brak idealizmu tak wyraźnie określającego los i twórczość mojego pokolenia. Przede wszystkim wywołuje mój protest ich odejście od liryczności. Chciałbym, żeby literatura była wyszukana, estetyczna, oparta na zasadach, a znajduję niebezpieczną tendencję do zajmowania się ciemnymi stronami życia, bo z jakiejś przyczyny jest to modne. Zdemaskowanie i odepchnięcie starego świata zapewne wymaga postawy rozniewanego realizmu. I to pozwala im nurzać się w brudzie, którego ja mam dosyć. Wolę literaturę, która jest esencją, czystością, ale nie fałszywą. Dlatego z trudem przychodzi mi dać odpowiedź na pytanie – jaką chciałbym mieć literaturę ukraińską, bo ta

jaka jest mnie nie zadowala, a jaka będzie nie sposób wróżyć z dnia dzisiejszego, choć jak powiedziałem, jest nadzieja. W tym smutnym pejzażu są miejsca radośniejsze – to literatura, a zwłaszcza poezja emigracyjna. Szczęśliwie więc dokonuje się odkrywanie zjawisk dotąd nie istniejących w społecznej pamięci i wyobraźni. Z tej strony spływa na nas wielkie bogactwo.

B.B.: – *Jakie najważniejsze pytania stoją dziś przed literaturą ukraińską?*

I.K.: – Problemem ukraińskiej literatury jest brak pobudzających idei artystycznych oraz natłok doraźnej rozrachunkowości. Jest u nas wielka masa literatów, którzy przesiąkli duchem czasów sowieckich. Ci ludzie powoli się przebudowują, ale ja nie widzę u nich dokonań, które mogłyby mieć większy pozytywny wpływ na rozwój naszej literatury. Nie oni będą wytyczać przyszłą drogę, ale stanowią niestety większość. Z kolei tacy znani pisarze, którzy chcieliby zapewne pełnić dziś rolę przewodników w literaturze, jak na przykład Iwan Dracz, Dmytro Pawłyczko, już tej roli nie odgrywają, nawet jeśli im się tak wydaje. Piszą, wydają i my ich szanujemy, ale raczej za osiągnięcia wcześniejsze, a więc paradoksalnie za to co zrobili w literaturze w czasach sowieckich, kiedy potrafili znaleźć w sobie wielkość artystyczną. Jest więc problem oceny przeszłości oraz problem kierunku, w którym zmierza nasza literatura.

Moją nadzieję stanowi młodzież, jak chociażby grupa Bu-Ba-Bu, która próbuje mówić własnym głosem. Ale chciałoby się, żeby ci twórcy mieli pozytywną wizję rzeczywistości i nie sprowadzali swojej sztuki do negacji, co się u nich często zdarza.

B.B.: – *Krytyka wyodrębnia w poezji tak zwaną szkołę lwowską, w której zajmuje Pan czołowe miejsce. Czy może Pan wskazać na zasadność takiego podziału – szkoła lwowska, szkoła kijowska.*

I.K.: – Jest to wyrozumowany podział, czysto geograficzny. Ja nie odczuwam istnienia czegoś tak osobliwego jak szkoła lwowska. Wydaje mi się, że nie ma żadnych szczególnych cech wyróżniających poetów lwowskich od innych środowisk, grup.

Ale można mówić o szkołach odrębnych poetów, którzy byli liderami pewnych literackich nurtów. Na przykład nurt poezji Bohdana Antonycza. Został on przerwany w czasie wojny i podjęty przez poetów emigracyjnych. Potem ta tradycja odbiła się w mojej twórczości, a następnie przeszła w swoisty sposób do poezji na przykład Andruchowycza. W pewnej mierze można powiedzieć, że jako punkt odniesienia znajduje się w pisarstwie Neboraka i innych młodych.

Inną linią jest nurt biegnący od ukraińskiego futuryzmu, który rozwijał się w Kijowie i Charkowie, a potem nagle wypłynął w twórczości pokolenia osiemdziesiąt, w postaci pewnych tylko akcentów, ale wypłynął. Interesującą linią jest neoklasycyzm istniejący we Lwowie, w Kijowie i Charkowie. Tak więc nie wyczuwam jakiegś szczególnej odrębności poezji lwowskiej, żeby aż mówić o odrębnej szkole.

Można mówić o kijowskiej grupie „szestydesiatnykiw”: Mykoła Worobjow, Ołeksander Saczenko, Wasyl Hołoborod’ko (ostatni wprawdzie z Donbasu, ale działał z kijowianami), Wasyl Kordun. Łączyła ich jednak nie geografia, lecz podobna tradycja, moment startu.

B.B.: – *Jaką istotną, Pana zdaniem, wartość wprowadził Bohdan Antonycz, że tak wielu poetów powojennych w kraju jak i na emigracji inspirował się jego twórczością?*

I.K.: – Antonycz jako jeden z pierwszych w ukraińskiej poezji podszedł do surrealizmu. Trzeba jednak zauważyć, że jego twórczość nie jest wewnętrznie jednolita. Rozpada się na kilka nurtów: lirykę romantyczną, lirykę klasycyzującą, a z drugiej strony metafora, surrealizm. Wojna przerwała wspaniale rozwijający się odbiór tej poezji. On łączył doskonałe tradycje europejskie z tradycją naszej literatury, wydobył obraz, pozwolił poezji na grę wyobraźni, umiał stworzyć nastrój i uderzyć w tony bardziej zasadnicze. Wielu poetów ukraińskich rozpoczyna swój start do dojrzałej twórczości przezwyciężając siłę liryki Antonycza. Pośród nich byłem także ja.

Od surrealizmu można wykreślić linię aż do poezji młodych z lat 80. Potem jest jeszcze wywodząca się z tradycji Antonycza liryka grupy nowojorskiej. Zatem, jak Pan widzi, Antonycz okazuje się jednym z kluczowych zjawisk, niestety zbyt wcześnie przerwanych.

B.B.: – *Wyodrębnił Pan raczej nurty artystyczne i linie estetyczne niż sytuacje, grupy, konstelacje artystów. Czy to znaczy, że w literaturze ukraińskiej były one silniejsze niż różnego rodzaju ugrupowania?*

I.K.: – Tak, bezsprzecznie. Silne ugrupowania w rzeczywistości sowieckiej można traktować jako pobożne życzenia, ale oczywiście są chwilowe wyjątki, grupa Waplite na przykład. Tylko co to znaczy silne? Niewątpliwie tendencje, -izmy więcej znaczyły niż konkretne grupy. Mogły istnieć nawet wtedy, kiedy organizowanie się w niezależne grupy artystyczne było herezją.

B.B.: – *Jak te podziały odnoszą się, Pana zdaniem, do podziałów pokoleniowych?*

I.K.: – Kolejne generacje przynoszą zwykle przewagę jednego z tych -izmów nad pozostałymi. W przypadku „szestydesiatnykiw” to była przewaga elementów, zjawisk, neoromantycznych. Później nałożyły się na to odczucia neoklasycyne, ale niezupełnie. „Wisimdesiatnyki” odwołują się do tradycji futurystycznych i surrealistycznych z lekką domieszką anarchizmu artystycznego, jakby pobrzmiewa tu daleka tradycja dadaizmu.

B.B.: – *A gdzie umieścimy Pana twórczość?*

I.K.: – Kiedyś, dość długo nad tym myślałem. I najlepszym określeniem, do którego chętnie bym się odwołał, choć nie jest ono popularne, wydał mi się estetyzm. Odwołuję się do tradycji czeskiego poety Nezvala, który reprezentował poetyzm, swoistą wersję nowoczesnego *vers libre*, nadrealizmu. Widzę tu pewną zbieżność, która mnie satysfakcjonuje.

B.B.: – *Niemniej w pierwszych zbiorach Pana wierszy zauważa się przede wszystkim związki z poezją Bohdana Antonycza.*

I.K.: – Jak Pan zauważył Antonycz pełni w naszej współczesnej poezji rolę katalizatora. Wielu twórców, starszych i młodszych chętnie podkreśla związki z jego twórczością, albowiem jest to wielki poeta. Antonycz odpowiedział mi, że jeśli chcę pisać muszę mieć określony, konkretny pogląd na świat.

Świadectwem jego wpływu na mnie jest mój pierwszy zbiór „Widczynienia wertepu” (1967 – B.B.). I kiedy już opanowałem ten sposób pisania nie chciałem pozostać tylko uczniem. Szukałem więc nowego tonu, ale nie oznaczało to wyparcia się Antonycza. On wciąż istniał w mojej twórczości, lecz pospołu z nowymi, jak mi się zdawało, elementami. Pojawiły się reminiscencje religijne, mit, folklor. W pewnym momencie byłem pod urokiem Jerzego Harasymowicza. Spory wpływ w zakresie myślenia wywarł na mnie w pewnym czasie Tadeusz Różewicz. Czytywałem wasz znakomity kiedyś miesięcznik *Poezja*, to było dla mnie okno na świat. Dzięki polskiej *Poezji* byłem dość nieźle zorientowany w tym, co dzieje się w świecie. Sporo też polskiej poezji przekładałem dla siebie, choć również i rosyjskiej.

B.B.: – *Jaki wpływ na Pana twórczość miało doświadczenie religijne?*

I.K.: – Moje przeżycia religijne najściślej są związane z ukraińską tradycją cerkiewną, mniej z krzyżowaniem się linii pogańskich i chrześcijańskich, więcej z moim rozumieniem Biblii. Na tym gruncie najsilniej rozwijały się w mojej świadomości ideały grekokatolickie, stymulowane przez takich wspaniałych ludzi jak Andrij Szeptyckij, Josif Slipyj. Kiedy rozpoczął się u nas czas zmian to razem z żoną, już po powrocie z obozów, robiliśmy co było możliwe, żeby nasza cerkiew wyszła z katakumb. Już wcześniej, w latach sześćdziesiątych, kiedy zacząłem pisać wiersze, pojawiły się cerkiewne motywy – właśnie cerkiew, ikona, witraż. Oczywiście zaraz położono na mnie huraganowy ogień krytyki za obecność tych elementów w mojej twórczości. Poprzez religijne tematy, obrazy, próbowałem przemycać jakąś wizję tożsamości ukraińskiej, sposób odnajdywania się w świecie *sacrum*, które nam odebrano.

B.B.: – *A Bóg? W Pana poezji witraż, ikona to tylko pewne obrazy. Bóg jest w poezji mitem, słowem, wyzwaniem, skazaniem i tak dalej. Czy wadził się Pan z Bogiem jak inni neoromantyczni poeci, na przykład jak Stus?*

I.K.: – W mojej poezji nie ma takiej perspektywy. Szukanie Boga poprzez poezję nie było mi potrzebne. Bóg istniał,

istnieje. Postępowałem tu zgodnie z naszą tradycją zgody na ten stan ode mnie niezależny. Nie potrzebowałem tu żadnych podniet z boku. Owego szewczenkowskiego „bogoszukania” w mojej poezji nie ma. Jest Bóg, jest wiara, ufność – to są zasady, których nigdy w poezji nie stawiałem na ostrzu. Nie ma dyskusji z Bogiem. Nie próbuję też filozofować. Liczyło się słowo, obraz, wrażliwość na sprawy codzienne.

B.B.: – *Kupiłem tu we Lwowie zbiór Pana bajek „Pan Niechto”, a po lekturze zastanowiła mnie adnotacja końcowa – „Ural, 1976”. Wynika z tego, że Pan je pisał w obozie? W jakim sensie obóz oddziałuje na świadomość pisarza? Porzucił Pan pisanie, więc nie ma świadectwa Pana własnej oceny tego doświadczenia z perspektywy lat.*

I.K.: – To bardzo długi wątek i jak się Pan domyśla trudny. Każdy się z tym mociuje w sobie właściwy sposób. Byliśmy więźniami politycznymi, skazanymi za walkę o prawa człowieka. Taką mieliśmy dumną i złudną świadomość na samym początku. Ale w obozach nie było kogoś takiego jak więzień polityczny. To dopiero trzeba było wywalczyć. Nasz opór w obozie dotyczył tego, aby sowiecka władza uznała fakt istnienia więźniów politycznych u siebie i dała nam taki status. Po co ja przypominam te wszystkie znane sprawy? Po to, by powiedzieć, że ocena zza biurka nic nie da. Będzie uproszczonym wzorem życia, jakby statystyką. Tkwiłszy w samym centrum systemu autorytarnego; to była nieustająca walka z poniżeniem i podłą śmiercią, codzienna, która się wyrażała na różne sposoby: listy, protesty, głodówki, strajki. Wiele przepadło, ale i sporo przedostało się na świat. Taki jest, był, ten los, każdy radził sobie jak mógł.

Między innymi wielu ludzi zajmowało się twórczością. By zaprzeczyć tezie o możliwości złamania nas. Z potrzeby duszy i umysłu. Twórczość dawała niesłychaną siłę. W tamtym czasie napisałem książkę „Newolnycza Muza”, powieści i kilka pozycji dla dzieci. Mnie obóz mobilizował do twórczości, a twórczość do przeżycia. Nie byłem odosobnionym wypadkiem. Poza tym jest dług wobec innych, ale tego nie uda się tak prosto opowiedzieć.

B.B.: – *Z kim Pan przebywał w obozie?*

I.K.: – Na Uralu było wiele grup. Z krajów nadbałtyckich, z Armenii, z Rosji, Żydzi. Najwięcej było Ukraińców. Dzielili się oni, najogólniej rzecz biorąc, na dwie wielkie grupy. Pierwsza to starzy więźniowie skazani za lata wojny, UPA i druga, pokolenie ludzi aresztowanych na początku lat 70, „szestydziatniki”. Oczywiście nie tylko oni tam przebywali, byli Ukraińcy „pozafalowi”, aresztowani za rozmaite wykroczenia, podejrzani o spiski antysowieckie i tak dalej. Ci drudzy, z lat siedemdziesiątych, osadzani byli najczęściej za ciągoty demokratyczne. Pisarze, krytycy, dziennikarze. Najdłużej przebywałem z pisarzem Iwanem Switłyńczym, nauczycielem muzyki Mykołą Horbalem, z poetą Tarasem Melnyczukiem, z poetą Stepanem Sapelakiem, z poetą żydowskim Semenem Głuzmanem, piszącym po rosyjsku, wykształconym psychiatrą. Niedaleko od nas był więziony Jewhen Swierstiuk, ale nigdy się z nim wówczas nie zetknęliśmy. Wasyl Stus przebywał w Mordowii, gdzie również przetrzymywano moją żonę.

B.B.: – *Czy istnieje w literaturze ukraińskiej nurt poezji rozliczeniowej, historycznie i moralnie podsumowującej te doświadczenia? Czytałem niedawno tom wierszy Stepana Sapelaka „Trywałbyś rwanyj zojk” (1991) pełnych gniewu, rozgoryczenia za tamten okres. Czy ten okres kiedyś zostanie w pełni rozliczony? Czy jest na to szansa w literaturze?*

I.K.: – Nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć. Najsilniejszy wyraz obozowemu wstrząsowi, do dziś aktualny, dał Iwan Switłycznyj w tomie „Okratowani sonety”. Bo Sapelak podsumował to już po wyjściu z obozu, budując emocjonalny i bardziej ogólny opis, w którym jest problem uwięzionej Ukrainy. Z kolei duchowa potrzeba wolności, stały konflikt między poezją a rzeczywistością, męka przeżywania najpełniej wyraziły się w twórczości Wasyla Stusa. Nie znam na tyle poezji Mykoły Rudenki, by stwierdzić na ile on i w jaki sposób rozlicza świat obozów, ale to jest klasyczna poezja obozowa, to znaczy wyrastająca z doświadczenia tamtych warunków, z dumnego i jednocześnie rozpaczliwego sprzeciwu.

B.B.: – *I to jest koniec? Sprawa zamknięta?*

I.K.: – Wydaje mi się, że jeśli mówić o poezji – temat się wyczerpał. Dziś już rzadko poeci wracają do tej problematyki. Wraca ona w prozie, by przypomnieć interesującą powieść Wasyla Rubana o jego uwięzieniu w szpitalu psychiatrycznym. Brak wielkiej literatury odpowiadającej na tak skomplikowane zagadnienie podpowiada, że świadomość i wyobrażenia ukraińska dopiero znajdują się przed tym wyzwaniem, trzeba jednak czasu. Tu niczego nie załatwi się pośpiechem. Samo musi wypłynąć, albo i nie... A może te siedemdziesiąt lat strasznej niewoli trzeba odreagować w milczeniu.

B.B.: – *Czy nadal jest Pan działaczem społecznym?*

I.K.: – Obecnie jestem dysydentem.

B.B.: – *Jak to rozumieć?*

I.K.: – Jesteśmy wraz z żoną aktywni społecznie i politycznie. Wszystko co działo się we Lwowie w 1989 i 1990 roku zaczynało się w naszym mieszkaniu. I to na wielu płaszczyznach – literackiej, życia artystycznego, politycznej. Wydawaliśmy wówczas czasopismo kulturalne, zapelniając białe plamy naszej kultury i historii. To był czas zrywu, nadziei, spotkań niezależnych, było podniecenie i poparcie społeczne.

Potem rozpoczęły się zryki. Gdzieś dwa lata temu staliśmy się niepotrzebni ludziom, którzy do władzy doszli po naszych głowach i którzy wykorzystują swoją władzę dla dobra własnego, a nie publicznego. Wystąpiliśmy z krytyką tych ludzi. Za to nas nie lubią i starają się wszelkimi sposobami usunąć w cień. W ten sposób jestem wciąż dysydentem.

B.B.: – *Co jest istotą tego konfliktu?*

I.K.: – Rzecz w tym, że ludzie u władzy nie robią tego, co powinna robić władza niezależnego państwa, sabotują tę niezależność, degradują, poniewierają. Przykład. Udało nam się, zwłaszcza mojej żonie, wprowadzić do szkół obowiązkowo historię Ukrainy, ograniczyć wszechwładność panowania języka rosyjskiego w szkołach podstawowych na rzecz ukraińskiego. W ciągu roku, po tym jak żonę dość sprytnie usunięto ze stanowiska kuratora szkolnego we Lwowie, tej pracy zaniechano. Zapanowały stosunki mafijne, życie para-

liżuje korupcja. Jest to sabotowanie własnej wolności, prawa i obowiązku świadczenia dobra swojemu narodowi. Ci ludzie spychają nas wszystkich z powrotem na przepaść.

Na szczęście nie wszystko obróciło się w miazgę, w postsowiecki produkt. Ale mnie coraz trudniej o tym mówić. Powoli odchodzę od tego rozgwaru i nieustającej walki, intryg, w stronę życia sztuką, pełniejszego uczestniczenia w kulturze. Rzadkie wyjazdy poetyckie, także i do Warszawy, pozwalają optymistycznie patrzeć na przyszłość ukraińskiej poezji. Odnosi ona sukcesy. Ta wielka potencjalna siła naszej poezji, naszego słowa, uświadamia, że wciąż jest nadzieja. Na światowym festiwalu poezji w Toronto deklamacja poetów ukraińskich wzbudziła powszechny aplauz. Myślę, że bierze się to z niezwykłego daru śpiewności, muzyczności, który posiada nasz język i poezja. Literatura odrodzi się jeśli nie zabraknie w niej wyobraźni i zdolności intelektualnych. Mam nadzieję, że tak się stanie. A tutaj... we Lwowie, sam nie wiem. Jestem pisarzem minionej epoki, nie powinienem wydawać radykalnych sądów. Więc ich nie wydaję.

Lwów, styczeń 1995 r.

Rozmawiał Bogusław BAKUŁA

Symposium Redaktorów Pism Literackich

W dniach 6-8 kwietnia miało miejsce w Poznaniu Symposium Redaktorów Pism Literackich połączone z obchodami 10-lecia *Czasu Kultury*. Do stolicy Wielkopolski przyjechało kilkudziesięciu redaktorów reprezentujących pisma tak różne tradycją, miejscem i częstotliwością wydawania, gustami literackimi i artystycznymi, jak np. *Tygodnik Powszechny*, *Twórczość*, *brulion*, *Fa-Art* czy *Akcent*. W ciągu tych trzech dni okazało się, że czasopisma literackie i kulturalne wydawane w Polsce, mimo napotykaných trudno-

ści, nie upadają, ale – przeciwnie – rozwijają się.

Na zorganizowanej w Bibliotece Raczyńskich wystawie zaprezentowano blisko 200 pism, od liczącego sobie 93 lata *Pamiętnika Literackiego* do ukazującego się od roku *Nowego Nurtu*. Osobne, okazałe miejsce przeznaczono dla pism z małych ośrodków, które na swoich łamach dużo miejsca poświęcają problematyce kulturalnej. Gryfice, Podkowa Leśna, Zwierzyniec, Rajgród, Lubartów, Ciechocinek, Kłodzko, to tylko przykłady miast, w których takie pisma są wydawane.

Zjawisko regionalizacji czasopiśmiennictwa społeczno-kulturalnego znalazło swoje odzwierciedlenie w referacie prof. Jerzego Jarowieckiego, przedstawionym na I części, zorganizowanej z okazji Symposium, sesji. Z przytoczonych w nim danych wynika, że od 1989 roku stale zwiększa się w Polsce liczba czasopism literackich i kulturalnych wydawanych w miastach niewojewódzkich w stosunku do miast wojewódzkich, i z kolei ich wszystkich w stosunku do pism wydawanych w Warszawie.

W kolejnym wystąpieniu na sesji, Jerzy Borowczyk i Wiesław Ratajczak, krytycy z *Czasu Kultury*, przedstawili własną typologię osobowości pism literackich zatytułowaną „Flegmatycy i postmoderniści”. Ten ironiczny, ze swadą napisany tekst nie wolny był od uproszczeń, o które jednak trudno mieć pretensję do autorów zastrzegających się na wstępie: „Nie jest (...) naszym zamiarem wierne portretowanie, ograniczamy się często do przyprowadzenia gęby, może tylko przyklejenia krzywdzącej etykiety”. Oto niektóre z tych etykiet: *Kultura* – „nestor z temperamentem buntownika”; *Tygodnik Powszechny* – „zasapany pięćdziesięciolatek”; *Twórczość* – „przyjaciół enklaw”; *Res Publica Nowa* – „atrakcyjny pan w średnim wieku”, *Zeszyty Literackie* – „same asy w rękawie”, *NaGłos* – „mistrz flegmatycznej ceremonii”, *Arka* – „twarz marsowa, kord u boku”, *Wiadomości Kulturalne* – „ten, którego nie wpuszcza się nawet do przedpokoju”. Tekst z taką ilością epitetów miał z pewnością spełnić rolę kija w mrowisku, ale, o dziwo, nie wywołał żadnej dyskusji na sali obrad, choć w kuluarach był komentowany.

Pierwszą część sesji zakończyło wystąpienie Jarosława Maszewskiego, który, na przykładzie własnych doświadczeń z *Czasu Kultury*, mówił o konflikcie pomiędzy redaktorami graficznymi a redaktorami literackimi (postrzegającymi np.

stronę z dużą ilością światła jedynie w kategoriach niegospodarności) i efektach tego konfliktu widocznych w plastycznym kształcie pism kulturalnych. Rafał Grupiński, redaktor naczelny *Czasu Kultury*, powiedział, że przykłada tak dużą wagę do strony graficznej swojego pisma, gdyż w przyszłości ona właśnie, a nie tylko same teksty, powinna świadczyć o czasach, w jakich pismo było wydawane.

Druga część sesji, odbywającej się w Pałacu Działyńskich przy Starym Rynku, w całości poświęcona była rozmowie o krytyce literackiej lat dziewięćdziesiątych. Jako pierwsza, Izolda Kiec (*Czas Kultury*, UAM) postawiła prowokującą tezę o całkowitym zaniku w Polsce krytyki literackiej, tak samo jak krytyki teatralnej czy plastycznej. Autorzy uważani, bądź uważający się za krytyków nie przestrzegają bowiem podstawowych zasad działalności krytycznej, tak że w konsekwencji ich teksty charakteryzuje „obojętność wobec dzieła i autora”, „lekceważenie i pogarda wobec czytelnika”, a przede wszystkim „strach, stanowiący źródło tych zachowań, wynikający z niekompetencji krytyka, obawy przed pomyłką, z nieumiejętności rzetelnej oceny dzieła i prowadzenia dialogu”. Grzechem głównym krytyków, rekrutujących się dziś w dużej części spośród pracowników akademickich, jest brak wrażliwości, zastępowanej pośpiesznie rzemiosłem. Stąd krytyka staje się częścią wiedzy o literaturze. Izolda Kiec jako dowód obojętności krytyków wobec literatury i samych siebie podała fakt, że na rozesłaną przez *Czas Kultury* do kilkunastu krytyków ankietę z pytaniami o ich kryteria i sposób pracy krytycznej nie nadeszła żadna odpowiedź.

Natomiast drugi zagajający, Jerzy Sosnowski (*Gazeta Wyborcza*, UW), starał się udowodnić, że niesłuszne jest odmawianie „pokoleniu trzydziestolatków” własnej krytyki literackiej. Jego zdaniem to „złudzenie nieobecności” bierze się z rozproszenia dobrych tekstów krytycznych, tak że nie tworzą one żadnej wyrazistej formacji, i z braku w nich oryginalnego i trafiającego do młodego czytelnika aparatu pojęciowego. To z kolei jest związane z przemianami, jakie dziś dokonują się w polskiej kulturze: życie literackie przybiera coraz to bardziej lokalny charakter (krytyk nie ma więc pełnej panoramy zjawisk), wolny rynek książki narzuca krytykowi „rolę popularyzatora i sprzedawcy, a nie tłumacza i analityka”, wreszcie zaplecze krytyki literackiej, jakim jest teoria literatury, po „dekonstrukcyjnej katastrofie” przypomina istną wieżę Babel. Według Sosnowskiego, dobry krytyk

powinien łączyć w sobie zacięcie analityczne ze skłonnością do stawiania tez na temat stanu kultury, życzliwość z krytycyzmem, subiektywny punkt widzenia ze zdolnością wyrażania go w sposób dyskursywny. Krytykowi nie wolno zapominać również, że chcąc nie chcąc jest dziś komiwojażerem, a jego publikacje mają rynkowe następstwa. Jako przykłady „wzorcowych recenzji” spełniających te kryteria Sosnowski wymienił teksty Karola Maliszewskiego, Manuela Gretkowskiej i Jarosława Klejnockiego.

Osobnym wydarzeniem był wyjazd do Wągrowca na spektakl Teatru Prób pt. „Okna”. Sceny spektaklu rozgrywały się symultanicznie w kilkunastu salach i na korytarzach, a publiczność oglądała je stojąc po drugiej stronie okien, na szkolnym dziedzińcu (jednocześnie na jednej ze ścian szkoły wyświetlany był „Pancernik Potiomkin” Eisensteina). W tym niezwykłym przedstawieniu brało udział 120 aktorów-uczniów, a całość przygotował Jan Kasper – nauczyciel, reżyser i poeta w jednej osobie.

Ostatniego dnia Sympozjum odbyło się robocze spotkanie redaktorów pism literackich wchodzących w skład Konsorcjum. Konsorcjum powstało w listopadzie 1994 roku w Lublinie z inicjatywy redaktorów kwartalnika *Kresy* i przy współudziale Fundacji im. Stefana Batorego. Obecnie w jego skład wchodzi kilkanaście pism (m.in. *Kresy*, *Czas Kultury*, *Dialog*, *Literatura na Świecie*, *Pracownia*, *Znak*, *Krytyka*). Wymieniają się one między sobą m.in. informacjami o punktach kolportażu, przepisach prawnych czy tłumaczach, z usług których korzystają. Podczas rozmowy w Poznaniu postanowiono przygotować wspólny katalog czasopism społeczno-kulturalnych, który będzie rozsyłany w celach promocyjnych do wydawnictw, księgarń i bibliotek. Fundacja Batorego biorąca aktywny udział w pracach i finansowaniu Konsorcjum, zaproponowała zorganizowanie kilkudniowego szkolenia dla managerów pism kulturalnych (zdobywanie zagranicznych praw autorskich, sposoby korzystania z ofert fundacji finansujących przedsięwzięcia kulturalne, reklama i dystrybucja pism literackich). Rozmawiano również o możliwym w przyszłości połączeniu pism należących do Konsorcjum wspólną siecią komputerową (dziś jeszcze nie wszystkie pisma są skomputeryzowane) i ewentualnym znalezieniu wspólnego dla wszystkich tych pism dystrybutora. Następne spotkanie Konsorcjum ma się odbyć w maju w Warszawie.

Rozpoczynając Sympozjum Redaktorów Pism Literac-

kich Rafał Grupański odczytał list Jerzego Giedroycia mówiący m.in. o istotnej roli tego rodzaju spotkań i potrzebie dyskusji o przyszłym kształcie kultury polskiej. Taka dyskusja podczas obrad Sympozjum nie została bezpośrednio podjęta. Pośrednio jednak istotnymi w niej głosami były konkretne przykłady pracy kulturalnej: *Czas Kultury* i powstałe wokół niego środowisko młodych plastyków i literatów, artystyczna i animacyjna działalność „Teatru Prób” w Wągrowcu, czy współpraca między pismami w ramach Konsorcjum. Wszystko to są przykłady tworzenia, na poziomie lokalnym bądź ponadlokalnym, nowych form aktywności kulturalnej, stanowiących jednocześnie próbę odpowiedzi na problemy, których niemało stawia przed nami teraźniejszość.

Paweł RODAK

Akademia Mozartowska

Szukanie duchowych patronów Europy Środka nadal jest modne, pomimo iż polityczna idea środkowoeuropejska znalazła się w impasie. Wydaje się, że w przestrzeni pomiędzy Wiedniem, Pragą, Krakowem i Budapesztem jeszcze najłatwiej się zbliżyć i zrozumieć w dziedzinie kultury. Ważne są wymierne inicjatywy i przedsięwzięcia, zwłaszcza te, które wypływają z indywidualnych pomysłów i pasji.

Jedną z takich inicjatyw jest powołanie w roku 1993 Akademii Mozartowskiej. Zrodziła się ona z zamysłu dwóch ludzi: nowojorskiego adwokata pochodzenia francuskiego, Alain Coblence'a i znanego węgierskiego skrzypka, mieszkającego w Salzburgu, Sandora Végha. Połączyły się szczęśliwie talenty menedżerskie i światowe kontakty finansowe Coblence'a (prezydenta fundacji) z wizją środkowoeuropejską Végha (dyrektora muzycznego Akademii).

Akademii nie grozi, że stanie się efemerydą. Posiada ona solidne podstawy finansowe i organizacyjne. Wspomaga ją Unia Europejska. Po półtorarocznej działalności w zamku

Dobris pod Pragę Akademia przeniosła się do Krakowa. W planach jej stała siedzibą ma być zamek Esterháza na Węgrzech, obecnie restaurowany i adaptowany dla potrzeb Akademii przy wsparciu rządu węgierskiego. Rezydencja ta słynie ze swoich tradycji muzycznych – tutaj mieszkał przez prawie trzydzieści lat Józef Haydn, komponując swoje największe dzieła i wystawiając liczne opery Mozarta (na zamku przechowywany jest znakomity zbiór rękopisów obu artystów).

Dlaczego Mozart? Wybór patrona Akademii był nieprzypadkowy. Bezpośrednim impulsem stał się Światowy Rok Mozartowski (1991), podczas którego genialna twórczość wiedeńskiego kompozytora została na nowo przeżyta i upowszechniona. Zdaniem prof. Michała Bristigera, rektora Akademii Mozartowskiej w Krakowie, muzyka Mozarta uosabia ponadto specyficzne cechy tradycji środkowoeuropejskiej – scala bowiem w sposób finezyjny wielką klasykę wiedeńską z muzyką włoską i francuską. Nie bez znaczenia jest również mit wiecznej młodości Mozarta.

Do Akademii przyjmowani są młodzi muzycy w wieku 22-30 lat z całego świata. Z dotychczasowych 175 studentów kształcących się w Pradze i Krakowie, 40% pochodziło z Europy Środkowo-Wschodniej, 35% z Europy Zachodniej, a 25% z innych krajów świata. Nauka jest zupełnie bezpłatna. Studentom stwarza się warunki wszechstronnego rozwoju. Zapewniony jest świetny dobór profesorów, urozmaicone zajęcia prowadzone są w duchu integracji wielu dyscyplin (obok zajęć z techniki wykonawczej i teorii muzyki, wykłady i dyskusje z polityki, literatury, poezji, teatru i filmu). Studenci sami dobierają się w kwartety, ćwicząc pod okiem profesorów. Występują potem na oficjalnych, otwartych koncertach.

Do sukcesów Akademii w obecnym roku akademickim należy zaliczyć zorganizowanie dwóch festiwali: Bożonarodzeniowego, którego tematem była „włoskość” w muzyce Europy XVIII wieku oraz Wielkanocnego, poświęconego głównie wpływom cygańskim w muzyce europejskiej (od Haydna po Bartóka).

Festiwalom towarzyszą tzw. Dialogi Akademii Mozartowskiej. Podczas ostatniego spotkania mówiono o dwójakiej funkcji folkloru: pozytywnej (folklor jako uniwersalna materia, z której czerpał Chopin, Szymanowski, Bartók) i negatywnej (dla potrzeb politycznych i propagandowych). Znany

intelektualista francuski, pochodzący z Moraw, Jacques Rupnik, podał jako wymowny przykład dwóch Karadżićiów: osławiony przywódca bośniackich Serbów jest wnukiem wybitnego znawcy serbskiego folkloru i jako polityk wykorzystuje instrumentalnie zdobycze swojego dziadka, sławiąc narodowe cechy Serbów.

Umiejscowienie Akademii Mozartowskiej w Krakowie jest okazją do rozbudzenia zainteresowań studentów kulturą polską. Nie chodzi tutaj wyłącznie o wzbogacenie repertuaru o muzykę polską, ale również danie kwantum wiedzy o kraju łączącym w swojej tradycji wpływy kulturalne Europy Zachodniej i Wschodniej. Z polskich wykładowców zajęcia humanistyczne prowadzili m.in. Jacek Woźniakowski (o stylu zakopiańskim), Adam Zagajewski (o muzyczności poezji), Michał Komar (ciekawym tematem: „Historia rzeczy. O wątku drutu kolczastego w polskim filmie”), Małgorzata Dziewulska i Teresa Walas (teatr polski).

Młodzi muzycy bardzo żywo reagują na tematy polityczne. Wielkie zainteresowanie wywołała np. prelekcja byłego ambasadora Włoch w Moskwie, Sergio Romano, o zimnej wojnie. Student z Macedonii zapytany o przyczynę tak licznej frekwencji na tym wykładzie, odpowiedział: „wszyscy jesteśmy ofiarami zimnej wojny, ale nikt z nas nie jest ofiarą muzyki”.

Zbigniew BARAN

Książki

Dotykać Nicości

(NOTATKI Z LEKTURY „KAMIENIA GRANICZNEGO”)

1. „Kamień graniczny” Piotra Matywieckiego* to książka, która skomponowana jest z trzech wzajem na siebie oddziałujących elementów: skrupulatności dokumentalisty; odwagi myślenia i poetyckiej wrażliwości. Jest nie tylko monografią na temat myślenia o Zagładzie. Jest wyzwaniem rzuconym czytelnikowi, jest dla niego zadaniem. Od razu powiedzmy: zadaniem niezwykle trudnym – dotykania nicości. Jedna z tez tej książki powiada iż trzeba „uznać, że dzisiejsza mowa, badawczość, pamięć są od getta uzależnione, z getta się wywodzą. W istocie bowiem świadomość odsuwająca się od getta, wypierająca się go, mówi o getcie mową okaleczoną przez faktyczność getta, przygląda się gettu spostrzegawczością przez getto nastawioną na niedostrzeganie getta”.

Być może musiało minąć pół wieku, by ta książka mogła powstać – napisanie jej wcześniej było zapewne niemożliwe. Musiał chyba minąć czas próby świadomości, doświadczenia życia po getcie, by okazało się konieczne powrócenie do problemu Zagłady jako rzeczywiście granicznego kamienia drogi, jaką ludzkość podąża. Dziś już zapewne nie można napisać – jak Jerzy Zagórski w roku 1945 – że „istnieje szansa, iż zburzenie dziś środkowej i znacznej części wschodniej Europy może mieć dla ludzkości podobne znaczenie jak

* Piotr Matywiecki, „Kamień graniczny”, Oficyna Wydawnicza Latona, Warszawa 1994, s. 514.

upadek Bizancjum w XV wieku, a ściślej, że ludzkość wyjdzie z obecnej ruiny podobnie obronną ręką". Wiemy, że nie wyszła i wiemy też, że takie analogie historyczne – wszelkie analogie historyczne – okazują się w odniesieniu do Zagłady i jej wpływu na ludzką świadomość zawodne.

"Kamień graniczny" wpisuje się w ten typ refleksji na temat kultury, który każe nam siebie samych zacząć traktować serio – w czasie, w którym każde serio poddawane jest krytycznemu dystansowi ironicznego rozumu. Nakazuje na nowo zastanowić się nad sensem naszego tu istnienia, nad tym, gdzie i jak przebiegają granice człowieczeństwa, nad tym wreszcie, czym ma być kultura, także literatura. Ten problem stawia Herling-Grudziński, gdy zapisuje w „Dzienniku”: „Literatura jest ustawicznym wysiłkiem przychwycenia na chwilę nieuchwytnego, skrywanego, umykającego. Kiedy jest literaturą na serio, ma pełną tego świadomość”. Wcześniej zaś, w „Innym świecie” pisał: „Jeżeli wspomnianie tego wszystkiego co działo się w Europie w czasie ostatniej wojny ma mieć w ogóle jakiś sens, to trzeba abyśmy zapomnieli na chwilę o zasadach zwykłej moralności, jaką żyli nasi dziadkowie i ojcowie w drugiej połowie dziewiętnastego wieku i w pierwszych dziesiątkach stulecia, które zdawało się urzeczywistniać na naszych oczach pozytywistyczny mit postępu”.

Tą chwilą zapomnienia o zasadach „zwykłej moralności” oraz chwilą, w której następuje przychwycenie sensu doświadczenia jest właśnie sztuka, literatura: rejestruje ona „stany zachowań” nietrwałe, niestabilne – w których nie można żyć „ciągle”. Z jednej strony są to stany utraty „zwykłej moralności”, z drugiej – wyniesienia się człowieka ponad „zwykłą moralność”. Rzecz w tym, iż nasze „zwykłe” życie istnieje w napięciu między tymi dwoma biegunami, z których jeden to biegun Nicości, drugi to biegun Absolutu. Doświadczenie II wojny światowej – w szczególności doświadczenie Zagłady – kieruje naszą uwagę ku pierwszemu z nich.

2.

W naszej kulturze dotknięciem Absolutu jest Księga. Ta sama kultura przeczuwała – choćby w wystąpieniach Nietzschego, w pisarstwie Kafki – istnienie Antyksięgi. Nie dziwi zatem treść notatki, którą Piotr Matywiecki poczynił w trakcie pracy nad „Kamieniem granicznym”: „Trzeba znaleźć taki styl cytowania dokumentów (...), aby oddać sprawiedliwość ich powadze, śmieszności, tragiczności, tragiczomizmowi,

nieudolnemu i prawdziwemu patosowi. (...) Trzeba stworzyć biblię tego absurdu – tekst, który utrzyma absurd ich nieistnienia, jako niezaleczoną ranę człowieczeństwa”.

Wcześniej przeczytamy: „Do jałowego znudzenia powtarza się, że choćbyśmy znali każdą okoliczność życia i śmierci ofiar, to i tak nic nie możemy wiedzieć. Mówi się tak, aby schlebiać, wygodzić myśli, która „nie chce” nicości zagłady. Ale myśl ma obowiązek: nawet gdyby miała „zrozumieć” zło aż tak podłe i banalne – niech nicości dotyka! Obowiązek myśli bierze się stąd tylko: ci, których zabijano myśleli”.

Sądzę, że bierze się jeszcze z czegoś innego: z konieczności świadomego odrzucenia owego „zrozumienia”, gdyż wypowiedzenie takiego „rozumiem” jest już przyzwoleniem, a wówczas nie na „chwilę”, ale na zawsze będziemy musieli zapomnieć o zasadach „zwykłej moralności”. Lecz owo „zrozumienie” jest niezbędne, byśmy mogli wiedzieć, co odrzucamy.

Książka Matywieckiego jest Księgą Zagłady i Księgą Świadomości Zagłady zarazem. Księgę Zagłady tworzą przywoływane w niej „zdania z getta” – autor rygorystycznie przestrzega zasady cytowania jedynie słów „stamtąd”, z tamtego bezczasu. Mówią jedynie ofiary, nie mówią ci, co ocaleli. Tylko słowa ofiar mogą się złożyć na ową „biblię absurdu”, Księgę Nicości. Jest to – by przywołać poetykę „Kamienia granicznego” – demonstracja nie-języka, nie-mowy. Lecz zarazem mamy do czynienia z nie-mową, która mówi. Jak możemy odczytywać jej nie-słowa?

Staje przed tym problemem każdy, kto zechce analizować wiersze Władysława Szlengla z tomu „Co czytałem umarłym” – zbioru poezji, który pisany był i czytany w getcie warszawskim. Już sama analiza tytułu kieruje nas w przestrzeń istniejącego nieistnienia. Zaś każde pytanie o „artystyczną wartość” owych utworów wydaje się absurdalne: czy jest w ogóle możliwe stawianie takich pytań? Jeśli tak, wówczas mamy do czynienia z triumfem Nicości. Jeśli nie... Nie umiem powiedzieć – nie umiem znaleźć formuły dla tak sformułowanej kwestii.

Sądzę, że podobna bezradność ogarnia wszelkie myślenie o Zagładzie. Matywiecki dowodzi jednak, że można ową bezradność przezwyciężyć. Píše: „Zamiast rozważać unicestwienie ludzi w getcie, albo swoje cierpienie wobec tamtego unicestwienia, umysły dzisiejsze otaczają getto systemem kwestii najważniejszych dla cywilizacji, takich na przykład jak

sprawa istnienia immanentnego zła europejskiej kultury, jak sprawa rodzaju i stopnia odpowiedzialności za zbrodnię masowego mordu. To są problemy sięgające podstaw etyki i prawa, ale owo zamiast leży u ich fundamentów i osłabia je. Sądzę, że niszczy zasadność ich stawiania. Takimi kwestiami getto odgradzane jest od świata uznającego swoją zwykłość. Wystąpienie tych problemów na granicy getta wyznaczającej jego realność dla umysłu, to znak ostrzegawczy symbolizujący realność getta zagrażającego umysłowi. To, co nie-ludzkie, co zaprzecza normom „zwykłego życia”, spychane jest w umyśle w obszar specjalnie wydzielony, zamknięty, otorbiony, posługujący się odrębną symboliką.

Jest to zarazem obszar jakby odpersonalizowany. Nie dziwi zatem, że opisując nasz sposób mówienia o Zagładzie, autor posługuje się formami bezosobowymi. Formuły takie jak „nie chce się uznać” czy „myśli się” tworzą styl dyskursu Matywieckiego. Ten styl ujawnia istotną prawdę: „Właśnie w tym ‘obiektywnym’ spojrzeniu jest nowy ‘kraj Nod’ – najpierw stracono człowieczeństwo, a potem straciły znaczenie zło, zbrodnia i kara. Jest tu jakiś po-ludzki cynizm”.

3. Przewycięzenie owego cynizmu jest podstawowym zadaniem tej książki. Tu nie chodzi o formy gramatyczne. Chodzi o sprawę fundamentalną – o stosunek do języka, jakim się posługujemy. To, że po doświadczeniach łagrów, obozów koncentracyjnych i getta – po tym, co się wydarzyło w okresie II wojny światowej i co przecież w jakiś sposób trwa, co zaświadczały choćby opowiadania Wałama Szafamowa – z naszym językiem „coś” się stało. Wiadomo było od dawna. O tym mówił Theodor Adorno, gdy pisał, iż po Oświećcimiu sztuka, poezja jest niemożliwa. To samo doświadczenie wpisane jest w formułę „śmierci poezji” Tadeusza Różewicza.

Pisze Matywiecki: „Wobec getta język stracił właściwość odnoszenia się poprzez czas i przestrzeń. To niemożliwe bo mówimy. Ale mówimy niemożliwe o getcie”. Mówimy więc martwym językiem? Mówimy – martwi? Czy istnieje jakaś szansa wydostania się z tej pętli, przekroczenia owego kręgu śmierci i powrotu do życia? Sprawienia, by nasz język stał się językiem żywych?

Wydaje się, jeśli dobrze rozumiem przewód myślowy „Kamienia granicznego”, że szansa taka według Matywiec-

kiego istnieje. Możemy ocalić siebie i własną świadomość pod dwoma warunkami. Pierwszym jest włączenie getta w obręb własnej biografii, drugim modlitwa, powtarzanie „zdań z getta”.

„Kamień graniczny” jest autobiografią – faktyczną i duchową. Faktyczną, gdyż autor, poczęty w getcie, podejmuje medytację o formie swego istnienia: w „biograficznej nagości” i autopoznawczym nastawieniu, bez wewnętrznych mediacji – „bo nie mam ich – sam jestem testem dla siebie, testem, który ma wykazać istnienie „ja”, istnienie świata, Boga, istnienie zagłady, istnienie nieistnienia”. Duchową, gdyż „ja”, które autor powołuje, jest kreacją osoby, persony dramatu nieistnienia – jest inaczej rzecz ujmując, próbą ustanowienia „ja lirycznego”, które kreuje żywy język. Przy czym należy tu pamiętać, że owa faktyczność i owa duchowość są mniej „osobiste”, bardziej zaś „osobowe”. Zwieńczeniem tego procesu medytacyjnego staje się – tak skonstruowana jest książka Matywieckiego – modlitwa złożona ze „zdań z getta”.

Dopiero biografizm i modlitewność pozwalają przezwyciężyć ów po-ludzki cynizm „obiektywnego spojrzenia”. W zakończeniu książki pojawia się jednak jeszcze jedna, niemożliwa do rozwiązania kwestia: „Wszystko o zagładzie wiemy dzięki jej naocznym sprawozdawcom, dzięki zdaniom z getta. Czy to też jest przejście słów przez zamilknięcie mowy? A może te fakty przeszły przez zamilknięcie słów – a słowa, już po tym przejściu niepotrzebne, umarły? Jak do nas dochodzą fakty mimo martwych słów? To tajemnica”.

Pewne światło w próbie rozjaśnienia tej tajemnicy daje seria pytań Matywieckiego, stanowiących komentarz do zbioru „zdań z getta” zatytułowanego „Biblia”: „Co dzisiaj jest Biblią? Zagłada, której nie możemy zrozumieć mimo tylu świadectw? Wersety biblijne, których nie możemy zrozumieć, bo czytamy je w pamiętnikach z zagłady? Czy Słowo jest Biblią sprzed warszawskiego getta? Czy dzisiaj pustka znaczeń po zagładzie jest nie-duchową substancją Biblii, tak jak ongiś Słowo było jej substancją duchową?”

Otóż, sądzą, można zaryzykować twierdzenie (każdy sąd w tej kwestii musi być obarczony ryzykiem), że taką Księgę żywą tworzy każde dzieło tak intensywnie wydzierające nieistnieniu pamięć zagłady. Dzięki takim wysiłkom myśli możliwe jest ocalanie Biblii: nie ocalenie, lecz ocalanie – w nieustannych powtórzeniach tego wysiłku, choćby miał on być – jak sądzi Matywiecki – wysiłkiem daremnym, dążeniem

do niemożliwego, tak jak niemożliwe jest wedle niego zrozumienie zagłady.

4.

Zastanawiam się czy to moje poszukiwanie wyjścia, sprzeczne zresztą chyba z tym co mówi Matywiecki, nie jest kolejną próbą ratowania umysłu przed Nicością poprzez otorbianie jej w specjalnym getcie. Daleki jestem w tej kwestii od jakiegokolwiek sentymentalizmu i wiem, że żyjąc „po” jestem skazany na getto tak, jak jestem skażony grzechem pierworodnym. Jednego i drugiego zresztą nie rozumiem – jedno i drugie obłożone jest pieczęcią tajemnicy.

Chcę jednak – i mam prawo tego chcieć – ocalić sens mojego skażonego życia i ocalić sens słów, sens mowy, którą się porozumiewam ze sobą i z innymi i poprzez którą próbuję choćby „na chwilę” dotknąć tego, co niedotykalne. Getto i zagłada należą do porządku rzeczy – być może należały doń zawsze, tego nie wiem. Nie mogę też odmienić tego faktu, nie mogę go obejść, gdy to uczynię, przyznam rację Nicości, otworzę drogę jej inwazji w moje życie.

Wiem, że wobec doświadczeń tego stulecia analogie historyczne są bezsilne i tracą moc. Wiem też, że język, którym mówię, jest językiem skażonym. Zastanawiam się czy nie był skażony także i „przedtem” lecz dopiero „po tym” zyskał tego świadomość. Zgadzam się z Matywieckim, gdy mówi, że umysł ma obowiązek dotyczyć Nicości. Ona jest jego pamięcią. Gdy ją utraci, gdy zapomni, dokona samounicestwienia.

Nasz system wartości – wówczas, gdy żyjemy „zwykłym życiem” – obecny jest w sposób niejako dyskretny. Ujawnia się wówczas właśnie, gdy „na chwilę” dotykamy Nicości lub Absolutu. I Nicości i Absolutu. Ci, którzy dotyczą tylko jednego, stają się nieludzy, muszą być nieludzy. W pierwszym wypadku dokonują redukcji świata wartości do zatamizowanego świata faktów, w drugim – zniszczenia życia. Obowiązkiem myśli, obowiązkiem artysty jest nie opis faktów, lecz utwierdzanie wartości – rzecz w tym, iż owa myśl ma służyć życiu, nie abstrakcyjnej chimerze, musi zatem zostać osadzona w faktach, nawet jeśli ich nie jest w stanie, jak czasu Zagłady, pojąć.

Świat wartości nie ma bytu samoistnego – przed redukcją i rozpadem ocala go pamięć zła: wizja raju przeradza się w koszmar wówczas, gdy pozbawiona będzie pamięci grzechu pierworodnego.

5.

Być może poezja była zawsze niemożliwa, lecz nie była tego świadoma. Dziś już jest. Co nie znaczy, że nie ma ponawiać wysiłku powoływania siebie do życia.

Nie piszę o tym przypadkowo. W czasie wieczoru promującego „Kamień graniczny” Piotr Matywiecki przeczytał kilka wierszy, które – jak stwierdził – znaczyły jego drogę ku tej książce, były tej drogi kamieniami milowymi. Ku tej „chwili”, ku „szczelinie” bytu, także językowego, w jakiej możliwe jest jej istnienie.

W trakcie jej lektury zastanawiałem się wielokrotnie nad tym, czym ta książka jest. Myślę, że jest taką próbą intensyfikowania świadomości zagłady, która zdolna jest doprowadzić do zagęszczenia i stężenia (anty)materii Nicości w takim stopniu, iż wywoła to jej eksplozję powołującą świat do nowego życia. Nagromadzenie „zdań z getta” i głębia komentarza im towarzyszącego tworzą swoistą masę krytyczną refleksji autora. To nie jest przecież lament – to próba pamięci, próba nadania sensu także doświadczeniu Nicości, ocalenia nas przed nieludzkim, które tkwi w nas.

Czy raz jeszcze jest to próba daremna? Tego nie wiemy.

Leszek SZARUGA

Eksplozja ignorancji

Na rynku wypełnionym esejami na temat kryzysu cywilizacji książka Łukasiewicza* wyróżnia się precyzją analizy i powściągliwością trafnej diagnozy. Autor jest uczonym i menedżerem nauki o nieźrównanej erudycji, lecz także obserwatorem wrażliwym i uczciwym humanistą, co w sumie pozwala mu uniknąć pułapek łatwizny i profetycznej nieodpowiedzialności. Pisze on „Uprzemysłowienie stworzyło takie środowisko, którego nieskończona złożoność i dynamika osła-

* Juliusz Łukasiewicz, „The Ignorance Explosion, Understanding Industrial Civilisation”, wyd. Carleton Univ. Press, Ottawa, Canada 1994.

bia nasze umiejętności zarządzania nim... Nie ma ideologicznego przepisu na uniknięcie trudności i zapewnienie sukcesu... Jedyne, na co można się zdobyć, to traktowanie każdego problemu zgodnie z jego specyfiką, opierając się o informację, raczej niż ideologię... Wszelako całkowicie racjonalny stosunek do spraw społeczeństwa przemysłowego nie zastąpi ideologii. Nie zaspokoiliby on odwiecznych poszukiwań sensu, właściwych człowiekowi, nie dostarczyłby motywacji w codziennej krzątaninie, nie zapewniłby wizji na przyszłość. Właśnie dlatego, że złożoność industrialnego świata uniemożliwia jego pojęcie, potrzebna jest dalekosiężna wizja..."

Jak dotąd, wśród obserwatorów panuje tu całkowita zgoda, prowadząc na ogół do wniosku o nadrzędnej roli systemów etycznych nad wulkanem inwencji technicznych. Uroda refleksji Łukasiewicza ujawnia się w precyzyjnej diagnozy: zauważa on mianowicie podstawową trudność w skorelowaniu wizji moralnej z impetem poznawczym, ponieważ ruchliwość intelektualna z natury rzeczy skierowana jest ku nieznanemu, raczej niż w kierunku etycznych celów. To szkoła powściągliwości dla tych, którzy skłonni są do łatwej dydaktyki w operowaniu magicznym hasłem umoralnienia postępu. U zarania epoki poprzemysłowej nic nie jest człowiekowi dane *a priori*.

Książki Łukasiewicza nie sposób przeczytać jednym tchem. Może ona być rodzajem przewodnika towarzyszącego codziennej lekturze gazet i słuchaniu dziennika telewizyjnego, czemu oddajemy się z rosnącym niepokojem w miarę jak liczba wirujących w eterze danych oddala nas od samego celu informowania się, to jest wiedzy. Doświadczamy wówczas przykładowej sprzeczności cywilizacji wzrostu, gdzie strumień informacji nie oznacza jeszcze poznania, triumf liberalizmu nie gwarantuje wolności, a rozwój środków komunikacji nie zapewnia ludziom skutecznego porozumienia się. Postęp wkroczył dziś w swój okres paradoksalny, to znaczy nie dający się pojąć poprzez proste spostrzeżenie nowości: nawet wielostronne spojrzenie, ujawniające wieloznaczność triumfalnego rozwoju technologii i organizacji nie daje jeszcze gwarancji panowania nad jego następstwami. Tymczasem odpowiedzią na zalew informacji jest rodzaj znieczulicy poznawczej, by nie rzecz powszechnej ignorancji.

Zdaniem Łukasiewicza jedną z głównych przyczyn jest sama struktura poznania, określona przez dwa całkowicie ignorujące się obszary nauk ścisłych i humanistów. Kondycja

człowieka nie da się jednak wytłumaczyć w tradycyjnie odrębnych kategoriach, co wynika z głębokiej penetracji technologii we wszystkie dziedziny życia i jej wpływu na społeczne wartości i oczekiwania.

Sama technologia zaś, nadal oferując nieskończone możliwości, już w naszej epoce wykazuje swą ograniczoność. Poprzez fenomen sztucznych potrzeb proponuje ona coraz więcej rozwiązań pozornych. Rozwijając grę środków wirtualnych tłumi w ludziach poczucie odpowiedzialności. Wreszcie angażując fachowców przy administrowaniu zleceń politycznych grup nacisku działa na szkodę wolności intelektu.

W zrozumieniu wewnętrznych ograniczeń postępu technologicznego i coraz liczniejszych postawach wspólnotowych, takich jak współpraca zamiast konfrontacji, ochrona środowiska, czy aprobatą różnic kulturowych autor dostrzega szansę dla przyszłych pokoleń. Dla skutecznego stawienia czoła zagrożeniom konieczne jest przyjęcie przez całe społeczeństwo obyczaju przenikliwości i poznawczego wysiłku, ponieważ obowiązku powszechnej zaradności nie można delegować na wybranych, którymi do niedawna byli uczeni albo politycy.

Nie szukajcie Państwo w książce Łukasiewicza ani rozrywki, ani łatwego optymizmu. Przenikliwość nie rozwesela umysłu, lecz go rozjaśnia.

Robert KACZMAREK

Nadesłane nowości wydawnicze

ADAMCZYK (Kazimierz). *Dziennik jako wyzwanie. Lechoń, Gombrowicz, Herling-Grudziński*. Str. 154 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza PAROL, Kraków 1994).

RUDNICKI (Janusz). *Cholerny świat*. Listy z Hamburga. Str. 248. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994).

HERBERT (Zbigniew). *Struna światła*. Str. 84. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994).

LIPSKA (Ewa). *Stypendyści czasu*. Poezje. Str. 30. (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994).

Polska-Litwa. Historia i kultura. Red. J. Miziński i J. Świąch. Str. 168. (Wyd. UMCS, Lublin 1994).

- Listy emigrantów*. Wybór i opracowanie Andrzej Pasternak. Str. 332. (Wyd. Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, Oddział w Rzeszowie, Rzeszów 1994).
- SADURSKI (Wojciech). *Myślenie konstytucyjne*. Str. 108 i 4 nlb. (Wyd. Presspublica, Warszawa 1994).
- LIKIERNIK (Stanisław). *Diabelne szczęście czy palec Boży? Wspomnienia*. Str. 200. (Wyd. S.W. Czytelnik, Warszawa 1994).
- BRAUN (Kazimierz). *Teatr Polski 1939-1989. Obszary wolności – Obszary zniewolenia*. Str. 250. (Wydawnictwo Naukowe Semper, Warszawa 1994).
- MELOSIK (Zbyszek). *Współczesne amerykańskie spory edukacyjne (między socjologią edukacji a pedagogiką postmodernistyczną)*. Str. 198. (Wyd. Naukowe UAM, Poznań 1994 – seria: Psychologia i Pedagogika Nr 103).
- BRYL (Mariusz). *Cykle Artura Grottera. Poetyka i recepcja*. Str. 394 i 6 nlb. (Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 1994 – seria: Historia Sztuki Nr 23).
- LIBERKOWSKI (Ryszard). *Przestrzeń i czas w filozofii transcendentnej Kanta*. Str. 214. (Wyd. Naukowe UAM, Poznań 1994 – seria: Filozofia i Logika Nr 74).
- Historisches Bewusstsein und politisches Handeln in der Geschichte*. Upamiętnienie wspólnej konferencji naukowej w Poznaniu (Instytut Historyczny im. A. Mickiewicza, UAM i Seminarium Historyczne Uniwersytetu w Hanowerze) 5-9 kwiecień 1989 opracował Jerzy Topolski. Str. 144. (Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 1994 – seria: Historia Nr 173).
- ŁUKOMSKI (Grzegorz). *Walka Rzeczypospolitej o Kresy Północno-Wschodnie 1918-1920*. Polityka i działania militarne. Str. 182 i 12 nlb – fotografie i mapy. (Wydaw-

- nictwo Naukowe UAM, Poznań 1994 – seria: Historia Nr 184).
- BANIEWICZ (Elżbieta). *Kazimierz Kutz – z dołu widać inaczej*. Str. 278 i 2 nlb. (Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1994).
- JAKUBOWSKI (Mieczysław). *Uratowane dzieciństwo*. Lwowskie wspomnienia. Str. 64. (Wyd. Caldra House, Hove – W. Brytania 1995).
- JAROSZ (Dariusz), PASZTOR (Maria). *W krzywym zwierciadle*. Polityka władz komunistycznych w Polsce w świetle plotek i pogłosek z lat 1949-1956. Str. 222 i 2 nlb. (Wydawnictwo FAKT, Warszawa 1995).
- „Wiadomości” i okolice. Szkice i wspomnienia. Redakcja i opracowanie Mirosław A. Supruniuk, T. I. Archiwum „Wiadomości”. Str. 276. (Wyd. Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 1995).
- IWANICKI (Wiesław). *Syberia bliżej świata*. Str. 196 i 4 nlb. (Wydawnictwo F.P. Warszawa 1994).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Inny świat*. Tom pierwszy *Pism zebranych*. Str. 330 i 6 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1994).
- HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Skrzydła ołtarza*. Opowiadania. Drugi tom *Pism zebranych*. Str. 234 i 6 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1995).
- URBANKOWSKI (Bohdan). *Czerwona msza albo uśmiech Stalina*. Str. 502 i 2 nlb. (Wydawnictwo ALFA, Warszawa 1995).
- Katechizm Kościoła Katolickiego*. Str. 738 i 6 nlb. (Wyd. PALLOTINUM, Poznań 1994).
- LE GOFF (Jacques). *Kultura średniowiecznej Europy*. Przełożyła Hanna Szumańska-Grossowa. Str. 586 i 8 nlb. plus mapa. (Oficyna Wydawnicza VOLUMEN, seria Nowa Marianna, Dom Księgarsko-Wydawniczy KLON, Warszawa 1994).

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

9.4.95

Miesięcznik *Literatura na Świecie* przyznał swe doroczne nagrody za najlepsze przekłady i inicjatywy wydawnicze. W dziedzinie prozy nagroda przypadła Małgorzacie Łukasiewicz za tłumaczenie „Dialektyki Oświecenia” Maxa Horkheimera i Theodora W. Adorno, w dziedzinie tłumaczeń poezji – Grzegorzowi Żurkowi za przekład „De rerum natura” Lukrecjusza, w dziedzinie komparatystyki translatologii nagrodzono Tadeusza Komendanta za książkę „Władze dyskursu. Michael Foucault w poszukiwaniu siebie”. Nagrodą za translatorski debiut uhonorowano Adama Wodnickiego za tom przekładów poezji Saint-John Perse’a „Wygnanie, Wichry, Amers, Kronika”. Ponadto nagrodzono redakcję serii „ceramowskiej” PIW.

20.4.95

Nagrody im. Jerzego Łojka za 1994 rok otrzymali: Stanisław Murzański za książkę „Między kompromisem a zdradą. Intelktualiści wobec przemocy 1945-1956” (Volumen, 1993); Elżbieta Zawacka za „Czekając na rozkaz. Pogotowie Społeczne Organizacji Przysposobienia Wojskowego Kobiet w przededniu II wojny światowej” (KUL, 1992); Józef Garliński za książkę „Polska w II wojnie światowej” (Volumen, 1994) i całokształt twórczości historycznej; Andrzej Krzysztof Kunert za kalendarium „Powstanie Warszawskie 1944” (Wydawnictwo Sejmowe, 1994) oraz za całość jego pracy; Henryk Pająk za „Zbrodnie UB-NKWD” (Retro, 1991) oraz za działalność wydawniczą udostępniającą dokumenty o walkach niepodległościowych po 1944 r.

21.4.95

Na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu została otwarta wystawa „Wiadomości i okolice” 1940-1981. Jednocześnie odbyło się spotkanie z pisarzami i współpracownikami *Wiadomości*.

3.5.95

Prezydent odznaczył Orderem Orła Białego Barbarę Skargę, prof. filozofii (w czasie wojny łączniczka AK).

12.5.95.

W Krakowie odbyła się uroczystość poświęcenia kaplicy św. św. Borysa i Gleba zaprojektowanej przez prof. J. Nowosielskiego. Po konsekracji kaplicy została otwarta wystawa malarstwa prof. J. Nowosielskiego w nowej sali Galerii Sztuki Ukraińskiej.

15.5.95

Andrzej Drawicz został mianowany doradcą premiera RP do spraw polityki wschodniej. W udzielonym *Gazecie Wyborczej* wywiadzie powiedział m.in., że „nie przywiązywałby do tego epizodycznego spotkania Clintona w Moskwie większej wagi, i że Polacy nie powinni się obawiać ze strony Rosji absolutnie niczego”. P. Drawicz nie skomentował wizyty prezydenta Clintona w Kijowie, ani rezultatu referendum prezydenta Łukaszenki w Mińsku. ■ Dzisiejsza *Gazeta Wyborcza* podaje za *Międzynarodówką Prawicy* (str. 4), że Jean-Marie Le Pen, lider francuskiego skrajnie prawicowego Frontu Narodowego, został zaproszony na jesień do Polski przez Stowarzyszenie Prawica Narodowa. Odwiedzi dwa lub trzy polskie miasta i weźmie udział w spotkaniu z politykami prawicowymi.

4.6.95.

Fundacja Międzynarodowe Centrum Rozwoju Demokracji w Krakowie zorganizowała konferencję na temat „Od komunizmu do demokracji – zagrożenia i szanse”.

5.6.95

Na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach odbędzie się uroczystość nadania godności doktora honoris causa Stanisławowi Barańczakowi, wybitnemu poecie, tłumaczowi i krytykowi.

ZACHÓD – EMIGRACJA

31.1.95.

W Katedrze Westminsterkiej w Londynie została odprawiona w 10-tą rocznicę śmierci msza św. za dusze Józefa Mackiewicza i Barbary Toporskiej-Mackiewiczowej, pisarki i publicystki, zmarłej 20 czerwca 1985 r.

1.2.95

Przy katedrze Historii Europy Wschodniej Uniwersytetu Trydenckiego został utworzony, staraniem prof. Jana Władysława Wosia, Ośrodek Dokumentacji dotyczący krajów Europy Środkowo-Wschodniej (*Progetto Documentazione sulla Storia dell'Europa Orientale*).

31.3.95

Zmarł w Londynie w wieku 73 lat Jan Michaluk, wieloletni prezes „Zhurtavannia Bielarusau u Vialikabrytanii”.

10.5.95

W Bibliotece Polskiej w Paryżu miała miejsce konferencja zorganizowana przez Association Polono-Ukrainienne na temat

„La nécessité d'une coopération polono-ukrainienne: enseignements du passé et perspectives” z udziałem pp. Yourija Pokalczuka, pisarza i publicysty oraz Romana Serbine'a historyka z Montrealu.

13.5.95

Tegoroczne nagrody sponsorowane przez Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku otrzymali: z Funduszu im. Jerzego Łojka – Zbigniew Herbert za całokształt twórczości oraz Alina Zakrzewska za książkę-dokument „Niepodległość będzie twoją nagrodą”; z Funduszu Zofii i Stanisława Jordanowskich: Fundacja im. Tadeusza Goniewicza Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie – w uznaniu jej zasług w krzewieniu i zachowaniu polskości na Kresach dawnej Rzeczypospolitej.

17.5.95.

W gmachu Ambasady RP w Paryżu odbyło się zorganizowane wspólnie przez paryski Instytut Polski i krakowski miesięcznik *Znak* kolokwium pt. „Jaka kultura dla Europejczyków”. W spotkaniu udział wzięli: kardynał Jean-Marie Lustiger, prof. Remi Brague, prof. Alfred Grosser, Henry Hude, Gerard Leclerc, prof. Jerzy Kłoczowski, Zygmunt Kubiak, prof. René Remond, Stefan Wilkanowicz, Henryk Woźniakowski i Krzysztof Zanussi. Paryska konferencja była pierwszą z przygotowywanych na ten temat debat; następne spotkania odbędą się w Budapeszcie i Kijowie. ■ W Centre de la Civilisation Polonaise na Uniwersytecie Sorbony w Paryżu ambasador RP Jerzy Łukaszewski wygłosił odczyt „La guerre polono-russe 1920 et l'Europe”.

19.5.95

W Centre du Dialogue w Paryżu prof. Jerzy Kłoczowski wygłosił odczyt na temat: „Francja, Niemcy, Polska – wczoraj, dziś, jutro”; poprzednio, 12 maja br., Jan Parys mówił o wyborach prezydenckich w Polsce w 1995 r. 9 czerwca br. ks. Florian Pełka w tymże Centre du Dialogue wygłosił odczyt na temat „Jezuici w dzisiejszym świecie”. ■ Prof. Ewa Łętowska – członek Instytutu Nauk Prawnych PAN i Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka – została laureatką prestiżowej nagrody Fundacji im. Friedricha Eberta, przyznanej za działalność w zakresie pracy organicznej na rzecz praw człowieka. Nagroda – doręczona laureatce 19 maja 1995 w Bonn – jest „wyrazem uznania dla wysiłków w zakresie promocji praw człowieka i zasad państwa prawa w latach, kiedy prof. Łętowska sprawowała funkcję pierwszego rzecznika praw obywatelskich w Polsce”.

20.5.95

O godz. 10-tej rano z inicjatywy mera Maisons-Laffitte, Jacques Myrda i mera Mesnil-le-Roi, Henri Dupreta została odsłonięta wmurowana na domu *Kultury* tablica poświęcona Józefowi Czap-skemu – malarzowi, humaniście i świadkowi Katynia. W uro-

czystości wzięli udział przedstawiciele Ambasady i Konsulatu Generalnego R.P., paryska Polonia oraz zaproszeni przez organizatorów goście. Mer Maisons-Laffitte zamierza zorganizować w Maisons-Laffitte wystawę prac Józefa Czapskiego na 100-lecie Jego urodzin tj. w 1996 r.

29.5.95

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu, prof. Tadeusz Zieliński, członek PAN-u i rzecznik praw obywatelskich w Polsce, w ramach konferencji pod przewodnictwem p. Jacques Pelletiera, rzecznika praw obywatelskich Francji, będzie mówił na temat: „Le droit dans le processus des changements démocratiques”.

Kronika londyńska

W kwietniu obradował Zjazd Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii – najważniejszej organizacji emigracyjnej na Wyspach. Jak wynika ze sprawozdania opublikowanego przez *Dziennik Polski* 26.04. zjazd zobowiązał władze Zjednoczenia, aby na najbliższej konferencji Europejskiej Rady Wspólnot Polonijnych zgłosiły wniosek o powołanie stałego przedstawiciela Polonii zachodnioeuropejskich przy siedzibach instytucji europejskich w Brukseli, a szczególnie przy siedzibie Unii Europejskiej. Jednocześnie na tej samej konferencji Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii ma wystąpić o zainicjowanie Polskiego Funduszu Europejskiego, który umożliwiłoby powołanie przedstawicielstwa Polonii w Brukseli. Można się domyślać, że obecność takiego przedstawicielstwa miałaby wzmacniać zabiegi rządu na rzecz wejścia Polski do zachodnioeuropejskich struktur. Być może intencją pomysłodawców jest także, aby przedstawiciel Polonii w Brukseli korygował zabiegi rządu w tej dziedzinie*. Kwietniowy zjazd wykazał, że Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii pragnie mieć wpływ na politykę kadrową MSZ-tu w Warszawie, dokąd wysłano wniosek o uchylenie nominacji Karola Drozda na stanowisko konsula generalnego RP w Londynie. Drozd, który ma pezetpeerowską przeszłość, był przed

* Czy nie przesada? (red.)

paru laty dyrektorem Instytutu Kultury Polskiej w Londynie. W apelu do MSZ-tu delegaci Zjazdu Zjednoczenia stwierdzają, że jego nominacja na stanowisko konsula „jest ubliżeniem emigracji niepodległościowej”. Zjazd nie ustosunkował się natomiast formalnie do faktu, że niektórzy przedstawiciele tejże emigracji niepodległościowej poprawnie ułożyli sobie stosunki z ministerstwem do spraw kombatanatów, które opanowane jest przez ludzi poprzedniej epoki. Wśród spraw dotyczących *stricto* emigracyjnego podwórka przedmiotem zainteresowania delegatów stały się trudności finansowe Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie. Są one na tyle poważne, że poniedziałkowa edycja wydawanego przez PFK *Dziennika Polskiego* drukowana jest w piątek, aby uniknąć płacenia personelowi niedzielnych stawek. Tak więc poniedziałkowy *Dziennik* wypełniają wiadomości z czwartku i piątku, co pod znakiem zapytania stawia roszczenia do określania go mianem gazety codziennej. Stan ten trwa od kilku miesięcy i nie zdołała go zmienić pomoc finansowa, jaką PFK otrzymała niedawno od Polonia Aid Foundation Trust. Zjazd ZP wyraził „wielką troskę” w związku z tymi trudnościami, gdyż, jak stwierdzono w uchwale, PFK jest ostoją kulturalnego życia Polaków w Wielkiej Brytanii „przez swoje wydawnictwa, drukarnię i prasę codzienną”. „Zamknięcie takiej instytucji – piszą autorzy uchwały – okaleczyłoby znacznie życie polskie (...) nie tylko w tym kraju ale i w innych ośrodkach diaspory polskiej”. Uchwałę kończy apel do powierników PFK o „maksymalny wysiłek dla zabezpieczenia istnienia na długie lata *Dziennika Polskiego*” oraz do organizacji społecznych o wspieranie *Dziennika* przez zdobywanie nowych abonentów. Fakt, że Zjazd Zjednoczenia nie pominął trudności PFK milczeniem, dobrze świadczy o poczuciu odpowiedzialności delegatów za los instytucji, która władza głównymi emigracyjnymi środkami komunikacji. Jednocześnie chybiony wydaje się apel do powierników „o maksymalny wysiłek”, jako że to właśnie oni ponoszą współodpowiedzialność za obecny kryzys. O wiele bardziej racjonalny byłby apel o ustąpienie obecnej Rady Powierników *en block*, po uprzednim przekazaniu obowiązków ludziom, którzy mieliby wizję rozwoju PFK i energię, aby tę wizję realizować.

Jakub STRZELECKI

Listy do Redakcji

Londyn, 9 maja 1995

Szanowny Panie Redaktorze,

Były już w druku moje notatki gruzińskie („Kaukaskie oko cyklonu”, *Kultura*, kwiecień 1995), kiedy dotarła do Londynu wiadomość o nowo powstałym Stowarzyszeniu Polaków w Gruzji „Polonia”. Przebywając ponownie w Tyflisie pod koniec kwietnia miałem okazję poznać członków komitetu Stowarzyszenia i przekazać im kwotę, zebraną przez londyński Komitet Pomocy Polakom na Wschodzie (240, King Street, London W6 ORF).

Założycielka Stowarzyszenia – p. Profesor Maria Filina, filolog, znawca i tłumacz literatury polskiej – potwierdziła to, co napisałem o byłym klubie polskim p. Aleksandra Rusieckiego, tzn. że większość jego członków wyemigrowała z Gruzji. Podkreśliła natomiast, że klub ten miał zawsze charakter polityczno-elitarny, podczas gdy ona organizację swą zwołała dla celów dobroczynnych, uwzględniając w pierwszym rzędzie osoby stare i chore.

Członków Stowarzyszenia Polaków jest na razie około 500. Dokumentację komitet Stowarzyszenia prowadzi niezwykle pieczołowicie, starając się określić stopień zapotrzebowania każdej osoby.

Na kogo mogą liczyć zwykli Gruzini w nowej, postkomunistycznej biedzie? Rola Rosji ogranicza się do utrzymania w dawnej prowincji imperium pułków wojska (nie bez kozery Prezydent Szewardnadze pokwapił się z zapewnieniem Jelcyna, że popiera rosyjską politykę w Czeczenii). Zachód pozornie obiecuje więcej, interweniuje ekonomicznie, mając oko na rynek kaukaski w ogóle, a na ponętne pola naftowe w obszarze kaukasko-kaspijskim w szczególności.

Jak donosi *Financial Times* z 28.2.95, połowa budżetu republiki gruzińskiej pokryta jest przez Unię Europejską; Europa płaci m.in. za chleb oraz zasiłki dla najbiedniejszych. Resztę powinny pokryć zachodnie organizacje humanitarne. Pomoc ta jednak – jak opowiadali mi członkowie komitetu Stowarzyszenia Polaków, i jak sam miałem okazję skonstatować – dociera na chybił-trafił. Kobieta urodziła dziecko – otrzymała dwa kilo fasoli. Uczestnika jednego z programów szkoleniowych Unii Europejskiej spotkałem na ulicy krążącego po prywatnych budkach z czerwonym krzyżykiem: za walutę wymienialną i po cenach przewyższających przeciętne zarobki miesięczne kupował wszystko, co było potrzebne na

operację matki – od bandażu i strzykawek po środki znieczulające i antybiotyki.

Tam, gdzie na przeszkodzie stoją biurokracja, nieudolność i korupcja – obojętne, czy zachodnie, czy miejscowe ratuje tylko solidarność, przede wszystkim rodzinna. P. Filina i jej współpracownicy rodzinę tę rozumieją szerzej. Jeszcze szerzej, mam nadzieję, zrozumieją ją Polacy w Kraju, oraz te części diaspory polskiej, których losy *summa summarum* potoczyły się lepiej, aniżeli rodaków w Gruzji.

Łączę wyrazy poważania

Konrad BRODZIŃSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

M.Z., *Polska* – Szlachetny jest wiersz o zagładzie Żydów; szlachetny, ale niestety słaby jako utwór poetycki. Co do drugiego Pana wiersza, to trudno się nie uśmiechnąć, czytając o Zachodzie, który „gadzi łeb swój wciska”. Wypaliła się dość szybko miłość Polaków do Zachodu.

W.K., *Polska* – Wiersze Pana pełne są szlachetnych uczuć; i nieznośnej retoryki. A czym jest *Wahadło Foucaulta*? Notatka na marginesie sławnej powieści?

A.K., *Francja* – W Pani wierszach pojawia się czasem isierka poezji, ale szybko gaśnie. Może dlatego, że są zbyt dydaktyczne.

R.W. – Dzięki Miłoszowi popularne stają się *haiku*, nie takie one jednak proste i łatwe jak się wydaje.

P.J., *Polska*; Sz.M., *Polska*; J.S.Cz., *Polska*; A.M., *Kanada*; Z.B., *Australia* – Z wierszy nie skorzystamy.

J.K.-M., *USA* – Nowe Pani wiersze są słabsze od poprzednich, monotonne w swojej sentencjonalności. Ale wybraliśmy jeden udany *Upadłam*.

J.G., *Polska* – Olo należy do tych opowiadań, które silą się na śmieszność, ale dysponują zbyt ubogim i prostackim repertuarem środków.

A.G., *Polska* – Śmiertelnie nudny *Bankiet* posiada zapewne jakiś głębszy metaforyczny sens, niewykrywalny niestety dla czytelnika.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

**Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon (33-1) 39-62-19-04
Fax: (33-1) 39-62-57-52**

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1995			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultura» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 50606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brosard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, Postfach 340108, D 80328 München, tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszek, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 485 – WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76

Cena F. 20,00



Tom 489 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO DWUNASTY

zawiera opracowania: T. Mianowicz: *Co można znaleźć w archiwach STASI?*; Z. Woźniczka: *Podziemna PPS-WRN w latach 1945-1948 (zarys działalności)*; R. Mackiewicz: *O rękopisie Michała Romera „Dwie teorie o Polakach Litewskich”*; W. Biczunas: *Wywiad prof. M. Römera w sprawie wileńskiej. (Pierwsza rozmowa: Prof. Römer o zagrabieniu Wilna; Druga rozmowa: Droga do Wilna)*; Z.S. Siemaszko: *Brytyjczycy zaangażowani w sprawy polskie*; H. Świdarska: *Z powiązań Polska-SOE-NKWD*; L. Kowalski: *Komisarze stanu wojennego*; M.P. Deszczyński: *Sprawa Zaolzia w 1938 r.*; T. Dubicki: *Wojenne losy prezydenta Ignacego Mościckiego według zapisów mjr. Józefa Hartmana 28.VIII.1939 – 8.I.1940*; J. Krzyżanowski: *Wyjazd z Nowonikotajewska*; M. Danilewicz Zielińska: *„Antemurale” (1954-1985). Działalność Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie*; T. Wyrwa: *Londyńskie „Teki Historyczne”*; W. Zajewski: *Hamlet na tronie*; W. Zajewski: *Mocarstwa europejskie wobec insurekcji 1794*; L. Gajos: *Początki opozycji demokratycznej w PRL*; K. Tarka: *Polacy i Białorusini*; B. Heydenkorn: *Amerykańska ksenofobia*;
OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 55 F